

Mary Westmacott
czyli
Agatha Christie

Róża i cis

Przełożyła Bogumiła Malarecka

Tytuł oryginału The Rose and the Yew Tree

Chwila róży dopełnia się nie krócej
niż chwila cisu

T. S. Eliot

Prolog

Przebywałem w Paryżu, kiedy to Parfitt, mój służący, stanął przede mną i powiedział, że chce się ze mną zobaczyć pewna kobieta. Podobno, dodał, przychodzi z czymś bardzo ważnym.

Hołdowałem zwyczajowi nieprzyjmowania nie zapowiedzianych gości, byłem bowiem przekonany, iż ludzie, którzy domagają się widzenia w nie cierpiącej zwłoki sprawie, na ogół proszą o wsparcie finansowe; prawdziwie potrzebujący rzadko uciekają się do chodzenia po prośbie.

Zapytany o nazwisko gościa, Parfitt podał mi wizytówkę. Catherine Yougoubian — głosił rząd czarnych liter; nazwisko, które nic mi nie mówiło, i jeśli mam być szczerzy, niezbyt mi się spodobało. Zrewidowałem wcześniejsze przekonanie, jakoby ta kobieta potrzebowała wsparcia, i pomyślałem sobie, że ma coś do sprzedania — prawdopodobnie jakiś podrabiany antyk, rzekomą okazję — i że trudno będzie mi się opędzić przed jej natarczywością.

Powiedziałem, że przykro mi, lecz nie przyjmę pani Yougoubian, natomiast nie mam nic przeciwko temu, by swoją sprawę przedstawiła listownie. Parfitt skinął głową i wycofał się. Polegając na nim absolutnie (kaleka, taki jak ja, potrzebuje godnego zaufania personelu), nie miałem najmniejszej wątpliwości, że problem już nie istnieje. Ku mojemu wielkiemu zdumieniu Parfitt jednakże pojawił się ponownie. Kobieta, powiedział, jest bardzo natarczywa. Dodał, że to, co ją do mnie sprowadza, ma być sprawą życia i śmierci i ma dotyczyć mojego starego przyjaciela.

Zapłonąłem ciekawością. Nie z powodu takiej zapowiedzi — to był oczywisty gambit; życie i śmierć i stary przyjaciel to zwykłe pionki w grze. Nie, moją ciekawość wywołało zachowanie Parfitta; on nigdy nie wróciłby do mnie z tego rodzaju przesłaniem. Doszedłem więc do wniosku, że Catherine Yougoubian jest niewyobrażalnie piękna, a przynajmniej niezwykle atrakcyjna. Nic poza tym, pomyślałem, nie tłumaczy jego zachowania.

Miałem pięćdziesiąt lat, byłem kaleką, lecz nie przestałem być mężczyzną: dałem się wciągnąć w pułapkę. Zapragnąłem zobaczyć to promienne stworzenie, które potrafiło złamać opór nieskazitelnego służącego.

Zatem poleciłem wprowadzić kobietę, lecz gdy Catherine Yougoubian wkroczyła do pokoju, niemal mi dech w piersiach zaparło!

Istotnie, nietrudno było zrozumieć postawę Parfitta. Jego osąd ludzkiej natury jest absolutnie nieomylny. Rozpoznał w Catherine osobę, przed której uporem i stanowczością padają wszelkie mury. Postąpił mądrze, kapitulując od razu, a tym samym oszczędzając sobie długiej i nużącej batalii. Catherine Yougoubian charakteryzowała się bowiem nieugiętością młota kowalskiego i monotonią palnika acetylenowo-tlenowego lub też, jeśli ktoś woli, cierpliwością kropli, która drąży skałę! W drodze do celu czas się dla niej nie liczył. Zdeterminowana, mogłaby siedzieć w moim hallu cały dzień. Należała do kobiet, które żyją jedną ideą, co daje im niebywałą przewagę nad mniej prostolinijnymi osobnikami.

Tak więc szok, jakiego doznałem na jej widok, był straszliwy. Całkowicie nastawiłem się na to, że ujrzę prawdziwą piękność. A tu, kobieta, która przekracza próg mojego pokoju, jest przeraźliwie, można by powiedzieć monumentalnie nijaka. Nie szpetna, proszę zauważyć. Szpetota ma swój urok i dość często udaje jej się podbijać ludzi. Catherine miała wielką, płaską jak naleśnik, pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu twarz, szerokie usta i ledwo rysujący się wąsik nad górną wargą. Jej małe i czarne oczy przywodziły na myśl rodzynki w zakalcowatym cieście, a bujne włosy były zaniedbane i okropnie przetłuszczone. To, co zwykle się nazywać figurą, było do tego stopnia bezkształtne, że nie zasługiwało na jej nazwę. Nijak nie pasujące ubranie, zakrywające skrzętnie całe ciało, nie dawało odpowiedzi na pytanie, czy jego właścicielka jest nędzarką, czy osobą zamożną. Do tego wszystkiego należało dodać stanowczy podbródek i — jak usłyszałem, kiedy mój gość otworzył usta — chrapliwy, nieprzyjemny głos.

Rzuciłem pełne wyrzutu spojrzenie Parfittowi, lecz ten wytrzymał je z niezmaconym spokojem. Najwidoczniej był przekonany, jak zwykle, że wie, co robi.

— Pani Yougoubian, proszę pana — powiedział i wycofał się, zamykając za sobą drzwi i zostawiając mnie na łasce tej stanowczej z wyglądu istoty płci żeńskiej.

Catherine zbliżyła się do mnie, nie czekając na jakąkolwiek zachętę. Nigdy jeszcze nie czułem się tak bezradny, tak w pełni świadom swojego kalectwa. Od takiej kobiety wskazane byłoby uciekać jak najdalej, lecz w moim wypadku nie mogło być mowy o żadnej ucieczce.

— Proszę pójść ze mną, jeśli łaska — przemówiła głośnym, stanowczym tonem. To była nie tyle prośba, ile żądanie.

— Słucham? — powiedziałem, nie wierząc własnym uszom.

— Niestety, nie mówię zbyt dobrze po angielsku. Lecz nie ma czasu do stracenia. W ogóle nie ma czasu. Proszę pójść ze mną do pana Gabriela. On jest bardzo chory. On umiera. Pyta o pana. Więc jeśli chce go pan zobaczyć, musi pan iść natychmiast.

Wpatrywałem się w nią z niedowierzaniem. Mówiąc szczerze, myślałem, że jest szalona. Nazwisko Gabriel nie wywarło na mnie żadnego wrażenia choćby dlatego, że wymówione zostało niewyraźnie. W ogóle nie zabrzmiało jak „Gabriel”. Ale nawet gdyby, to i tak zapewne nie drgnęłaby we mnie żadna czuła struna. To wszystko działo się tak dawno temu. Upłynęło pewnie z dziesięć lat od czasu, kiedy ostatni raz myślałem o Johnie Gabrielu.

— Chce pani powiedzieć, że ktoś umiera? Ktoś, ehm, kogo znam?

Popatrzyła na mnie z gorzkim wyrzutem.

— Ależ tak, zna go pan, zna go pan dobrze, a on pragnie pana zobaczyć.

Była tak bezwzględnie pewna swego, że zacząłem łamać sobie głowę, jak brzmiało nazwisko, które wymieniła. Gable? Galbraith? Istotnie, znałem swego czasu niejakiego Galbraitha, inżyniera górnictwa, lecz była to znajomość powierzchowna; zakrawało zatem na absurd, by to on wzywał

mnie na łożu śmierci. Jednak chyląc czoło przed siłą charakteru Catherine, ani przez moment nie wątpiłem, że mówi prawdę.

— Jakie nazwisko pani wymieniła? — zapytałem. — Galbraith?

— Nie, nie. Gabriel. Słyszysz pan?! Gabriel!

Wytrzeszczyłem oczy. Tym razem usłyszałem jak należy, lecz to słowo kojarzyło mi się jedynie z archaniołem Gabrielem i parą jego wielkich skrzydeł. Wizja ta nieźle zresztą pasowała do Catherine Yougoubian. Jej żarliwość w wypełnianiu sobie tylko znanego posłannictwa przywodziła na myśl typ nabożnej niewiasty, którą zazwyczaj dawni włoscy prymitywiści umieszczali w lewym dolnym rogu swoich obrazów. W zawieszonym nade mną zakalcowatym obliczu zlewały się w jedno szczególna prostota rysów i płomienne poświęcenie.

Dodała nieustępliwie, zawzięcie:

— John. John Gabriel.

Wróciło do mnie wszystko. Zakręciło mi się w głowie i poczułem lekkie mdłości. St Loo, trzy stare kobiety i Milly Burt, i John Gabriel ze swoją brzydką, pełną ekspresji twarzą, kołyszący się łagodnie na piętach. I Rupert, wysoki i przystojny jak młody bóg. I, oczywiście, Isabella...

Przypomniałem sobie ostatnie spotkanie z Johnem Gabrielem w Zagrade, jak również to, co się tam wówczas wydarzyło, i poczułem, jak wzbiera we mnie gorąca fala gniewu i obrzydzenia...

— A więc on umiera? — zapytałem bezlitośnie. — Miło mi to usłyszeć!

— Słucham?

Są takie słowa, których nie sposób powtórzyć, kiedy ktoś mówi grzecznie: „Słucham?” Catherine Yougoubian zdawała się kompletnie nic nie pojmować. Powiedziałem tylko:

— Mówi pani, że on umiera?

— Tak. Umiera i cierpi. Straszliwie cierpi.

Cóż, tego również słuchałem z przyjemnością. Żaden ból nie mógł być wystarczającą pokutą za to, co John Gabriel uczynił. Jednak zabrakło mi odwagi, by powiedzieć to kobiecie, która najwyraźniej była jego oddaną wielbicielką. Co takiego kryło się w tym indywiduum, zastanawiałem się zirytowany, że kobiety zawsze ulegały jego czarowi? Był brzydki jak wszyscy diabli. Był pretensjonalny, prostacki, chełpliwy. Kierował się własnym rozumem i był, w pewnych okolicznościach (raczej podłych!), dobrym kumplem. Był obdarzony poczuciem humoru. Ale przecież żadna z tych cech nie wpływa w sposób zasadniczy na powodzenie mężczyzn u płci pięknej.

Catherine przerwała moje rozmyślanie.

— Pójdzie pan, prawda? Pójdzie pan? Zaraz? Nie ma czasu do stracenia.

Wziąłem się w garść.

— Przykro mi, droga pani — powiedziałem stanowczo. — Obawiam się jednak, że nie będę mógł jej towarzyszyć.

— Ale on się o pana upomina — nalegała.

— Mimo to nie pójdę.

— Pan nic nie rozumie. On jest chory. Jest umierający; powtarzam, on chce się z panem zobaczyć.

Zebrałem się w sobie do walki. Wreszcie zaczynałem pojmować (Parfitt zrozumiał to w lot), że Catherine Yougoubian nie poddaje się łatwo.

— Pani się myli — powiedziałem. — John Gabriel nie jest moim przyjacielem.

Zaprzeczyła gwałtownym ruchem głowy.

— Ależ tak, jest. Wyczytał w gazecie pańskie nazwisko i to, że jest pan członkiem jakiejś komisji. Kazał mi pana szukać. Błagam, pan musi iść prędko, bardzo prędko. Doktor mówi, że to zaraz. Pójdzie pan od razu, zgoda?

Uznałem, że nie pozostaje mi nic innego jak szczerłość.

— John Gabriel może się usmażyć w piekle, mało mnie to obchodzi — powiedziałem.

— Słucham?

Popatrzyła na mnie z niepokojem, marszcząc grzecznie swój długi nos; najwyraźniej nic nie pojmowała...

— John Gabriel — oznajmiłem wolno i dobitnie — nie jest moim przyjacielem. To człowiek, którego nienawidzę. Nienawidzę! Czy rozumie mnie pani?

Catherine Yougoubian zamrugwała. Zdawało mi się, że wreszcie coś do niej dotarło.

— Pan mówi — zaczęła z trudem, jak dziecko przepowiadające trudną lekcję — pan mówi że... że pan... że nienawidzi pan Johna Gabriela? Dobrze usłyszałam?

— Bardzo dobrze — odparłem.

Moja rozmówczyni uśmiechnęła się, lecz był to uśmiech szaleńca.

— Nie, nie — powiedziała pobłaźliwie — to niemożliwe. Nikt nie mógłby nienawidzić Johna Gabriela. To bardzo wielki... bardzo dobry człowiek. Każdy z nas, z tych, którzy go znają, chętnie umarłby za niego...

— Dobry Boże! — krzyknąłem wyprowadzony z równowagi. — I czymże ten człowiek zaskarbił sobie tyle ludzkich uczuć?

No cóż, stało się. Zadałem pytanie. Catherine Yougoubian zapomniała o pilności swojej misji. Usiadła, odgarnęła z czoła kosmyk tłustych włosów i z błyszczącymi entuzjazmem oczami otworzyła usta, dając upust słowom...

Mówiła, jak sędzę, przez kwadrans. Chwilami, kiedy zmagiła się z angielską wymową, trudno ją było zrozumieć; chwilami jej słowa płynęły wartko. Ale całe przedstawienie i tak miało wielki epicki wymiar.

Mówiła z czcią, lękiem, pokorą, z uwielbieniem. Mówiła o Johnie Gabrielu, jak się mówi o mesjaszu. Zresztą, najwyraźniej, on był dla niej mesjaszem. Mówiła o nim rzeczy, które brzmiały w moich uszach jak czysta fantazja, jak coś całkowicie niemożliwego. Mówiła o mężczyźnie czułym, dzielnym i silnym. O przywódcy i opiekunie. Mówiła o kimś, kto ryzykuje własne życie dla innych; o kimś, kto z całej duszy nienawidzi okrucieństwa i niesprawiedliwości. John Gabriel był dla niej prorokiem, królem, zbawcą — kimś, kto uświadamia ludziom ich własną odwagę i siłę. Niejednokrotnie torturowany, okaleczony, półżywy, przewycięzał niemoc ciała zwykłą siłą woli i kontynuował swoje niewiarygodne dzieło.

— Pan, jeśli mam dać wiarę pańskim słowom, nie wie, czego ten człowiek dokonał — zakończyła. — Ale przecież ojca Clementa zna każdy. Każdy!

Nie mogłem oderwać od niej wzroku. To, co mówiła, było prawdą. Każdy słyszał o ojcu Clemencie. To było imię, które działało cuda, nawet jeśli niektórzy utrzymywali, że za tym imieniem nikt się nie kryje, że to czysty mit i że taki człowiek w rzeczywistości nigdy nie istniał.

Jak opisać legendę, jaka narosła wokół ojca Clementa? Proszę wyobrazić sobie połączenie Ryszarda Lwie Serce, ojca Damiena* i Lawrence'a z Arabii*. W jednej osobie rycerz, święty i lekkomyślny łowca przygód. W latach, które nastąpiły po drugiej wojnie światowej, Europa i Azja przeżywały ponury czas. Szerzył się strach, a strach prowokował do dalszego okrucieństwa i barbarzyństwa. Cywilizacja zaczynała się załamywać. W Indiach i w Persji działy się potworne rzeczy; masowe masakry, głód, tortury, anarchia...

I pośród tej czarnej nocy pojawiła się postać, niemal legendarna, człowiek, który pod przybranym imieniem ojca Clementa ocalał dzieci, ratował ludzi przed torturami, przeprowadzał swoje trzódki przez niedostępne górskie ścieżki ku bezpiecznym przystaniom, osadzał je we wspólnotach. Otaczany czcią, kochany, wielbiony — legenda, nie człowiek.

A teraz ta kobieta, ta Catherine Yougoubian, ośmielała się łączyć z jego imieniem imię Johna Gabriela, byłego członka parlamentu z okręgu St Loo, kobieciarza, pijaka; człowieka, który zawsze i wszędzie działał na własną korzyść. Niebieski ptak, oportunistą, indywiduum nie posiadające żadnych cnót, chyba że cnotę brawury.

Wtem niepokojąco zachwiałem się w swoim niedowierzaniu. W nieprawdopodobnej — jak byłem przekonany — historii, opowiedzianej przez Catherine, tkwiło coś, co miało pozory wiarogodności.

Zarówno ojcu Clementowi, jak i Johnowi Gabrielowi nie brakowało niezwyklej odwagi, a niektóre z bohaterskich czynów legendarnej postaci nacechowane były śmiałością graniczącą z zuchwalstwem i blefem. No tak, takie postępowanie pasowałoby do Johna Gabriela. Lecz Gabriel, taki, jakiego znałem, był zwykłym pyszałkiem. Wszystko, co robił, robił dla poklasku. Jeśliby zatem przeistoczył się w ojca Clementa, z pewnością wiedziałby o tym cały świat.

Nie, nie wierzyłem, nie wolno mi było uwierzyć. Mimo to, kiedy Catherine Yougoubian zamilkła bez tchu, kiedy zgasł w jej oczach żar uniesienia i usłyszałem ponownie monotonne: „A więc, pójdzie pan ze mną?”, wezwałem Parfitta. Ten pomógł mi się podnieść, podał kule i sprowadził po schodach do taksówki. Catherine Yougoubian umościła się u mego boku.

Cóż, nie potrafiłem odmówić sobie poznania prawdy. Ludzka ciekawość? Być może. Upór Catherine? (Ostatecznie trzeba było jej ustąpić!) Tak czy owak, chciałem zobaczyć Johna Gabriela. Chciałem zobaczyć, jeślibym miał pogodzić historię ojca Clementa z tym, co było mi wiadome o Johnie Gabrielu z St Loo. Chciałem, być może, przekonać się, czy dostrzegę w nim to, co dostrzegła Isabella — co musiała dostrzec, skoro postąpiła tak, jak postąpiła...

Nie wiem, na co liczyłem, pokonując za Catherine Yougoubian wąskie schody i wchodząc do ciasnej, umieszczonej od strony podwórza sypialni. Był tam brodaty francuski lekarz z manierami dostojnika kościelnego. Właśnie pochylał się nad swoim pacjentem, lecz na mój widok odsunął się na bok, kurtuazyjnie ustępując miejsca przy łóżku. Nie uszło mojej uwagi badawcze spojrzenie, jakim szybko mnie obrzucił. Ciekaw był zapewne osobnika, którego wielki człowiek życzył sobie zobaczyć przed śmiercią.

Doznałem szoku. Od tamtych dni w Zagrade minęły wieki. Nigdy bym nie rozpoznał umierającego na moich oczach mężczyzny. Bo to, że umierał, nie ulegało wątpliwości. Nieunikniony koniec był bardzo blisko. Zdawało mi się, że w zagłębionej w poduszki twarzy, nie widzę cienia znajomych rysów. Catherine Yougoubian chyba miała rację. To wycieńczone oblicze było obliczem świętego. Nosilo piętno cierpienia, śmiertelnej udręki... Ślady ascezy. No i emanowało wewnętrznym spokojem. A przecież żadna z tych cech nie miała nic wspólnego z człowiekiem, którego znałem jako Johna Gabriela.

Mężczyzna otworzył oczy, popatrzył na mnie... i uśmiechnął się szeroko. To był ten sam uśmiech i te same oczy — piękne oczy w małej, brzydkiej twarzy klauna.

— A więc jednak! Przyprowdziła pana! Ormianki są cudowne — powiedział z widocznym wysiłkiem.

Tak, to był John Gabriel. Skinął na lekarza i słabym, cierpiącym, a mimo to władczym głosem zażądał środka pobudzającego. Na nic się zdały słowa sprzeciwu, które, jak się domyślałem, kryły w sobie obawę przed przyspieszeniem końca. Gabriel je zlekceważył. Dał do zrozumienia, że ostatni zastrzyk energii jest dla niego ważny i koniecznie potrzebny. Lekarz wzruszył ramionami i uległ. Po zaaplikowaniu leku wyszedł z Catherine z pokoju, a ja zostałem sam na sam z jego pacjentem.

Gabriel od razu przystąpił do rzeczy. — Chciałbym, żeby pan wiedział, jak umarła Isabella.

Odparłem, że o śmierci Isabelli wiem wszystko.

— Nie — zaprotestował. — Nie sędzę...

To wówczas przedstawił mi końcową scenę z kawiarni w Zagrade. Opiszę ją w odpowiednim momencie.

Potem powiedział już tylko jedną rzecz. Coś, co jest powodem, dla którego snuję tę opowieść.

Ojciec Clement przeszedł do historii. Jego niewiarogodne życie, pełne heroizmu, wytrwałości, współczucia dla bliźnich i odwagi jest własnością tych, którzy lubią opisywać żywoty bohaterów, a wspólnoty, które wymyślił i stworzył, stały się pierwowzorem dzisiejszych doświadczeń wspólnotowych, toteż z pewnością powstanie wiele biografii ich twórcy. Moja opowieść dotyczy Johna Merryweathera Gabriela, kawalera Krzyża Wiktorii za zasługi na polu walki, oportunisty, człowieka zmysłowego, człowieka o wielkim uroku osobistym. John Merryweather Gabriel i ja, każdy na swój sposób, kochaliśmy tę samą kobietę.

Wszyscy startujemy jako centralna postać naszej własnej historii. Czas na refleksję, na wątpliwości, na tracenie gruntu pod nogami przychodzi później. Tak samo było ze mną. Najpierw to była wyłącznie moja historia. Liczyłem się ja i tylko ja. Potem oprócz mnie liczyła się Jennifer, i moją historię zacząłem traktować jako historię nas dwojga. Liczyliśmy się my, tylko my: Romeo i Julia, Tristan i Izolda. A potem, kiedy pogrążyłem się w ciemności i rozczarowaniu, niby księżyc przez nocne niebo, przez moją wyobraźnię przepłynęła Isabella. I to ona była centralnym motywem haftu, a ja — ja byłem szarym krzyżkowym tłem, niczym więcej. Niczym więcej, lecz także niczym mniej, ponieważ bez szarego tła wzór nie rzuca się w oczy.

Teraz raz jeszcze wzór się zmienił. To nie jest moja historia, to nie jest historia Isabelli. To jest historia Johna Gabriela.

Historia kończy się w miejscu, w którym ją rozpocząłem. Kończy się wraz z Johnem Gabrielem. Lecz także tutaj się zaczyna.

Rozdział pierwszy

Od czego powinienem zacząć? Od St Loo? Od spotkania wyborczego w Drill Hall, gdzie przyszedł kandydat konserwatystów, major John Gabriel, kawaler Krzyża Wiktorii, przedstawiony przez starego (i to bardzo) generała wygłaszał mowę inauguracyjną, a my, lekko rozczarowani bezbarwnym, pospolitym głosem i nieładną twarzą, musieliśmy wzmacniać w sobie ducha wspomnianiem jego waleczności, a także napominaniem samych siebie, iż nie należy buntować się przeciw kontaktom z ludem? Cóż, kiedy uprzywilejowane klasy zostały tak żałośnie przeredowane!

A może powinienem zacząć od Polnorth House, położonego na wąskim skrawku lądu frontem do morza; od tarasu, na który w jakiś piękny, słoneczny dzień został wystawiony mój wózek inwalidzki, a ja spoglądałem na Atlantyckie, na grzbiety fal i na szary punkcik skały, który łamał linię horyzontu i na którym wyrastały flanki i wieże strzelnicze zamku St Loo, wyglądającego, jak mi się zawsze zdawało, niby delikatna akwarela namalowana przez jakąś romantyczną pannę w, powiedzmy, 1860 roku.

Zamek St Loo ma tak nieprawdziwą, tak sztuczną, tak teatralnie romantyczną atmosferę, jaka może zaistnieć jedynie w czymś, co w gruncie rzeczy jest autentyczne. No cóż, budowano go w czasach, gdy ludzka natura była na tyle prostolinijna, by otwarcie cieszyć się duchem romantyzmu. Przywodzi na myśl oblężenia, smoki, więzione księżniczki i rycerzy w zbrojach, i całą tę widowiskowość właściwą przerysowanym filmom historycznym. Choć, jakby się głębiej zastanowić, to czy historia, sama w sobie, nie jest zwykłym przerysowanym filmem?

Patrząc na zamek St Loo, człowiek spodziewa się spotkania z kimś w rodzaju lady St Loo i lady Tressilian, i pani Bigham Charteris, i Isabelli. A kiedy one się tam rzeczywiście pojawiają, doznaje szoku!

Czy zatem powinienem zacząć od wizyty złożonej przez te trzy wiekowe damy, razem z tym ich trzymaniem się prosto, ich niegustownymi strojami, ich brylantami w staromodnej oprawie? Od tego, jak mówię do Teresy, urzeczonym głosem: „Ależ one nie mogą być... one po prostu nie mogą być... realne”?

Czy też nieco wcześniej — na przykład od dnia, w którym wsiadłem do samochodu i ruszyłem na lotnisko w Northolt na spotkanie z Jennifer?

Lecz jeśli tak, to nie mogę pominąć milczeniem mojego życia, które rozpoczęło się trzydzieści osiem lat wcześniej, a które tamtego dnia miało się zakończyć...

To nie jest moja historia. Wszak już to powiedziałem. Ale zaczęła się tak, jakby miała być moja. Zaczęła się ode mnie, Hugh'a Norreysa. Patrząc wstecz na własne życie, widzę, że niczym się nie różniło od życia każdego innego mężczyzny; było zwyczajne, ani bardziej, ani mniej interesujące.

Zawierało w sobie nieuniknione rozczarowania i zawody, sekretne dzieciinne udręki; miało także momenty podniecające, momenty harmonii z sobą i światem i chwile głębokiego zadowolenia, biorącego się z niezwykle prozaicznych przyczyn. Wszystko zależy od tego, od której strony na nie spojrzeć: strony zawiedzionych nadziei, czy tej drugiej — tej, którą można by nazwać kroniką triumfów i zwycięstw. Obie dają świadectwo prawdzie, a rzecz w końcu zawsze sprowadza się do wyboru. Jest Hugh Norreys taki, jakim widzi sam siebie, i Hugh Norreys taki, jakim widzą go inni. I ten widziany oczyma Boga. I Hugh Norreys, esencja trzech poprzednich. Jednak jego historia jest historią, którą potrafiłby zapisać jedynie biograf anioł.

Wróćmy więc do kwestii: jak dużo wiem teraz o młodym człowieku, który na początku 1945 roku wsiadł do pociągu w Penzance, udając się do Londynu? No cóż, życie (powinienem odpowiedzieć, gdyby zadano mi takie pytanie), ogólnie rzecz biorąc, potraktowało mnie dobrze. Przed wojną z zamiłowaniem oddawałem się pracy w szkole; nie narzekałem na doświadczenia wojenne; czekała na mnie posada nauczyciela z perspektywą współzarządzania szkołą. Miałem romanse, które mnie raniły, i takie, które dawały mi satysfakcję, choć żaden z nich nie wpłynął zbyt mocno na moje życie. Utrzymywałem związki z rodziną, stosowne, acz niezbyt bliskie. Miałem trzydzieści siedem lat i tamtego szczególnego dnia serce mi szeptało, że zdarzy się coś, na co podświadomie czekałem od pewnego czasu. Tak, czekałem na coś... na jakieś doznanie, na jakieś ostateczne wydarzenie...

Otóż to. Tamtego szczególnego dnia zdałem sobie nagle sprawę, że dotąd wszystko w moim życiu było powierzchowne i że najwyższa pora zmierzyć się z czymś realnym. Prawdopodobnie każdy człowiek doświadcza takiego uczucia choćby raz w życiu. Czasami przychodzi ono wcześniej, czasami później. To taki moment, który przypomina ostatnie sekundy w krykcie, kiedy to przymierzasz się do uderzenia...

Wsiadłem więc do pociągu w Penzance, a ponieważ byłem po obfitym śniadaniu, wziąłem numerki na trzecią turę lunchu. I kiedy konduktor przeszedł przez wagon, nawołując nosowym głosem: „Trzecia tura, proszę państwa, tylko za numerkami...”, podniosłem się i naszyłem do wagonu restauracyjnego. Szef sali wskazał mi moje miejsce.

No cóż, bywają zrządzania losu, takie czy inne. Nie można ich przewidzieć ani zaplanować. Usiadłem twarzą w twarz z Jennifer. Jennifer płakała. Nie od razu to spostrzegłem. Moja przypadkowa towarzyszą bardzo starała się panować nad sobą, a ja z kolei omijałem ją wzrokiem; oboje zachowywaliśmy się tak, jak przystało na dwoje przypadkowych podróżnych w wagonie restauracyjnym. Przesunąłem w jej stronę menu — grzecznym, aczkolwiek nic nie znaczącym gestem, zważywszy, że w daniach nie było wielkiego wyboru: bulion, ryba lub mięso, legumina lub ser. Jedna cena: 4,6.

Odpowiedziała stosownie do okoliczności: grzecznym zdawkowym uśmiechem i skinieniem głowy. Kelner zapytał nas, czego życzymy sobie do picia. Oboje zamówiliśmy jasne piwo.

Tu nastąpiła przerwa, podczas której przeglądałem przyniesiony ze sobą magazyn. Następnie kelner przebiegł pędem przez wagon z filiżankami bulionu i dwie z nich postawił przed nami. Nie wychodząc z roli dżentelmena, przesunąłem do Jennifer sól i pieprz. O jakiś cal bliżej. Aż do tej chwili nie spojrzałem na nią, to znaczy nie przyjrzałem się otwarcie, chociaż, oczywiście, zdążyłem skonstatować pewne podstawowe fakty. Była na pewno o kilka lat młodsza ode mnie; była średniego

wzrostu, miała ciemne włosy, jej pozycja społeczna prawdopodobnie odpowiadała mojej, no i była na tyle ponętna, bym w patrzeniu na nią znajdował pewną przyjemność, aczkolwiek nie na tyle, by swą urodą siać niepokój.

Właśnie zamierzałem obejrzeć ją sobie nieco dokładniej i gdyby to było wskazane, posunąłbym się prawdopodobnie do kilku niezobowiązujących uwag. Może tak, a może nie. Lecz nagle coś popsulo mi szyki. Otóż mój wzrok, który uporczywie błędził na wysokości stojącej naprzeciw mnie filiżanki, natknął się na coś, co do niej skapywało. Bez hałasu, bez widocznego powodu wprost do bulionu trafiały łzy, jedna po drugiej.

Byłem wstrząśnięty. Obrzuciłem moją towarzyszkę ukradkowym spojrzeniem. Łzy prędko przestały płynąć, a młoda kobieta dopiła bulion; najwyraźniej wzięła się w garść. Zareagowałem, choć nikt mnie o to nie prosił:

— Pani jest przeraźliwie nieszczęśliwa, czyż nie mam racji?

— Jestem bezdennie głupia! — odpowiedziała gwałtownie.

Zamilkliśmy oboje. Kelner zabrał filiżanki po bulionie. Postawił przed nami mikroskopijne porcje zapiekanki mięsnej i podsunął pod nos olbrzymi półmisek kapusty. Do tego dodał dwa pieczone ziemniaki, z miną, jakby wyświadczał nam szczególną łaskę.

Spojrzałem w okno i powiedziałem coś na temat krajobrazu. Posunąłem się jeszcze do kilku ogólnych uwag o Kornwalii. Przyznałem, że nie znam jej dobrze. A ona? Ona odparła, że i owszem, zna, bo tu właśnie mieszka. Porównaliśmy Kornwalię z Devonshire i z Walią, i ze wschodnim wybrzeżem. Nasza wymiana zdań nie miała żadnego znaczenia. Pokrywaliśmy nią zmieszanie. Ona czuła się winna łez w miejscu publicznym, zaś ja — bo te łzy zauważyłem.

Do punktu wyjścia wróciliśmy dopiero, gdy pojawiła się przed nami kawa i poczęstowałem ją papierosem, a ona nie odmówiła.

Przyznałem wówczas, iż moje zachowanie z pewnością nie było zbyt taktowne, lecz stało się, i nic na to nie poradzę. Ona odparła, że zdaje sobie sprawę, iż traktuję ją jak ostatnią idiotkę.

— Nie — zachnąłem się. — Uważam po prostu, że znalazła się pani u kresu wytrzymałości. Prawda? — Tak, ma pan rację. To jest upokarzające — dodała — dojść do stanu takiego roztkliwienia się nad sobą, że się przestaje panować nad uczuciami, i to na oczach innych!

— Ale pani starała się nic po sobie nie pokazać. I to bardzo.

— Rzeczywiście, nie posunęłam się do głośnego szlochu — powiedziała. — Jeśli to ma pan na myśli.

Zapytałem, w jak ciężkich jest tarapatach. Odparła, że w bardzo ciężkich. Znalazła się u kresu swej drogi i nie wie, co ma dalej począć.

Tak też mi się zdawało. Unosząca się wokół niej atmosfera bezgranicznej rozpaczki była prawie

namacalna, toteż nie zamierzałem pozwolić jej odejść w tak złym nastroju.

— Proszę opowiedzieć mi o swoim nieszczęściu. Jestem pani obcy, przed obcymi można się otworzyć bez żadnego ryzyka — powiedziałem.

— Tu nie ma o czym opowiadać, poza tym, że narobiłam mnóstwo piekielnego zamieszania.

Przekonywałem ją, że prawdopodobnie nie jest tak źle, jak jej się wydaje. Mówiłem, że powinna raz jeszcze zaufać losowi, że powinna zacząć żyć od nowa, powinna wykrzesać z siebie dużo odwagi — po prostu powinna podnieść się z żalosego roztkliwiania nad własnym cierpieniem i stanąć na nogi. Nie miałem najmniejszej wątpliwości, że to ja jestem tym kimś, kto mógłby jej w tym pomóc... Tak, i właśnie tak się stało, i to wkrótce.

Patrzyła na mnie z powątpiewaniem, jak nieufne dziecko. A potem wyrzuciła z siebie wszystko. Jednym tchem.

W środku całej opowieści, jakżeby inaczej, przyszedł kelner z rachunkiem. Dobrze się stało, pomyślałem, że jedliśmy lunch w trzeciej turze. Przynajmniej nie zechcą nas wyrzucić w pośpiechu z wagonu restauracyjnego. Dodałem do mojego rachunku dziesięć szylingów, na co kelner skłonił się dyskretnie i ulotnił bez słowa. Słuchałem dalej.

Jennifer czuła się skrzywdzona. Stawiała czoło wszelkim przeciwnościom losu z nieprawdopodobną wręcz odwagą, lecz natura nie wyposażyła jej w dostateczne siły fizyczne. Wszystko od początku obracało się przeciwko niej, poczynając od dzieciństwa, przez dorastanie, aż do małżeństwa. Jej otwartość i impulsywność nieustannie wpędzały ją w tarapaty. Oczywiście, zawsze znajdą się sposoby na wygodne życie, lecz ona wołała się ich nie chwycić; wołała robić dobrą minę do złej gry. A kiedy to zawiodło, kiedy jedyna droga ucieczki okazała się złą drogą, znalazła się w gorszym niż kiedykolwiek położeniu.

Za wszystko, co się wydarzyło, oskarżała siebie. Moje serce drgnęło czułą nutą; podobał mi się taki rys charakteru — żadnego osądzania innych, żadnej urazy.

— Zapewne jest w tym moja wina — wzdychała raz po raz.

Bliski był huknięcia na nią: „Ależ skąd! Proszę nie mówić o swojej winie! Czyż pani nie rozumie, że jest ofiarą? Zawsze nią pani będzie, a przynajmniej tak długo, jak długo będzie pani przyjmowała postawę kogoś, kto za wszystko obwinia siebie”.

Była cudowna w swojej udręce, w swoim nieszczęściu, w zawiedzionych nadziejach. Myślę, że to w tamtej chwili, kiedy dzieliła nas niewielka szerokość restauracyjnego stołu, stało się dla mnie oczywiste, na co dotąd czekałem — na Jennifer. Ale nie na to, aby nią zawładnąć, nie; czekałem, aby dać jej szansę zapanowania nad własnym życiem, aby zobaczyć ją szczęśliwą, zobaczyć ją taką, jaka była naprawdę.

Tak, stało się oczywiste... i nie minęło wiele tygodni, a uświadomiłem sobie, że jestem w niej zakochany.

No cóż, przyznaję, nietrudno mi to przyszło.

Nie zaplanowaliśmy następnego spotkania. Teraz myślę, że ona naprawdę wierzyła, iż nasze drogi nigdy się nie zejdą. Ja wiedziałem swoje. Powiedziała mi, jak się nazywa. Kiedy przyszło nam wreszcie opuścić wagon restauracyjny, usłyszałem bardzo słodki głos:

— To pożegnanie. Proszę jednak wierzyć, że nigdy pana nie zapomnę. Nie zapomnę tego, co pan dla mnie zrobił. Byłam zrozpaczona, całkowicie zrozpaczona.

Ująłem jej rękę mówiąc „żegnam”, choć wiedziałem, że to nie jest pożegnanie. Byłem tego tak bardzo pewny, że chętnie obiecałem, iż nie będę jej szukał. Tak się składało, że mieliśmy wspólnych przyjaciół, a zatem wytropienie jej było zaledwie kwestią czasu. Dziwne, że nasze drogi nie przecięły się wcześniej.

Zobaczyłem ją tydzień później na koktajlu u Caro Strangeways. Od tamtego dnia żadne z nas nie miało już wątpliwości. Oboje wiedzieliśmy, co nam się przydarzy...

Spotykaliśmy się i rozstawali i znów spotykali. Spotykaliśmy się na przyjęciach, u przyjaciół, spotykaliśmy się w małych, cichych restauracjach, wsiadaliśmy do pociągów jadących na wieś i spacerowaliśmy, spowici oparami nierealnej błogości.

Pewnego razu poszliśmy na koncert, aby posłuchać Elizabeth Schumann. Śpiewała jakby specjalnie dla nas. Śpiewała o ścieżce, którą będziemy wędrować we dwoje, na której zapomnimy o świecie i zagubimy się w marzeniach, na zawsze połączeni niebiańską miłością...

Kiedy wyszliśmy wprost w zgiełk i tumult Wigmore Street, powtórzyłem ostatnie słowa pieśni Straussa: „w miłości i szczęściu, które nie zna granic...” i spojrzałem jej w oczy.

— Och, nie, Hugh, to nie dla nas... — powiedziała. — Ależ tak, dla nas...

Dla nas, obstawałem przy swoim, ponieważ będziemy szli razem aż do końca życia. Nie, ona nie może rzucić wszystkiego ot tak sobie, mówiła dalej. Mąż, czego była pewna, nie pozwoli jej odejść.

— A czyż on sam nie dąży do rozwodu?

— To co innego... Och, Hugh, czy nie możemy zostawić spraw własnemu biegowi?

Powiedziałem, że nie możemy. Czekałem zatem, obserwując, jak zмага się z powrotem do normalności. Nie chciałem wymuszać przedwczesnych decyzji; dałem jej czas, by na nowo stała się szczęśliwym, pełnym radości stworzeniem, takim, jakim była z natury. No i doczekałem się. Jennifer stanęła na nogi, znów była silna, fizycznie i psychicznie. A zatem przyszła pora, aby coś postanowić.

Nie szło jak po maśle. Ona miała cały zapas dziwnych, zupełnie niemożliwych do przewidzenia zastrzeżeń. Większość z nich dotyczyła mnie i mojej kariery, kariery, którą już widziała w gruzach. Tak, mówiłem, zdaję sobie z tego sprawę, mogę zaprzepaścić karierę, ale nie dbam o to. Jestem młody, na uczeniu dzieci świat się nie kończy.

Płakała. Mówiła, że nigdy by sobie nie wybaczyła, iż przez nią zrujnowałem własne życie. Odpowiadałem, że życia nic mi nie może zrujnować, chyba że jej odejście. Bez niej, upierałem się, moje życie się skończy, nie tylko zrujnuje.

Mieliśmy wiele złych i dobrych chwil. Raz zdawała się przyjmować moje argumenty, potem nagle, ni stąd, ni zowąd, zmieniała zdanie. Cóż, można by powiedzieć, że brakowało jej pewności siebie. Jednak powoli, krok po kroku zaczynała podzielać mój punkt widzenia. Łączyła nas nie tylko namiętność. Łączyło nas coś więcej: harmonia serc i myśli, rozkosz rozumienia się bez słów, wspólne uczestniczenie w tysiącu drobnych codziennych przyjemności.

W końcu przestała się bronić. Przyznała mi rację: stanowimy dobraną parę.

— To prawda, Hugh! Choć nie wiem, jak to możliwe. Trudno mi uwierzyć, bym znaczyła dla ciebie tak wiele, jak mówisz. Ale trudno mi też wątpić.

Słowo się rzekło. Zaczęliśmy robić plany, niezbędne doczesne plany.

Był rześki słoneczny poranek, kiedy obudziłem się i zdałem sobie sprawę, że właśnie tego dnia wkraczamy w nowe życie. Od teraz Jennifer i ja mieliśmy być razem. Dotychczas bałem się uwierzyć w taki dar losu. Wciąż obawiałem się, że dziwny, wręcz chorobliwy brak zaufania we własne siły, jaki przejawiała na każdym kroku, każe jej wycofać się choćby w ostatniej chwili.

Nic więc dziwnego, że tamtego ostatniego poranka w tamtym życiu, chciałem mieć absolutną pewność. Zadzwoiłem do niej. — Jennifer... — Hugh...

Jej głos drżał leciutko... A więc to prawda. Powiedziałem:

— Wybacz, kochanie. Musiałem cię usłyszeć. Czy to wszystko dzieje się naprawdę?

— Tak, naprawdę...

Mieliśmy się spotkać na lotnisku w Northolt. Nuciłem, ubierając się, nuciłem, starannie się goląc. Twarz, na którą patrzyłem w lustrze, miała wyraz idiotycznej szczęśliwości. To był mój i tylko mój dzień! Dzień, na który czekałem od trzydziestu ośmiu lat. Zjadłem śniadanie, sprawdziłem bilety, paszport. Zszedłem do samochodu. Za kierownicą siedział Harriman. Powiedziałem mu, żeby przesiadł się do tyłu, bo dziś ja będę prowadził.

Wyjechałem z Mews na główną drogę. Samochód poddał się ruchowi ulicznemu. Miałem mnóstwo czasu. To był wspaniały ranek, wręcz cudowny, stworzony specjalnie dla Hugh i Jennifer. Chciało mi się śpiewać i krzyczeć.

Z bocznej drogi wypadła ciężarówka z prędkością czterdziestu pięciu mil na godzinę — tu nic nie dało się przewidzieć ani niczego uniknąć; nie popełniłem żadnego błędu, nie miałem czasu na żadną reakcję. Kierowca ciężarówki był pijany, jak się potem dowiedziałem. Zresztą, jakie to miało znaczenie!

Ciężarówka uderzyła w buicka, zepchnęła go na pobocze, rozbiła, a mnie uwięziła w metalowej

pułapce. Harriman zginął na miejscu.

Jennifer czekała na lotnisku, ale ja nie przyjechałem. Samolot odleciał bez nas.

Rozdział drugi

Nie ma większego sensu opisywanie, co było potem. Po prostu — film się urwał. Nastął chaos, nastąpiła ciemność, zjawił się ból... Wędrowałem bez końca, jak mi się zdawało, po długich podziemnych korytarzach. W krótkich przerwach docierało do mnie mgliście, że znajduję się w sali szpitalnej. Intuicyjnie wyczuwałem obecność lekarzy, pielęgniarek w białych czepkach, wyczuwałem zapach środków antyseptycznych, blask stalowych instrumentów, lśnienie szklanych, przetaczanych w pośpiechu tu i tam, stolików na kółkach...

Świadomość odzyskiwałem powoli; ból stawał się łagodniejszy, a mrok nie tak gęsty, lecz obce mi jeszcze były jakiekolwiek myśli o ludziach czy miejscach. Zranione zwierzę odróżnia jedynie ból albo jego kres; nie potrafi się skoncentrować na niczym innym. Lekarstwa, litościwie uśmierzając fizyczne cierpienie, zaćmiewają umysł, a tym samym wzmagają uczucie chaosu.

Jednak jasne przerwy w długich pasmach mroku były coraz częstsze i wreszcie nastąpił taki moment, kiedy mi wyraźnie powiedziano, że miałem wypadek. Tak oto poznałem prawdę o własnej bezradności, o uszkodzonym ciele... Nie było już dla mnie miejsca w świecie mężczyzn.

Zaczęły się odwiedziny. Mój brat, zakłopotany, oniemiały nie wiedział jak się znaleźć ani co powiedzieć. Nigdy nie byliśmy ze sobą nadmiernie zżyci. Przynajmniej nie do tego stopnia, bym mógł rozmawiać z nim o Jennifer. A przecież tylko o niej myślałem. Kiedy poczułem się lepiej, przyniesiono mi listy. Listy od niej...

Tylko najbliższej rodzinie wolno było do mnie przychodzić. Jennifer z formalnego punktu widzenia była zaledwie moją znajomą.

Hugh, kochany, nie pozwalają mi się z Tobą zobaczyć — pisała. — Przyjdę, jak tylko cofną zakaz. Ściskam Cię z całego serca. Staraj się wydobrzeć, Jennifer.

I dalej, w drugim liście:

Trzymaj się, Hugh. Żyjesz, więc nic poza tym nie ma znaczenia. Wkrótce będziemy razem — na zawsze. Twoja Jennifer.

Napisałem jej, gryzmołąc pospiesznie kilka zdań, że nie musi przychodzić. Cóż miałbym teraz zaofiarować mojej Jennifer?

Zobaczyłem ją dopiero wówczas, gdy opuściłem szpital i znalazłem się w domu mojego brata. Zanim to się stało, jej listy były nieodmienne w treści i w tonie. Kochamy się! Nawet jeśli bym nigdy nie wyzdrowiał, i tak będziemy razem. Będzie się mną opiekować. Wciąż jeszcze czeka nas szczęście; nie takie, o jakim marzyliśmy, ale jednak szczęście.

I choć powodowany impulsem, chciałem z miejsca przeciąć łączące nas więzy i powiedzieć:

„Odejdź i nigdy nie wracaj”, to jednak dawałem posłuch złudzeniom. Chciałem wierzyć, tak jak i ona, że to, co zaszło między nami, nie jest wyłącznie wspólnotą dwóch ciał. Chciałem wierzyć, że mamy przed sobą życie, które zdołają wypełnić rozkosze czysto duchowego związku. Dla niej z pewnością byłoby lepiej zapomnieć o mnie, ale jeśli tego nie chciała?

Snułem takie i inne rozważania na długo przedtem, nim ustąpiłem i zgodziłem się na jej przyjście. Tymczasem pisywaliśmy do siebie często i nasze listy z tamtego okresu były prawdziwymi listami miłosnymi. Podnosiły nas na duchu, a w ich tonie pobrzmiewał heroizm.

Cóż, w końcu zgodziłem się, by przyszła. Nie pozwolono jej długo zabawić. Mimo to wszystko stało się jasne, jak przypuszczam, już wtedy. Przyszła powtórnie. Po trzecim razie miałem dość. Trzecia wizyta trwała dziesięć minut, a mnie się zdawało, że półtorej godziny! Nie wierzyłem własnym oczom, kiedy po jej wyjściu spojrzałem na zegarek. Prawdopodobnie i dla Jennifer było to najdłuższe w życiu dziesięć minut.

Po prostu nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. Tak, po prostu. Nic, mimo wszystko — nic.

Czy jest gorycz podobna tej, która pozostaje po straconych złudzeniach? Wydumana wspólnota dusz, nasze myśli, które skwapliwie uzupełniały się nawzajem, nasza przyjaźń, nasze koleżeństwo, okazały się niczym innym jak tylko iluzją; ulotną złudą, jaką daje wzajemne przyciąganie kobiety i mężczyzny. Natura to pułapka, natura to krańcowe, najbardziej chytre oszustwo. Między mną a Jennifer istniał jedynie pociąg płciowy. Co do całej reszty — okłamywaliśmy się. To była namiętność, nic poza tym. Odkrycie, jakiego wreszcie dokonałem, zawstydziło mnie, zaprawiło moje myśli goryczą i doprowadziło do stanu, w którym pozostaje już tylko krok do nienawiści — zarówno do tej drugiej osoby, jak i do samego siebie. Przyglądaliśmy się sobie z żalem, zastanawiając się, każde na swój sposób, co stało się z cudem, o którego zaistnieniu oboje byliśmy przeświadczeni.

Ona była przystojną, młodą kobietą, to oczywiste. Lecz kiedy o czymś opowiadała, ja zaczynałem się nudzić. A kiedy ja mówiłem — nudziła się ona. Nie mieliśmy o czym ze sobą rozmawiać.

Jennifer czyniła sobie wyrzuty za wszystko, co się stało, choć wcale tego nie oczekiwałem i choć to miało posmak hysterii. Myślałem sobie w duchu, dlaczego, u licha, robi tyle zamieszania?

Trzecia wizyta dobiegła więc końca i Jennifer, już przy drzwiach, powiedziała lekkim tonem: — Hugh, kochanie, niebawem znów przyjdę. — Nie — odparłem. — Nie przyjdiesz. — Ależ oczywiście, że przyjdę — upierała się, choć jej słowa brzmiały pusto i nieszczerze.

— Na litość boską, Jennifer, nie udawaj. To koniec. Wszystko skończone! — rzuciłem ostro.

Zaprzeczyła, dodając, że nie wie, o co mi chodzi. Wszak ma zamiar spędzić życie, opiekując się mną, dzięki czemu oboje będziemy bardzo szczęśliwi. Była zdecydowana poświęcić się, a to sprawiło, że krew uderzyła mi do głowy. Obawiałem się — o tak! — że robi, jak mówi. Może już na zawsze pozostanie tuż obok i będzie szczebiotać, silić się na uprzejmość, zasypywać mnie głupimi, banalnymi uwagami... Wpadłem w panikę zrodzoną ze słabości i choroby.

Ryknąłem na nią, by sobie poszła, by wreszcie sobie poszła! Poszła, przestraszona. Ale zdążyłem

zobaczyć ulgę w jej oczach.

Kiedy moja bratowa przyszła zaciągnąć zasłony, powiedziałem:

— Skończone, Tereso. Poszła sobie... ach, naprawdę poszła... Jak uważasz, chyba już nie wróci?

— Nie, nie powinna — odpowiedziała bratowa spokojnie.

— Czy nie uważasz, że to z powodu choroby dopatruję się we wszystkim zła? — zapytałem.

Teresa wiedziała, co mam na myśli. Odparła, że według niej, choroba taka jak moja może jedynie sprawić, iż widzi się wszystko takim, jakie jest w rzeczywistości.

— Chcesz powiedzieć, że dopiero teraz poznałem się na Jennifer?

I tak, i nie, usłyszałem w odpowiedzi. Teresa nie uważała, by moja wiedza o Jennifer była głębsza teraz niż przedtem. Jej zdaniem jednak wreszcie zdałem sobie sprawę ze sposobu, w jaki ta kobieta oddziaływała na mnie.

Zapytałem ją, co sama myśli o Jennifer. Odpowiedziała, że zawsze uważała ją za atrakcyjną i miłą, choć nie do końca interesującą osobkę.

— Myślisz, że jest bardzo nieszczęśliwa?

— Tak, myślę, że tak.

— Przeze mnie?

— Nie, przez siebie.

— Wiesz, ona obwinia siebie za mój wypadek. Powtarza w kółko, że gdybym nie jechał na spotkanie właśnie z nią, nigdy by mi się nic podobnego nie przytrafiło. Przecież to bez sensu, nie sądzisz?

— I owszem, bez sensu.

— Nie chcę, by doprowadzała się do takiego stanu. Tereso, ja nie chcę, by była nieszczęśliwa.

— Ależ, Hugh! — Teresa podniosła głos. — Naprawdę zostaw tę dziewczynę sobie samej!

— To znaczy?

— Jennifer uwielbia swoje nieszczęścia. Czy nigdy się nad tym nie zastanawiałeś?

Chłodna klarowność myślenia mojej bratowej jak zwykle podziałała na mnie deprymująco. Powiedziałem jej, iż jest nieludzka. Teresa, zamyślona, przyznała że być może, aczkolwiek chyba nie w odniesieniu do tej sytuacji.

— Przestań wreszcie wierzyć w fantastyczne historie. Jennifer zawsze znajdowała prawdziwą przyjemność w wynajdywaniu zmartwień; wręcz się nimi upajała. No cóż, każdemu wolno mieć własny sposób na życie. Radzę ci, Hugh, nie rozczulaj się nigdy nad kimś, kto sam nad sobą nie ma litości. Współczucie dla innych zawsze było twoją słabą stroną. To dlatego nie potrafisz trzeźwo oceniać rzeczywistości.

Z satysfakcją nazwałem Teresę wstrętnym babskiem. Powiedziała, że pewnie mam rację.

— Ty nigdy nikogo nie żałujesz.

— Żałuję. Na swój sposób żałuję Jennifer.

— A mnie?

— Sama nie wiem.

— Czy to, że jestem okaleczonym wrakiem człowieka i że nie mam po co żyć, naprawdę cię nie wzrusza? — zapytałem sarkastycznie.

— To nie tak, ja po prostu nie wiem, czy powinno się ciebie żałować, czy nie. Chodzi o to, że znów znalazłeś się na początku drogi i że otwiera się przed tobą szansa na całkiem inne niż dotychczas życie. Być może bardzo interesujące.

Powiedziałem Teresie, że nie ma w sobie ani krzty ludzkich uczuć, na co ona uśmiechnęła się i wyszła.

Od tamtej pory powinienem się czuć jej dłużnikiem. Wyświadczyła mi dużo dobrego.

Rozdział trzeci

Wkrótce przeprowadziliśmy się do St Loo w Kornwalii. Teresa właśnie odziedziczyła tam dom po ciotecznej babce. Mnie lekarz gorąco zalecał wyjazd z Londynu, Mój brat Robert, malarz, którego malarstwo jest dla większości ludzi spaczoną wizją krajobrazu, swoją wojenną służbę, podobnie jak większość artystów, i tak odbywał na wsi. Zatem wszystko do siebie pasowało.

Teresa wyjechała wcześniej, aby przygotować dom na nasze przybycie, a ja, uporawszy się szczęśliwie z mnóstwem formularzy, zostałem dowieziony do St Loo specjalnym ambulansem.

— Czy dzieje się tutaj coś ciekawego? — spytałem Teresę następnego ranka.

Teresa była dobrze poinformowana. Są tu trzy odrębne światy, powiedziała. Jeden to stara, skupiona wokół przystani rybacka osada z wysokimi, krytymi łupkiem domami i z sztyldami wypisanymi w trzech językach — angielskim, flamandzkim i francuskim. Drugi, odsunięty trochę dalej, to ciągnąca się wzdłuż linii wybrzeża, pęczniejąca z biegiem lat, brzydka narośl nowoczesnej turystycznej i willowej zabudowy. Wielkie, luksusowe hotele, tysiące małych bungalowów, nieskończenie wiele domków letniskowych do wynajęcia — wszystko tętniące życiem w miesiącach letnich i zapadające w odrętwienie na pozostałą część roku. No i świat trzeci, a mianowicie zamek St Loo, którym zarządzała stara wdowa, lady St Loo. To on jest jądrem swoistego stylu bycia i to od niego rozchodzą się promieniście, niby konary wyrastające z jednego pnia, kręte ścieżki prowadzące do domostw porzucanych po dolinach, obok wiekowych kościółków. Typowe hrabstwo, podsumowała Teresa.

— A gdzie jest nasze miejsce? Który z tych światów będzie naszym? — zapytałem.

Teresa stwierdziła, że należymy do „hrabstwa”, a to dlatego, że Polnorth House, własność jej zmarłej ciotecznej babki, panny Amy Tregellis, przeszedł w jej, Teresy, posiadanie poprzez dziedziczenie. Inaczej rzecz by wyglądała, gdyby dom został kupiony. — Robert także? — drążyłem dalej. — Mimo iż jest malarzem?

Z tym jest pewien problem, przyznała. W sezonie w St Loo bywa zbyt wielu malarzy.

— No, ale jest moim mężem — dodała łaskawie. — I poza tym jego matką była niejaka Bolduro spod Bodmin.

Poprosiłem Teresę, by wyjawiała, co będziemy robili w nowym domu, a mówiąc dokładniej, co ona zamierza robić. Moja rola była oczywista i sprowadzała się do kibicowania.

Teresa miała gotową odpowiedź: zamierza uczestniczyć we wszystkich lokalnych wydarzeniach. — To znaczy?

To znaczy, powiedziała, że zajmie się polityką i ogrodnictwem. Przede wszystkim. W wolnych

chwilach będzie zaglądać do Instytutu Kobiet, a także uczestniczyć w imprezach dobroczynnych, choćby takich jak powitanie powracających do domu żołnierzy.

— Ale na pierwszym miejscu stawiam politykę — nie omieszkała zapewnić. — Zwłaszcza że czekają nas wybory powszechne.

— Czy miałaś już kiedyś do czynienia z tą dziedziną życia, Tereso?

— Nie, Hugh, nie miałam. Dotychczas nie uważałam tego za konieczne. Poprzestawałam na głosowaniu na kandydata, który, moim zdaniem, wyglądał na najmniej szkodliwego.

— No tak, i to się nazywa uprawianiem polityki — mruknąłem pod nosem.

Ale teraz, powiedziała, zabierze się do polityki na poważnie. Oczywiście dla Teresy liczyła się jedynie Partia Konserwatywna. Ktoś, kto posiadał Polnorth House, nie mógł być nikim innym, jak tylko torysem, a wiekowa panna Amy Tregellis przewróciłaby się z pewnością w grobie, gdyby siostrzenica, i to ta, której własnoręcznie zapisała w testamencie wszystkie swoje skarby, miała głosować na laburzystów.

— A gdybyś tak była przekonana, że laburzyści stanowią lepszą partię?

— Na szczęście nie jestem — odpowiedziała. — A poza tym nie sądzę, by jedna partia od drugiej czymkolwiek się różniła.

— Trafiłaś w sedno, Tereso.

Dwa tygodnie po tym, jak osiedliliśmy się w Polnorth House, odwiedziła nas lady St Loo. Przywiodła też swoją siostrę — lady Tressilian, szwagierkę — panią Bigham Charteris i wnuczkę Isabelle.

Po ich wyjściu powiedziałem do Teresy urzeczonym głosem, że te kobiety nie mogą być realne. Za bardzo pasowały do moich wyobrażeń o zamku St Loo. Były jak z baśni. Trzy wiedźmy i zaklęta królewna.

Adelaide St Loo była wdową po siódmym baronie. Jej mąż poległ w wojnie burskiej. Jej dwaj synowie zginęli podczas pierwszej wojny światowej. Nie zostawili po sobie dziedzica w linii męskiej, ale po młodszym została córka, Isabella, której matka umarła przy porodzie. Tytuł przeszedł zatem na kuzyna mieszkającego w Nowej Zelandii. Dziewiąty lord St Loo chętnie wydzierżawił zamek starej wdowie. Tu dorastała Isabella, pod opieką babki, a z czasem także lady Tressilian, owdowiałej siostry lady St Loo i ich owdowiałej szwagierki, pani Bigham Charteris. Trzy stare kobiety wspólnym kosztem utrzymywały rodową posiadłość i wspólnie łożyły na wychowanie Isabelli — uważały, że zamek St Loo jest miejscem należnym dziewczynie z urodzenia. Wszystkie przekroczyły siedemdziesiątkę i były podobne do stadka czarnych wron. Lady St Loo miała szeroką, kościstą twarz o orlim nosie i wysokim czole. Lady Tressilian była pulchna, a w jej wielkim, okrągłym obliczu nieustannie mrugały małe paciorki oczu. Pani Bigham Charteris była chuda i żylasta. Wiekowe damy, dla których najwyraźniej czas stanął w miejscu, swoim wyglądem

przywodziły na myśl epokę edwardiańską. Nosiły (choć z umiarem) podniszczoną biżuterię, niewątpliwie prawdziwą — gwiazdki, półksiężycy i podkowy — poupinaną w nieprawdopodobnych miejscach.

Z takimi oto trzema starymi damami z zamku St Loo przyszła Isabella — idealnie pasująca do powszechnego wyobrażenia o baśniowej zaklętej królownie. Wysoka i wiotka, o długiej, wąskiej twarzy, wysokim czole i luźno puszczonej popielatoblond włosach, była prawie tak niewiarogodna jak postać z dawnych witraży. Choć nie była ładna czy atrakcyjna, było od niej jakieś piękno, tyle że piękno z odległych czasów, nie mające wiele wspólnego z dzisiejszymi kanonami urody. Nie ożywiały jej ani powabne rumieńce, ani nieregularność rysów. Jej uroda była średniowieczna, surowa i poważna. Lecz jej twarz nie była bez wyrazu; miała w sobie coś, co określiłbym jedynie mianem szlachetności. Powiedziałem więc do Teresy, iż stare damy nie mogą być realne, i dodałem, że trudno mi też uwierzyć w realność dziewczyny.

— Księżniczka uwięziona w ruinach zamku? Tak? — domyślnie podpowiedziała Teresa.

— Właśnie! Powinna przyjechać tutaj na mleczno — białym rumaku, a nie bardzo starym daimlerem. Ciekawe, o czym też ona myśli.

Isabella niewiele mówiła podczas oficjalnej wizyty. Siedziała wyprostowana jak struna, a na jej ustach błąkał się łagodny, nieobecny uśmiech. Zapytana, nie zwlekała z grzeczną odpowiedzią, lecz to nie na niej spoczywał ciężar towarzyskiej konwersacji; tę prawie w całości zmonopolizowały babka i ciotki. Zastanawiałem się, czy przyszła do nas z nudów, czy przez ciekawość. Jej życie, pomyślałem, jest pewnie dość nudne.

— Czy w czasie wojny nie była zmobilizowana? Czy cały czas była w domu? — spytałem Teresę.

— Isabella ma dopiero dziewiętnaście lat*. Od skończenia szkoły pracowała w Czerwonym Krzyżu.

— Szkoły? — Byłem zaskoczony. — Chcesz powiedzieć, że Isabella była w szkole? W szkole z internatem?

— Tak. W St Ninian's.

To zaskoczyło mnie jeszcze bardziej. St Ninian's było bowiem drogą, nowoczesną szkołą — nie koedukacyjną ani w żadnym innym sensie uduchowioną, lecz zakładem dla młodych panien, szczytującym się awangardowymi metodami nauczania.

— Uważasz to za dziwne? — spytała moja bratowa.

— A wiesz, że tak — odparłem z wolna. — Ta dziewczyna sprawia wrażenie, jakby nigdy nie wyszła za próg własnego domu, jakby wychowano ją w otoczeniu żywcem przeniesionym ze średniowiecza i szczelnie izolowanym od wpływów dwudziestowiecznej cywilizacji.

Teresa pokiwała głową w zamyśleniu.

— No tak — powiedziała. — Wiem, o co ci chodzi. Mój brat Robert dołączył zgodnie do naszego dwugłosu. To tylko dowodzi, dodał, jak bardzo w wychowaniu liczy się dom. Dom i dziedziczne predyspozycje.

— Wciąż się zastanawiam, o czym też ona myśli — drażylem dalej.

— Być może nie myśli w ogóle — powiedziała Teresa.

Rozśmieszyła mnie ta sugestia. Jednak pobudzona wyobraźnia nie dawała mi spokoju. Dziewczyna była dziwna...

W tamtym szczególnym okresie mego życia cierpiałem z powodu niemal chorobliwego skrępowania własną kondycją. Zawsze byłem zdrowym i wysportowanym mężczyzną, a takie rzeczy jak choroba lub kalectwo działały na mnie odpychająco. Potrafiłem się zdobyć na litość wobec innych, to jasne, lecz na ogół za tą litością szła lekka odraza.

A teraz sam byłem człowiekiem, wzbudzającym i litość i odrazę: kaleka, bezwładny mężczyzna o powykręcanych kończynach, przykuty do wózka inwalidzkiego, otulony pledem bez względu na pogodę.

Przeczulony, drażliwy, wciąż wypatrywałem — kurcząc się w sobie — cudzych reakcji na mój widok. I obojętnie jakie one były, zżymałem się na nie nieodmiennie; by mnie zmrozić, wystarczyło uprzejme, współczujące spojrzenie. Nie mniej okropnie odbierałem zwykły takt, który zmuszał ludzi do traktowania mnie jak całkowicie normalnego osobnika. Gdyby nie żelazna, wola Teresy, z pewnością zamknąłbym się w sobie i nie chciał widzieć nikogo. Mojej bratowej jednak, kiedy już się na coś uweźmie, trudno stawiać opór. Postanowiła sobie, że nie zostanę odludkiem. Potrafiła, i to bez zbędnych słów, zasugerować mi, że zamknięcie się w sobie i stwarzanie wokół siebie aury tajemniczości byłoby formą autoreklamy. I choć zdawałem sobie sprawę z jej poczynań, a także z motywów, jakimi się kieruje, poddałem się: chciałem, z ponurą przekorą, udowodnić, że stać mnie na podjęcie wyzwania, jakie mi rzuca. Współczucie, takt, nadzwyczajna słodycz czyjś głosu, skrupulatne unikanie jakichkolwiek wzmianek o wypadkach czy chorobach, udawanie, że jestem podobny innym — to wszystko potrafiłem od tej pory znosić z twarzą pokerzysty.

Reakcję starych dam na mój widok uznałem za niezbyt krępującą. Lady St Loo przyjęła linię taktownego uniku. Lady Tressilian, z natury wszystkim matkująca, nie potrafiła ukryć swego współczucia. Skierowała rozmowę na ostatnio wydane książki i zapytała, czy już którąś przeglądałem. Pani Bigham Charteris, kobieta otwarta, dała do zrozumienia, iż zauważa mój stan, jedynie przez dość wyraźne kontrolowanie się przy mówieniu o co bardziej krwawych sportach. (Biedaczka, nie śmiała nawet wspomnieć o polowaniach i psach gończych.)

Jedynie dziewczyna, Isabella, zaskoczyła mnie naturalnym sposobem bycia. Patrzyła na mnie wprost, nie odwracając wzroku. Patrzyła, jakby rejestrując moją obecność pośród innych osób znajdujących się w pokoju, a także pośród mebli. Jeden mężczyzna po trzydziestce, połamany... Kolejna pozycja w katalogu. Katalogu rzeczy, z którymi nie miała nic wspólnego. Kiedy skończyła ze mną, przeniosła wzrok na wielki fortepian, a potem na wyeksponowaną na stoliku figurkę konia z epoki Tang, własność Roberta i Teresy. Drogocenny przedmiot zdawał się wzbudzać w niej pewne

zainteresowanie. Zapytała mnie, co to takiego. Odpowiedziałem wyczerpująco i z kolei sam zadałem pytanie:

— Podoba się pani?

Zastanawiała się dość długo nad odpowiedzią. W końcu powiedziała, kładąc na tę jedną sylabę tak wielki nacisk, jakby to miało jakieś znaczenie:

— Tak.

Zakiełkowała mi w głowie myśl, że być może mam do czynienia z kretynką. Zapytałem, czy lubi konie. Odpowiedziała, że ten na stole jest pierwszym, jakiego widzi.

— Mam na myśli prawdziwe konie.

— Och, rozumiem. Oczywiście. Ale nie mogę sobie pozwolić na udział w polowaniach.

— A lubi je pani?

— Nieszczerólnie. Tutaj nie ma dobrych terenów łowieckich.

Zapytałem, czy żegluje; odparła, że tak. W tym momencie lady Tressilian zaczęła mówić do mnie o książkach, a Isabella popadła w milczenie. Miała, spostrzegłem to już wówczas, do perfekcji opanowaną jedną sztukę: sztukę odpoczywania. Potrafiła siedzieć nieruchomo. Nie paliła, nie krzyżowała nóg, nie kołysała nimi, nie wyłamywała palców ani nie gładziła włosów. Siedziała na krześle o wysokim oparciu, w absolutnym bezruchu, wyprostowana, ze złożonymi na podołku, długimi, wąskimi dłońmi. Była tak nieporuszona jak ów chiński koń; on na swoim stoliku, ona na swoim krześle. Mają ze sobą coś wspólnego, pomyślałem, są bardzo dekoracyjni, statyczni, należą do czasu, który minął...

Roześmiałem się na sugestię Teresy, że Isabella w ogóle nie myśli, choć potem przyszło mi do głowy, że może to prawda. Zwierzęta nie myślą — ich umysły są odprężone, pasywne — dopóki nie muszą zmierzyć się z niebezpieczeństwem. Myślenie (z teoretycznego punktu widzenia) jest w znacznej mierze sztucznym procesem, który wykształciliśmy w sobie z konieczności. Martwimy się tym, co zrobiliśmy wczoraj, rozważamy, co mamy zrobić dzisiaj, i zastanawiamy się nad jutrem. Lecz wczoraj, dziś i jutro istnieje zupełnie niezależnie od spekulacji naszego mózgu. Istniało i będzie istnieć bez naszego udziału.

Przewidywania Teresy co do naszego życia w St Loo były niezwykle dokładne. Prawie natychmiast wpadliśmy aż po szyję w wir spraw związanych z polityką. Polnorth House był wielki, zbudowany bez jednolitego planu, więc panna Amy Tregellis, obciążona zbyt wielkimi podatkami, odcięła jedno skrzydło i przeznaczyła je na oddzielną kuchnię. Pierwotnie ta kuchnia miała służyć przesiedleńcom z terenów bombardowanych. Jednak przesiedleńcy z Londynu nie mogli ścierpieć okropności Polnorth House i to w środku zimy. „W samym St Loo, razem z jego sklepami i bungalowami, z trudem, bo z trudem, jednak dałoby się wyżyć, lecz jakąś milę od miasta? Przy paskudnej, krętej drodze — błotnistej, jakżeby inaczej, i do tego bez latarni — gdzie każdy mógł

wyskoczyć na ciebie z za żywopłotu? A te jarzyny, utyłane ziemią, prosto z grządki! Za dużo tej całej zieleniny, mówię ci. A mleko? Wyobraź sobie, prosto od krowy, czasami jeszcze ciepłe — brr... co za obrzydliwość — i ani na lekarstwo tak praktycznej puszki skondensowanego!” Tego było za wiele dla pani Price i pani Hardy oraz ich latorośli. Zgarnęły swoją trzódkę i potajemnie skoro świt wróciły do niebezpiecznego Londynu. Były miłymi kobietami. Zostawiły po sobie wszystko wyszorowane i wysprzątane, a na stole położyły liścik.

Dziękujemy pani, panno Tregellis, za uprzejmość. Wiemy, że zrobiła pani wszystko, co w pani mocy, ale na wsi jest po prostu zbyt okropnie, a do tego dzieci muszą chodzić do szkoły po błocie. Mimo wszystko, i raz jeszcze, dziękujemy. Mam nadzieję, że nie zostawiłyśmy po sobie bałaganu.

Urzędnik zajmujący się zakwaterowaniem uciekinierów, nie ponowił dalszych prób, uczył się na błędach. Po jakimś czasie panna Tregellis oddała oddzielne skrzydło kapitanowi Carslake’owi, — konserwatyście, który wiódł ruchliwe życie jako członek cywilnej obrony przeciwlotniczej i funkcjonariusz armii obronnej.

Robert i Teresa bynajmniej nie nalegali na wyprowadzkę lokatorów. W istocie nie wiadomo, czy gdyby chcieli, mogliby się ich pozbyć. Jednak pozostanie Carslake’ów w odcięтым przez ciotkę skrzydle oznaczało, że Polnorth House i jego okolice stały się drugim — obok biur konserwatystów na High Street w samym St Loo — centrum aktywności przedwyborczej.

Teresa, zgodnie ze swymi przewidywaniami, została wciągnięta w wir pracy. Prowadziła samochody, rozdawała ulotki i delikatnie werbowwała stronników. St Loo miało obecnie nieustabilizowane preferencje polityczne. Jako modna miejscowość letniskowa a także port rybacki, otoczone rolniczymi terenami w sposób naturalny ciążyło ku Partii Konserwatywnej. Konserwatyści mogli liczyć na wszystkie tutejsze okręgi ziemskie. Jednak charakter St Loo zmienił się w ciągu ostatnich piętnastu lat. Latem było wziętym kurortem dzięki domkom letniskowym do wynajęcia. Miało dużą kolonię artystów, którzy mieszkali w bungalowach rozrzuconych jak wysepki wzdłuż klifowego wybrzeża. Ludzie stanowiący obecnie miejscową społeczność brali siebie serio, interesowali się sztuką; byli wykształceni, a w polityce — zdecydowanie różowi, jeśli nie czerwoni.

W 1943 roku, kiedy liczący sześćdziesiąt dziewięć lat sir George Borrodaile przeszedł na emeryturę po drugim wylewie, odbyły się w St Loo wybory uzupełniające. I ku przerażeniu zasiedziałyich mieszkańców pierwszy raz w historii wygrał przedstawiciel laburzystów.

— Proszę sobie wyobrazić — kapitan Carslake, kołysząc się na piętach do przodu i do tyłu, wprowadzał Teresę i mnie w tajniki tutejszych wydarzeń — nie powiem, że sami się do tego nie przyczyniliśmy.

Carslake był chudym, małym, ciemnowłosym mężczyzną, o końskim wyglądzie i przebiegłym spojrzeniu. Został kapitanem w 1918 roku, kiedy to wstąpił do korpusu wojsk pomocniczych. Był wyrobiony politycznie i znał się na swojej pracy.

Muszę się tutaj przyznać, że jeśli chodzi o politykę, jestem wiecznym nowicjuszem. Nigdy tak naprawdę nie rozumiałem jej specyficznego żargonu. Moja relacja z wyborów w St Loo jest prawdopodobnie szalenie nieścista; tyle jej do rzeczywistości, co drzewom z obrazów Roberta do ich pierwowzorów. Prawdziwe drzewa są po prostu drzewami, tworamii natury z korą, z gałęziami, liśćmi i żołędziami czy kasztanami. Drzewa Roberta to napaćkane grubą warstwą farby olejnej plamy o zaskakujących dzikością kolorach, układające się w pewne wzory na pewnej powierzchni płótna. Jedne i drugie nic a nic do siebie niepodobne. Według mnie te z obrazów Roberta równie dobrze można wziąć za talerz szpinaku lub budynek gazowni. Ale Robert właśnie tak je widzi. Tak też i moja relacja z życia politycznego St Loo będzie odpowiadała jedynie moim wyobrażeniom. Politycy zapewne niewiele z niej wyniosą. Przypuszczam, że zastosowałem niewłaściwą terminologię, że w ogóle źle zabrałem się do dzieła. Lecz dla mnie tamte wybory były jedynie mglistym i bałamutnym tłem dla pełnowymiarowej, realnej postaci — dla Johna Gabriela.

Rozdział czwarty

Po raz pierwszy nazwisko Johna Gabriela padło pewnego wieczoru, kiedy Carslake tłumaczył Teresie, jak doszło do takiego, a nie innego rezultatu wyborów uzupełniających.

Sir James Bradwell z Torington Park, sześćdziesięciodwuletni kandydat konserwatystów, dość zamożny obywatel tego okręgu, człowiek ze wszech miar prawy, był bezkompromisowym torysem o zdrowych zasadach. Niestety, natura nie obdarzyła go polotem czy refleksem; nie miał też talentu do publicznych wystąpień i cechował się całkowitą bezradnością wobec kłopotliwych pytań.

— Żałosny na trybunie — mówił Carslake. — Wprost żałosny. Trudno mu było przebrnąć przez te wszystkie „ehm” i „ahm”, i „uhm”. Pisaliśmy mu przemowy, a jakże, i ściągaliśmy na co ważniejsze mityngi wyborcze prawdziwie dobrych mówców. Swój gość, porządny, honorowy, bezwzględnie uczciwy: prawdziwy dżentelmen. Byłby dobry jakieś dziesięć lat temu, ale w dzisiejszych czasach ludzie chcą czegoś więcej!

— Pewnie chodzi im o intelekt — powiedziałem domyślnie.

— Ach, nie przesadzajmy — zachnął się Carslake. — Ludziom chodzi o dowcipnego cwaniaka o ciętym języku, który na wszystko ma gotową odpowiedź, którego słowa wzbudzają na widowni salwy śmiechu i który sypie obietnicami jak z rękawa. Staroświecki typ, taki jak Bradwell, jest zbyt sumienny, by sobie na to pozwolić. Bradwell nie powiedziałby nigdy, że wszyscy dostaną domy na własność i że wojna skończy się jutro, i że każda kobieta będzie miała w mieszkaniu centralne ogrzewanie i pralkę.

No więc, jak należało się spodziewać — ciągnął dalej — Bradwell zaczął tracić przychylność wyborców. Zaczęto szemrać, że torysi są u władzy zbyt długo i że przy nich w St Loo nigdy nie dojdzie do żadnych zmian. Jego konkurent, Wilbraham, kompetentny facet, nauczyciel, nie objęty służbą wojskową, rozwodził się nad tym, co zamierza zrobić dla powracających z wojny żołnierzy, plótl trzy po trzy o nacjonalizacji, o systemie ubezpieczeń zdrowotnych. Zwykle, puste gadanie, ale pod publiczność. No i facet zwyciężył dwoma tysiącami głosów. W St Loo taka rzecz zdarzyła się po raz pierwszy. To nami dobrze potrzęsnęło, wierzcie mi. Dostaliśmy niezłą nauczkę. Tym razem nie możemy pokpić sprawy. Wilbrahama trzeba pozbyć się raz na zawsze.

— Czy Wilbraham cieszy się dużą popularnością? — Taką sobie. Nie obdziela nikogo pieniędzmi, lecz jest sumienny i ma nienaganne maniery. Na pewno nie pójdzie z nim łatwo. Musimy wziąć się w garść i to w całym hrabstwie.

— Nie uważa pan, że znów wygrają laburzyści?

Wtedy, w 1945 roku, nie spodziewaliśmy się takiego obrotu sprawy. Carslake powiedział, że to niemożliwe, jego zdaniem hrabstwo stoi murem za Churchillem.

— Choć, oczywiście, w całym kraju możemy nie mieć takiej samej przewagi. To zależy, jak się rozłożą głosy liberałów. Mówiąc między nami, pani Norreys, nie zdziwiłbym się, gdyby wzrosły ich notowania.

Zerknąłem na Teresę. Usiłowała przybrać minę osoby całkowicie pochłoniętej polityką.

— Jestem pewien, że pani pomoc wielce nam się przyda — powiedział Carslake serdecznie.

— Obawiam się, że marny ze mnie polityk — mruknęła.

— No cóż — usłyszeliśmy w odpowiedzi — wszyscy musimy porządnie zakasać rękawy.

Popatrzył na mnie wymownie, a ja natychmiast zaofiarowałem się adresować koperty.

— Przecież nadal mogę używać rąk — powiedziałem.

Na twarzy Carslake'a pojawił się wyraz zakłopotania. Znów zaczął się kołysać na piętach.

— Wspaniale — rzekł po chwili. — Wspaniale. To gdzie pan tak zarobił? W północnej Afryce?

Odparłem, że tak zarobiłem na Harrow Road. To dobiło go zupełnie. Jego zakłopotanie stało się tak wyraźne, że niemal namacalne. Szukając rozpaczliwie ratunku, zwrócił się do Teresy:

— Pani mąż zapewne też nam pomoże? Teresa potrząsnęła przecząco głową.

— Niestety, obawiam się, że nie. Mój mąż jest komunistą.

Gdyby powiedziała, że Robert jest czarną mambą, nie mogłaby Carslake'a bardziej wyprowadzić z równowagi. Aż się zatrząsł.

— Widzi pan — Teresa pospieszyła z wyjaśnieniem — to artysta.

Carslake odetchnął z wyraźną ulgą. Artysci, pisarze i tacy tam inni...

— Rozumiem — powiedział tolerancyjnie. — No tak, rozumiem.

— W ten sposób Robert został wyłączony z całej sprawy, — rzekła Teresa, kiedy zostaliśmy sami.

Stwierdziłem, że jest kobietą bez skrupułów. Kiedy zjawił się Robert, Teresa poinformowała go o

jego preferencjach politycznych.

— Ależ ja nigdy nie byłem członkiem partii komunistycznej — zaprotestował. — To znaczy, gustuję w ideach komunistów. Myślę, że ich ideologia jest słuszna.

— No właśnie — potaknęła Teresa. — To samo powiedziałam Carslake'owi. A od czasu do czasu zostawimy na poręczy twojego fotela otwartego Karola Marksa i w ten sposób będziesz mógł bezpiecznie leniuchować.

— To wszystko brzmi pięknie, Tereso — przyznał Robert bez przekonania. — Lecz przypuśćmy, że druga strona postawi na mnie. I co wtedy?

— Nie postawi, możesz się nie obawiać — zapewniła go. — Jak mi się wydaje, laburzyści boją się komunistów bardziej niż torysi.

— Zastanawiam się w głębi duszy — wtrąciłem mimochodem — jaki jest nasz obecny kandydat.

Nie wiedzieliśmy o nim prawie nic. Carslake, nagabywany, odpowiadał wykrętnie. Teresa zapytała go, czy sir James zamierza ponownie kandydować, lecz Carslake potrząsnął przecząco głową.

— Nie, tym razem nie. Musimy przymierzyć się do walnej bitwy. Przyznaję, sam nie wiem, jak nam pójdzie. On nie jest tutejszy — wyznał z niezbyt pewną miną.

— On? Kim jest ten „on”?

— Major Gabriel. Kawaler Krzyża Wiktorii.

— Za tę wojnę czy za tamtą?

— Za ostatnią. To jeszcze całkiem młody gość. Trzydzieści cztery lata. Wspaniała wojenna karta. Dostał krzyż za „niezwykłe opanowanie, bohaterstwo i oddanie służbie”. Dowodził gniazdem karabinów maszynowych pod ciągłym ogniem nieprzyjaciela podczas ataku na Salerno. Padł jego cały oddział, oprócz jednego żołnierza, a on, mimo odniesionych ran, utrzymał pozycję samotnie aż do wyczerpania amunicji. Wówczas zabił kilku wrogów ręcznymi granatami, odciągnął ciężko ranego podkomendnego w bezpieczne miejsce i wycofał się do stanowiska głównego dowodzenia. Niezły pokaz, prawda? Niestety, wcale nie wygląda na takiego bohatera — to taki sobie niewysoki, niepozorny facet.

— Jak zatem wytrzyma próbę na trybunie wyborczej? — zapytałem.

Twarz Carslake'a pojaśniała.

— Och, da sobie radę. Jest wystarczająco bystry i gładki, jeśli wie pan co mam na myśli. Szybki jak błyskawica. Świetnie radzi sobie z publicznością. Co prawda, jest trochę prostacki... — Na twarzy Carslake'a wykwitł grymas niesmaku; sam był, tak to odbierałem, prawdziwym konserwatystą; przedkładał solidną nudę nad krzykliwą rozrywkę. — Ale mniejsza z tym, mniejsza z

tym. — Oczywiście — dodał jeszcze — nie przemawia za nim pochodzenie...

— Czy to znaczy, że nie jest Kornwalijszczykiem? — spytałem. — A zatem skąd się tu wziął?

— Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia... Tak dokładnie, to znikąd, jeśli wie pan, o co mi chodzi. Dla dobra sprawy postaramy się pomijać milczeniem ten punkt jego życiorysu. Zagramy wojenną kartą, wspaniałą żołnierską służbą, właśnie tym. Powinien wypaść przekonująco jako zwykły, przeciętny Anglik. Oczywiście, to nie jest nasz wymarzony kandydat... — Carslake miał niezbyt szczęśliwą minę. — Obawiam się, że może nie zdobyć spontanicznej aprobaty lady St Loo.

Teresa zapytała niewinnie, czy aprobata lady St Loo ma duże znaczenie. Odpowiedział, że tak. Lady St Loo była przewodniczącą Towarzystwa Konserwatystek, a konserwatystki stanowiły w mieście potęgę. Nadawały bieg i kierunek wszelkim lokalnym poczynaniom i miały wielki wpływ na głos kobiet w wyborach.

— A w ogóle — dodał — głosy kobiet zawsze są jedną wielką niewiadomą. I dlatego jestem optymistą, jeśli chodzi o Gabriela. To gość, który umie sobie radzić z płcią piękną.

— Ale chyba nie z lady St Loo?

Z lady St Loo? Carslake przyznał, że z lady St Loo sprawa ma się zupełnie inaczej: ona jest staroświecka i wcale tego nie ukrywa. Mimo wszystko on na niej polega; na pewno zrobi to, co partia uzna za słuszne i konieczne. Całym sercem jest po stronie konserwatystów.

— A poza tym — Carslake mówił dalej — czasy się zmieniają. Przyzwyczailiśmy się do polityków dżentelmenów, a teraz o takich trudno. Wolałbym, żeby człowiek, na którego stawiamy, był jednym z nich, lecz to tylko pobożne życzenie. Jeśli nie możemy mieć dżentelmena, cieszymy się bohaterem.

...Co, jak powiedziałem do Teresy, kiedy nas opuścił, brzmi jak epigram. Teresa uśmiechnęła się; później powiedziała, że trochę jej żal majora Gabriela.

— Myślisz, że jaki jest? — zapytała. — Okropny?

— Nie, skłonny jestem sądzić, że to raczej miły gość.

— Bo dostał Krzyż Wiktorii?

— O Boże, ależ skąd. Krzyż Wiktorii można dostać za zwykłą brawurę, która często graniczy z głupotą. Wiesz, mówi się, że poczciwy Freddy Elton otrzymał go za to, że był zbyt głupi, by w porę wycofać się z wysuniętej pozycji. W wojsku nazywają to trwaniem na posterunku w obliczu przewagi nieprzyjaciela. W rzeczywistości Elton nie miał pojęcia, że wszyscy oprócz niego dawno zwinęli żagle.

— Przestań mnie rozśmieszać, Hugh. Powiedz raczej, dlaczego uważasz, że ten osobnik, ten Gabriel, miałby być miłym gościem.

— To proste. Ponieważ Carslake go nie lubi. Jemu podobają się jedynie jacyś zarozumiali głupcy.

— Rozumiem, że ty z kolei nie lubisz biednego kapitana Carslake'a.

— Jakież on znów biedny! Carslake wyżywa się przy swojej robocie niby pluskwa w łożku. I do tego — cóż to za robota!

— Czy gorsza od innych? Nazwałabym ją ciężką harówką.

— Tak, to prawda. Lecz jeśli spędzasz całe życie na analizowaniu wpływu czegoś na coś, to ostatecznie przestajesz odróżniać jedno od drugiego.

— Ucieczka od rzeczywistości?

— Tak. Bo czyż ostatecznie polityka się do tego nie sprowadza? W co ludzie mają wierzyć, na czym opierać, a nawet co myśleć? Nigdy oczywistych faktów.

— Ach! — wykrzyknęła Teresa. — Więc mam rację, nie traktując polityki poważnie.

— Ty zawsze masz rację, Tereso — powiedziałem, przesyłając jej pocałunek.

Jeśli chodzi o mnie, nie miałem okazji poznać kandydata konserwatystów aż do walnego zebrania w Drill Hall.

Teresa wystarała się o nowoczesny wózek inwalidzki, dzięki czemu bez trudu ktoś wytaczał mnie na taras, gdzie całymi dniami mogłem pławić się w słońcu. Potem, kiedy ruchy wózka sprawiały mi już mniej bólu, wyjeżdżałem dalej, w pole. Czasami nawet byłem zawożony do St Loo.

Zebranie w Drill Hall miało odbyć się w jedno z najbliższych popołudni — Teresa zawczasu zadbała o to, bym się na nim znalazł. Zapewniła przy tym, że będę miał niezłą rozrywkę, a ja nie omieszkałem jej dociąć, że ma ciekawe wyobrażenia o rozrywkach.

— Tylko poczekaj — obiecywała — a sam się przekonasz. Wystarczy popatrzeć na ludzi, którzy biorą siebie poważnie. A poza tym będę w kapeluszu.

Teresa, która nigdy nie nosiła kapeluszy, chyba że szła do kogoś na ślub, specjalnie wybrała się do Londynu i wróciła z nowym, odpowiednim dla konserwatystki nabytkiem.

— A jakież to kapelusz nosi konserwatystka? — zainteresowałem się całkiem szczerze.

Teresa nie szczędziła nam szczegółów. Kapelusz konserwatystki powinien być zrobiony z dobrego materiału, powiedziała, być w dobrym guście i dobrze leżeć na głowie; nie może być ani zbyt modny, ani zbyt frywolny. Dopiero po takim wstępie wyciągnęła go z pudła. Był taki, jaki być powinien.

Nałożyła go, a ja i Robert uprzejmie wyraziliśmy swój zachwyt.

— Jest diablo udany, Tereso — powiedział Robert. — Wyglądasz w nim serio, jak kobieta, która znalazła sobie cel w życiu.

Po takiej dygresji każdy chyba rozumie, dlaczego widok Teresy siedzącej na trybunie, w kapeluszu przez duże „K”, miał mnie zwabić do Drill Hall w tamto godne uwagi piękne letnie popołudnie.

Drill Hall była wypełniona po brzegi przez zadbanych, wyglądających nobliwie starszych ludzi. Nikt poniżej czterdziestki nie odmówił sobie (i mądrze, moim zdaniem) przyjemności plażowania. Kiedy już znalazłem się, dzięki pomocy usłużnego skauta, w dogodnym miejscu, pod ścianą, tuż obok przedniego rzędu krzeseł, przysłała mi do głowy myśl, że tego typu mityngi są zupełnie bezsensowne. Każdy z obecnych na tej sali z góry wiedział, na kogo odda swój głos. Nasi przeciwnicy znajdowali się na bliźniaczym spotkaniu w szkole dla dziewcząt. Prawdopodobnie oni także mieli pełną salę wiernych stronników. W jaki zatem sposób miało się kształtować opinię publiczną? Nie lepiej byłoby wymienić mówców? Albo wypuścić na ulice miasteczka ciężarówkę z megafonem? Albo zwołać wszystkich mieszkańców w jedno miejsce, ot choćby do parku?

Moje rozmyślania przerwało głośnie szuranie nóg grupki ludzi, którzy pojawili się na trybunie, gdzie dotychczas stały puste krzesła, stół i szklanka z wodą. Poszeptali między sobą, pogestykulowali i ostatecznie zajęli należne im miejsca. Teresa, w kapeluszu na głowie, została skierowana do drugiego rzędu między mniej znaczące osobistości. Przewodniczący, kilku ledwo trzymających się na nogach starszawych dżentelmenów, przedstawiciel głównej kwatery wyborczej, lady St Loo, dwie inne kobiety i kandydat zasiedli w pierwszym rzędzie.

Przewodniczący rozpoczął swoje wystąpienie cichym i drżącym głosem, mamrotane przez niego banały ledwo dały się słyszeć. Był to bardzo stary generał, który szczytnie bronił ojczyzny w wojnie burskiej — a może w krymskiej, nie wiem, czy się nie przesłyszałem, zresztą, ta czy tamta, wszystko jedno, obie toczyły się całe lata temu, a świat, nad którym mówca się rozpląwał, dawno już przestał istnieć. W pewnym momencie przesłodzony, cienki starczy głos zamilkł i grzmotnęły oklaski. W Anglii nigdy nie szczędzi się aplauzu dla starego druha, który przeszedł próbę czasu... Każdy w St Loo znał generała S. Wiadomo, powiadano, stara szkoła.

W ostatnich, podsumowujących słowach, generał S. przedstawił zebranych członka „nowej szkoły”, kandydata konserwatystów, majora Gabriela, kawalera Krzyża Wiktorii.

Wtedy lady Tressilian, którą nagle spostrzegłem na pierwszym z brzegu krześle najbliższego mi rzędu (prawdopodobnie znalazła się w tym właśnie miejscu powodowana instynktem macierzyńskim), westchnęła głęboko i szepnęła z przejęciem:

— Jaka szkoda, że on ma takie pospolite nogi.

Wiedziałem dobrze, o co chodzi starej damie. A przecież, gdyby mnie ktoś zapytał, co może być (lub nie być) pospolite w ludzkich nogach, za nic na świecie nie potrafiłbym odpowiedzieć. Gabriel był niewysoki i miał nogi odpowiednie do wzrostu — ani zbyt długie, ani zbyt krótkie. Nosił dobrze skrojony garnitur. A jednak, ponad wszelką wątpliwość, nogawki tego garnituru nie kryły nóg dżentelmena. Czy jest coś takiego w budowie i sposobie stawiania dolnych kończyn, w czym tkwi istota szlacheckiego urodzenia? Pytanie dla trustu mózgow.

Jeśli chodzi o twarz, Gabriel nie musiał się jej wstydzić; była brzydka, ale i całkiem interesująca, a do tego zdobiły ją nadzwyczaj piękne oczy. Jego wygląd psuły nogi.

Uniósł się z krzesła, uśmiechnął (ujmującym uśmiechem), otworzył usta i zaczął mówić bezbarwnym głosem, z lekkim akcentem londyńskich przedmieść.

Mówił przez dwadzieścia minut. Mówił dobrze. Tylko proszę mnie nie pytać, o czym. Odpowiem jedynie, że o zwykłych sprawach. I w mniej czy bardziej zwykły sposób. A mimo to jego słowa wywoływały zamierzony oddźwięk. W tym mężczyźnie tkwił dynamizm. W miarę jak mówił, zapominało się o jego wyglądzie, o nieciekawej barwie głosu czy akcencie. Liczyła się szczerłość — prostolinijne wytyczenie celu. Publiczność czuła: ten człowiek jak dwa razy dwa zrobi wszystko, na co go stać. Szczerłość. To było to.

Publiczność czuła, tak, proszę mi wierzyć, że ten człowiek szczerze się przejmuje. Że przejmuje się kwestią mieszkaniową, młodymi parami, które nie są w stanie założyć wspólnego gospodarstwa; przejmuje się żołnierzami od lat przebywającymi na obczyźnie zamiast we własnym domu. Czuła, że ten człowiek naprawdę zadba o bezpieczeństwo i higienę pracy; że zażegna bezrobocie. Czuła jego rozpaczliwą troskę o pomyślność kraju; wszak, jak mówił, pomyślność całego kraju oznacza szczęście i sprawiedliwość dla najmniejszego skrawka angielskiej ziemi. Od czasu do czasu, zgoła nieoczekiwanie, zatroskany mówca wypuszczał fajerwerki tanich, zrozumiałych dowcipów — dowcipów, z którymi każdy był osłuchany. A to dawało ludziom poczucie duchowego komfortu. A jednak tym, co liczyło się naprawdę, była żarliwość i przekonanie we własne siły: kiedy ostatecznie skończy się wojna, kiedy podda się Japonia, trzeba będzie ostro zabrać się do roboty. On, jeśli go wybiorą, właśnie to zamierza zrobić...

To było wszystko. To był, nie wątpię, występ na własny rachunek. Co nie znaczy, że mówca zignorował hasła polityczne partii, nie, nic podobnego. Powiedział to, co powiedzieć powinien. Mówił o, liderze z należytą czcią i odpowiednim entuzjazmem. Napomknął o imperium. Był absolutnie poprawny. Jednak w gruncie rzeczy apelował o poparcie nie dla Partii Konserwatywnej, lecz dla majora Johna Gabriela, tego, który zamierzał ostro wziąć się do roboty, i dopilnować, żeby wszystko było zrobione.

Spodobał się publiczności. Zresztą, czyż ludzie nie po to tu przyszli? Byli przecież torysami co do jednego; choć, prawdę mówiąc, odniosłem wrażenie, że spodobał im się trochę bardziej, niż to było konieczne, i że nawet trochę ich rozruszał. Powiedziałem zatem sam do siebie, zadowolony, że na to wpadłem: „To jasne, ten człowiek to istne dynamo!”

Po prawdziwie entuzjastycznych brawach przedstawiono reprezentanta centrali. Był bez zarzutu, wprost znakomity. Mówił właściwe rzeczy, robił właściwe przerwy, wywoływał właściwy oddźwięk publiczności. Przyznam się, że nie uważałem zbytnio.

Spotkanie zakończyło się zwykłymi formalnościami.

Kiedy wszyscy powstali z miejsc i ruszyli szeroką ławą ku wyjściu, podeszła do mnie lady Tressilian. Miałem rację, to był mój anioł stróż. Odezwała się nieco zadyszany, astmatycznym głosem:

— No i co? Co pan na to? Ale szczerze!

— On jest dobry — pospieszyłem z zapewnieniem. — Naprawdę jest dobry.

— Miło mi to usłyszeć. Bardzo miło.

Zdziwiłem się, że moja opinia ma dla niej jakiegokolwiek znaczenie, ale już po chwili lady Tressilian oświeciła mnie w tym względzie, przynajmniej po części.

— Nie grzeszę tak byстрыm umysłem jak Addie czy Maud. Nigdy, po prawdzie, nie zagłębiałam się w politykę. No i jestem staroświecka. Nie podoba mi się pomysł, by członkowie parlamentu byli opłacani. Nigdy się do tego nie przekonam. To powinna być służba dla własnego kraju, nie posada.

— Nie każdego stać na służenie krajowi, lady Tressilian — zauważyłem.

— No tak, zgoda. Nie w dzisiejszych czasach. Jednak żał mi, że do tego doszło. Nasi ustawodawcy powinni rekrutować się z klasy, która aby żyć, nie potrzebuje pracować, z klasy, która ma do zarobków obojętny stosunek.

Zastanawiałem się, czy nie powiedzieć: „Moja droga pani, pani jest przeżytkiem z arki Noego!”

Czyż jednak znalezienie w Anglii takiego zakątka, w którym wciąż jeszcze hołduje się starym zasadom, nie jest ciekawym doświadczeniem? Klasa rządząca. Klasa panująca. Arystokracja. Te i temu podobne czeze określenia. A jednak, żeby być uczciwym, czy tak naprawdę czeze? Lady Tressilian mówiła dalej:

— Mój ojciec kandydował do parlamentu z okręgu Garavissey. Zasiadał w jego ławach przez trzydzieści lat. Była to dla niego czasochłonna, żmudna praca, a jednak uważał ją za swoją powinność.

Błądziłem wzrokiem po trybunie, gdzie major Gabriel rozmawiał z lady St Loo; jego nogom zdecydowanie brakowało swobody w poruszaniu. Czy on też uważał kandydowanie do parlamentu za swój obowiązek? Szczerze w to wątpiłem.

— Pomyślałam sobie — wyznała lady Tressilian, idąc w ślad za moim spojrzeniem — że nasz kandydat sprawia wrażenie naprawdę szczerego człowieka. A jak pan uważa?

— Właśnie to mnie w nim uderzyło. Szczerłość.

— No i mówi tak pięknie o naszym drogim Churchillu... Myślę, że nie musimy mieć wątpliwości co do nastrojów panujących w kraju. Anglia stoi murem za Churchilllem. Zgodzi się pan ze mną?

Zgodziłem się. Choć pomyślałem, że z tym murem to przesada i jeśli konserwatyści zdobędą władzę, to jedynie niewielką przewagą głosów.

Zjawiła się przy mnie Teresa, a wraz z nią mój skaut, gotowy do wypchnięcia wózka na ulicę.

— Dobrze się bawiłaś? — zapytałem bratową. — Tak, nieźle.

— Co myślisz o naszym kandydacie? Najpierw znaleźliśmy się na zewnątrz, a dopiero potem usłyszałem krótką odpowiedź:

— Sama chciałam to wiedzieć.

Rozdział piąty

Spotkałem kandydata do parlamentu parę dni później, kiedy przyszedł naradzić się z Carslakiem. Nasz lokator przyprowadził go do nas na kieliszek sherry.

W biurowej pracy Teresy powstał jakiś drobny problem, wobec czego ona i Carslake wyszli z pokoju, aby go rozwiązać.

Przeprosiłem Gabriela, że nie mogę wystąpić w roli gospodarza, wskazałem miejsce, gdzie przechowywaliśmy alkohol, i poradziłem, by się sam obsłużył. Nalał sobie niezłą miarę, co nie uszło mojej uwagi.

Nie zapomniał i o mnie. Podając mi kieliszek, zapytał:

— Pamiątka z wojny?

— Nie, z Harrow Road. — Była to podówczas moja stała odpowiedź, i przyznam, że znajdowałem pewną przyjemność w obserwowaniu różnych ludzkich reakcji na wciąż te same słowa. Gabriel się roześmiał.

— Och, pańska szczerłość nie jest warta złamanego grona — zauważył.

— Spodziewał się pan, że wymyślę jakąś heroiczną opowieść?

Odparł, że nie ma potrzeby wymyślania niczego. — Wystarczy powiedzieć: „Byłem w Afryce Północnej”, choć równie dobrze może to być Birma czy jakiegokolwiek inne miejsce na świecie. No, gdzieś przecież los pana rzucił?

Potaknąłem skinieniem głowy.

— Byłem w El-Alamejn. I tak dalej.

— No proszę. Strzela pan nazwą „El-Alamejn” i wystarczy. Nikt nie będzie się wdawał w szczegóły.

— A czy to warto?

— No cóż — zastanawiał się przez chwilę — na pewno warto, jeśli chodzi o kobiety. One kochają rannych bohaterów.

— Wiem o tym — powiedziałem dość gorzko.

Gabriel pokiwał głową ze zrozumieniem.

— Tak. To musi pana czasami przygnębiać. Wokół tyle kobiet. Niektóre pełne macierzyńskich uczuć. — Uniósł pod światło pusty kieliszek. — Mogę jeszcze?

Powiedziałem, żeby się nie krępował.

— Wybieram się na obiad do zamku — zwierzył mi się. — Ta stara suka naprawdę napędziła mi stracha!

A gdybyśmy tak byli najlepszymi przyjaciółmi lady St Loo? Przypuszczałem jednak, że wie, iż nimi nie jesteśmy. John Gabriel rzadko się mylił.

— Lady St Loo czy też wszystkie razem? — zapytałem.

— Nic nie mam przeciwko tej grubej. Ja, jeśliby się chciało, łatwo sobie owinać wokół palca. Pani Bigham Charteris to z kolei stara szkapa. Tylko patrzeć, jak zarzy. Lecz ta St Loo potrafi przejrzeć człowieka na wylot. Nie da się nabrać na żadne sztuczki.

Powstrzymałem się od wszelkich komentarzy.

— Oczywiście, nie próbowałem z nią żadnych sztuczek — dodał.

Milczałem.

— Wie pan — ciągnął zamyślony — kiedy człowiek natyka się na prawdziwego arystokratę, od razu czuje się śmieciem. Na to nie ma rady.

— Nie jestem pewny — zauważyłem — czy dobrze pana rozumiem.

Uśmiechnął się.

— Widzi pan, wybrałem niewłaściwy obóz. W pewnym sensie.

— Czy to znaczy, że nie jest pan torysem z przekonania?

— Nie, nie. To znaczy, że nie jestem w ich typie. To banda snobów. Oczywiście, w dzisiejszych czasach nie mogą zbyt grymasić. Muszą godzić się na obecność wśród siebie facetów takich jak ja. — Zadumał się na chwilę, po czym dodał: — Mój staruszek był hydraulikiem, i to nie najlepszym.

Puścił do mnie oko, a ja odwzajemniłem mu się szerokim uśmiechem. W tamtej chwili byłem pod jego urokiem.

— Tak — westchnął. — Powinienem kandydować z ramienia laburzystów.

— Ale chyba pan nie wierzy w ich program?

— Och, ja nie mam żadnych przekonań — stwierdził pogodnie. — Kieruje mną czysty oportunizm. Muszę sobie znaleźć jakąś robotę. Wojnę można uznać za skończoną, i tylko patrzeć, jak zacnie się

rozdrapywanie co lepszych posad. Zawsze uważałem, że wyrobię sobie nazwisko dzięki polityce. To tylko kwestia czasu, zobaczy pan.

— I to dlatego stał się pan torysem? Woli pan trzymać z partią, która będzie przy władzy?

— Dobry Boże — odparł — chyba nie sądzi pan, że torysi zwyciężą?

Przyznałem, że i owszem, tak właśnie sędzę. Zwyciężą, choć niewielką przewagą głosów.

— Nonsens. Laburzyści zgarną wszystko. W całym kraju. Ich przewaga rośnie z dnia na dzień w zastraszającym tempie.

— Lecz zatem... jeśli pan tak uważa... Urwałem.

— ...to dlaczego nie opowiadam się po stronie przyszłych zwycięzców? — Błysnął zębami w uśmiechu. — Mój drogi przyjacielu, właśnie dlatego. Nie chcę przepaść w tłumie. Właściwym miejscem dla mnie jest opozycja. No bo czym, tak naprawdę, jest partia torysów? Ogólnie mówiąc, to stado nieudolnych, choć dobrze wychowanych przedstawicieli wyższych sfer ziemiańskich i kupieckich. Ci panowie na milę pachną bezradnością. Zamiast uprawiać konsekwentną politykę, drepczą niezdecydowanie w miejscu. Nie są zbyt lotni, to jasne jak słońce. Proszę tylko dobrze się przyglądać. Wystrzelę spomiędzy nich jak rakietę.

— Jeśli pan wygra. — Och, wygram, to jasne. Zaczynał mnie intrygować.

— Naprawdę pan tak myśli? Znów się zaśmiał.

— Tak, chyba że zrobię z siebie głupca; mam swoje słabe miejsca. — Wypił do dna. — Przed wszystkim kobiety. Muszę się trzymać od nich z daleka. Tu nie będzie to trudne. Choć, przyznam, jest w St Loo, w gospodzie „Pod herbem” taka jedna, niezły numer. Jeszcze się pan do niej nie dobrał? Nie — jego oczy spoczęły na wózku inwalidzkim — oczywiście nie, przepraszam. Ma pan pecha — dodał całkiem szczerze.

To był pierwszy okrucieństwo współczucia, którym nie poczułem się dotknięty. Gabriel rzucił mi go całkiem naturalnie.

— Proszę mi powiedzieć, czy rozmawia pan w ten sam sposób z Carslakiem? — zapytałem.

— Tym osłem? Dobry Boże, nie!

Wciąż się zastanawiam, dlaczego tamtego wieczoru, podczas pierwszego spotkania ze mną, Gabriel zdecydował się na taką szczerą. Czyżby dlatego, że był samotny? Doskonale wypadł przed publicznością, ale nic nie wskazywało na to, by w antraktach miał wiele okazji do rozładowania napięcia. A może był jeszcze inny powód, bardziej prozaiczny, związany ze mną? Bo czyż Gabriel od samego początku nie przygotowywał mnie do roli słuchacza? Czy nie wiedział, że moje ułomne, unieruchomione ciało będzie zmuszone jej się podjąć? Brakowało mi rozrywki, a John Gabriel mógł mi jej dostarczyć, wprowadzając mnie za kulisy sceny, na której rozgrywało się jego życie. A poza tym był z natury szczerzy.

Zaciekawiony zapytałem, jak lady St Loo go potraktowała.

— Wspaniale — powiedział. — Wręcz fantastycznie. Tylko do diabła z tymi jej oczami! Zalaźła mi za skórę właśnie przez nie. Nic nie da się przed nią ukryć. Jeśli te stare więdźmy chcą być obraźliwe, są obraźliwe tak dalece, że człowiekowi dech w piersiach zapiera. Jeśli nie chcą być nieuprzejme, też nic na to nie poradzisz.

Zastanowiła mnie nieco jego gwałtowność, gdyż sądziłem, że tak naprawdę nie obchodzi go ani trochę, czy lady St Loo jest w stosunku do niego obraźliwa, czy też nie. W końcu, czy humory starszej pani miały jakieś znaczenie? Lady St Loo i tak należała do minionej epoki.

Kiedy mu o tym powiedziałem, popatrzył na mnie dziwnie, spod oka.

— Pan nie zrozumiałby tego.

— Rzeczywiście, chyba nie. — Ona myśli, że jestem śmieciem. — Człowieku!

— I nie tylko ona. Oni wszyscy. Wszyscy, co do jednego, patrzą na ciebie w pewien charakterystyczny sposób. A raczej patrzą przez ciebie. Nie istniejesz. Jesteś jak powietrze. Jesteś po prostu roznosicielem gazet albo dostawcą ryb.

To mi wystarczyło. Wiedziałem już, że Gabriel nosi w sercu zadrę. Syna hydraulika ktoś kiedyś zlekceważył lub niezbyt uprzejmie potraktował. Chyba odgadł moje myśli.

— Tak, tak — powiedział. — Dostałem za swoje. Jestem świadomy swojego pochodzenia. Nienawidzę aroganckich kobiet z wyższych sfer. Dary mi dobrze odczuć, że cokolwiek bym zrobił, nigdy nie wejdę do ich świata. Tak, dla nich na zawsze pozostanę śmieciem. Widzi pan, one nie dadzą się zwieść; wiedzą dokładnie, kim jestem naprawdę.

Byłem wstrząśnięty. Pozwolił mi zajrzeć w zakamarki swojej duszy i stanąć twarzą w twarz z prawdziwą, nieprzejednaną nienawiścią. Ciekawe, pomyślałem, jakie to konkretnie wydarzenie z przeszłości wciąż wzburza i napełnia goryczą jego podświadomość.

— Wiem, że się nie liczą — ten mówił dalej. — Wiem, że ich czas dobiega kresu. W każdym zakątku kraju żyją w domach, które się rozpadają i z zasobów, które są na wyczerpaniu. Zaczyna im brakować jedzenia. Żywią się jarzynami z własnych grządek. Najczęściej sami wykonują prace domowe. Ale oni mają coś, czego ja nie posiadam i czego nigdy nie zdobędę: to przekłete poczucie wyższości. Jestem tak samo dobry jak i oni, a w wielu sprawach nawet lepszy, lecz w konfrontacji z nimi natychmiast o tym zapominam.

Wybuchnął śmiechem.

— Proszę mi wybaczyć. Musiałem się gdzieś wylądować. — Wyjrzał przez okno. — Błagierski zamek z piernika, trzy stare, kraczące wrony i pannica, chuda jak patyk i wyniosła jak księżniczka. Nie zaszczyli człowieka nawet słowem. Wygląda mi na taką, co to wyczuje groch przez wszystkie piernaty.

Uśmiechnąłem się.

— Zawsze myślałem, że księżniczki na ziarnkach grochu zdarzają się tylko w bajkach.

Gabriel uczepił się jednego słowa.

— Księżniczka! Właśnie tak się zachowuje. I tak te stare wiedźmy ją traktują. Jak księżniczkę z bajki. Ona nie jest żadną księżniczką. Ona jest zwykłą dziewczyną z krwi i kości, a przynajmniej na taką wygląda z tymi swoimi ustami.

W tym momencie w drzwiach stanęli Teresa i Carslake, który przyszedł po Gabriela.

— Żałuję, że musiał pójść — powiedziała Teresa. — Chciałam z nim porozmawiać.

— Mam nadzieję, że będziemy widywali go dość często.

Popatrzyła na mnie.

— Zainteresował cię, prawda? Rozwazałem w milczeniu jej pytania. — Pierwszy raz, od kiedy tu jesteśmy, widzę, że czymś się zainteresowałeś.

— Być może polityka jest ciekawsza, niż sądziłem.

— Och, tu nie chodzi o politykę. Chodzi o tego mężczyznę.

— Tak, major Gabriel to niewątpliwie dynamiczna osobowość — zauważyłem. — Szkoda, że jest tak brzydki.

— No tak, jest brzydki — zgodziła się zamyślona. — A jednak to bardzo pociągający mężczyzna.

Byłem kompletnie zaskoczony.

— Nie patrz tak na mnie. — zjeżyła się. — On jest pociągający. Powie ci to każda kobieta.

— No cóż, Tereso, zaskakujesz mnie. Nigdy bym nie pomyślał, że tacy jak on mężczyźni wzbudzają zainteresowanie kobiet.

— Zatem myliłeś się.

Rozdział szósty

Następnego dnia przyszła Isabella Charteris i przyniosła wiadomość od lady St Loo dla kapitana Carslake'a. Byłem na tarasie i wygrzewałem się w słońcu. Dostarczywszy liścik, wyszła do mnie i usiadła tuż obok na kamiennej rzeźbionej ławce.

Gdyby na jej miejscu znalazła się lady Tressilian, spodziewałbym się czułości, jaką się zwykle obdarza kulawego psa, natomiast ona nawet nie była mną zainteresowana. Tak całkowite lekceważenie spotykało mnie po raz pierwszy. Przez jakiś czas siedziała w milczeniu, a potem stwierdziła, że lubi słońce.

— To tak jak ja — powiedziałem. — Ale na pani twarzy nie widać opalenizny.

— Ja nigdy nie brązowieję.

W jasnym słońcu jej gładka, śliczna skóra przypominała biel kwiatu magnolii. Zauważyłem, jak dumnie osadzoną głowę ma ta dziewczyna. Nic dziwnego, że Gabriel nazwał ją księżniczką.

Przypomniawszy go sobie, spytałem:

— Czy to prawda, że ubiegłego wieczoru gościł w zamku major Gabriel?

— Tak.

— Czy była pani na spotkaniu przedwyborczym w Drill Hall?

— Tak.

— Nie zauważyłem pani.

— Siedziałam w drugim rzędzie.

— Podobało się pani?

Namyślała się chwilę nad odpowiedzią.

— Nie.

— Więc dlaczego pani tam poszła?

Znów chwila namysłu.

— To jedna z rzeczy, które robimy.

Osobliwe, pomyślałem.

— Czy podoba się pani tutaj? Jest pani szczęśliwa?

— Tak.

Uderzyła mnie nagle niezwykłość tak jednostajnie monosylabicznych odpowiedzi. Większość ludzi mówi w sposób zawity. Od innych usłyszałbym mniej więcej: „Uwielbiam mieszkać nad morzem”, „Tu jest mój dom”, „Lubię wieś”, „Tu mi się podoba”. Ta dziewczyna zadowalała się krótkim „tak”. Jednak to „tak” miało w sobie dziwną moc. Naprawdę znaczyło to, co miało znaczyć.

Jej wzrok pobiegł ku zamkowi, a usta wygięły się w delikatnym uśmiechu.

Już wiedziałem, kogo mi przypomina. Dziewicze boginie z Akropolu, z piątego wieku przed Chrystusem; miała taki sam jak tamte bezosobowy, odrealniony uśmiech...

A więc Isabella Charteris była szczęśliwa, żyjąc w zamku St Loo z trzema starymi kobietami. Siedząc tutaj, obok mnie, w słońcu, spoglądając ku zamkowi, była szczęśliwa. Niemal wyczuwałem spokojne, ufne szczęście, które wzięło ją w swoje władanie. I nagle przestraszyłem się. O nią.

— Czy zawsze była pani szczęśliwa, Isabello? Znałem odpowiedź z góry, choć i tym razem krótkie „tak” padło dopiero po namyśle.

— A w szkole? — Tak.

Nie potrafiłem sobie wyobrazić Isabelli w szkole. Była całkowicie niepodobna do typowego wytworu angielskiej szkoły z internatem.

Przez taras przebiegła brązowa wiewiórka. Przysiadła, popatrzyła na nas, zatrajkotała i umknęła na drzewo.

Wiewiórka, Isabella, ja, widok na morze i na zamek, słoneczne popołudnie — wszystko na chwilę zastygło w bezruchu. Ułożyło się w pewien kolorowy wzór jak w kalejdoskopie, a ja znalazłem się w świecie, który odbiera się zmysłami, w świecie, w którym istnienie jest wszystkim, spekulacje myślowe — niczym. W tym świecie były ranki i wieczory, dni i noce, jedzenie i picie, chłód i upał; był ruch i cel, i świadomość, która jeszcze nie zdążyła się obudzić. To był świat wiewiórki, swat zielonej trawy wytrwale wspinającej się ku górze, świat drzew, życia i oddychania. Tu, w tym świecie, Isabella miała swoje miejsce. I co dziwne, nawet ja, połamany wrak człowieka, mogłem znaleźć mały kącik dla siebie...

Pierwszy raz od „wypadku” przestałem się buntować. Gorycz, rozczarowanie, chorobliwa nieśmiałość — jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki — opuściły mnie. Już nie byłem Hugh Norreysem, wymawiającym się od aktywności i uciekającym w niemęską słabość. Byłem Hugh Norreysem — kaleką — świadomym słońca, przemieszczania się mas powietrza, ‘własnego oddechu, świadomym tego, że jestem pośrodku jednego z milionów dni, które składają się na wieczność, pośrodku dnia toczącego się własną drogą ku nocy, ku snowi...

Taki stan nie trwał długo. Lecz przez chwilę czy dwie, doświadczyłem świata, którego byłem częścią. Isabella prawdopodobnie doświadczała go zawsze.

Rozdział siódmy

Sądzę, że działo się to dzień albo dwa po tym, jak tamto dziecko wpadło do morza. Na skraju mola bawiło się kilkoro dzieci i jedno z nich, w ferworze zabawy uciekając z piskiem przed drugim, potknęło się i poleciało głową w dół, do wody znajdującej się dwadzieścia stóp poniżej. Szedł przypływ i w porcie było około dwunastu stóp wody.

Major Gabriel, który w tym czasie przypadkowo spacerował po molu, nie zawahał się. Skoczył wprost za dzieckiem. Natychmiast znalazło się w pobliżu chyba z dwudziestu pięciu gapiów. Tymczasem jeden z rybaków odwiązał łódź i zaczął wiosłować na ratunek. Był jeszcze dość daleko, kiedy jakiś inny mężczyzna, zdawszy sobie sprawę, że major Gabriel nie potrafi pływać, pospieszył mu z pomocą.

Zajście skończyło się szczęśliwie. Gabriel i dziecko zostali uratowani; dziecko straciło co prawda przytomność, lecz po zastosowaniu sztucznego oddychania prędko przyszło do siebie. Matka dziewczynki, na pograniczu hysterii, uwiesiła się szyi Gabriela, zasypując go poprzez łyzy podziękowaniami i błogosławieństwami. Gabriel zlekceważył cały incydent, poklepał kobietę po ramieniu i oddalił się pospiesznie do hotelu „Pod królewskimi herbami” po suche ubranie i pocrzepiający trunek.

Tego samego dnia Carslake przyprowadził go do mnie na herbatę.

— Czegoś takiego nie widziałem, jak żyję! Co za odwaga! — powiedział do Teresy. — Ani chwili wahania. Przecież mógł łatwo pójść na dno. Wprost nadzwyczajne, że się nie utopił.

Jednak sam Gabriel był skromny — jak przystało w takiej sytuacji — i umniejszał wagę swego czynu.

— Zachowałem się piekielnie głupio — mówił. — Powinienem raczej wzywać pomocy albo szukać łodzi. Najpierw trzeba myśleć, a potem działać.

— Tylko patrzeć, jak któregoś dnia wpadnie pan w tarapaty — odezwała się z sarkazmem Teresa.

Gabriel obrzucił ją krótkim, przenikliwym spojrzeniem.

Kiedy zebrała puste filiżanki i wyszła z pokoju, a Carslake wymówił się nawałem pracy, Gabriel powiedział, jakby zastanawiając się nad czymś:

— Bystra sztuka, prawda?

— O kim pan mówi?

— O pani Norreys. Dobrze wie, co w trawie piszczy. Chyba niełatwo zdobyć jej uznanie. —

Dodał, że powinien mieć się na baczności. Potem zapytał: — Czy wypadłem jak trzeba?

Powiedziałem, że nie rozumiem, o co mu chodzi.

— O moją postawę — wyjaśnił. — Chyba słusznie zlekceważyłem całą sprawę i wyzwiałem się od osłów, nieprawda? — Uśmiechnął się ujmująco. — Nie ma mi pan za złe, że zaprzątam panu głowę własnymi sprawami? Okropnie mi trudno osądzić samemu, czy osiągam właściwe efekty.

— To pan kalkuluje efekty własnego działania? Nie lepiej być naturalnym?

Przyznał spokojnie, że o to najtrudniej.

— Nie mogę, ot tak, po prostu, przyjść tutaj i zacierając ręce z zadowolenia, powiedzieć: „Co za wspaniałe zrządzenie losu!” Nie uważa pan?

— To dla pana ten nieszczęśliwy wypadek jest właśnie czymś takim? Zrządzeniem losu? Darem niebios?

— Mój drogi przyjacielu, w pogoni za zwycięstwem jestem gotów na wszystko. Mogę chwytać konie, które poniosły, gasić płonące budynki, ratować dzieci spod kół samochodu. Wypadki z dziećmi są najlepsze; można wtedy niezłe zagrać na ludzkich uczuciach. Proszę tylko pomyśleć o całej tej wrzawie w gazetach wokół wypadków na drogach, ileż to doskonałych okazji. Niestety, dzieci w St Loo, te wstrętne, dokuczliwe stworzenia, są cholernie ostrożne.

— Chyba nie dał pan tamtemu dzieciakowi szylinga, żeby celowo wskoczył do morza?

Potraktował moją dociekliwość całkiem poważnie i odparł, że incydent na przystani miał naturalny przebieg.

— Zresztą, nie ryzykowałbym czegoś takiego. Dzieciak wygadałby się prawdopodobnie swojej matce i co wtedy?

Wybuchnąłem śmiechem.

— No dobrze — powiedziałem. — Ale czy to prawda, że nie umie pan pływać?

— Potrafię utrzymać się na powierzchni mniej więcej przez trzy wyrzuty ramion.

— A zatem, czyż nie podjął się pan straszliwego ryzyka? Mógł się pan łatwo utopić.

— No tak, mogłem... lecz proszę posłuchać, Norreys: nic za darmo. Aby zostać bohaterem, trzeba sobie na to choć trochę zapracować. A jeśli chodzi o wypadek z tonącym dzieckiem, to na molu było dużo ludzi. Nikt nie miał ochoty się zmoczyć, to jasne, ale kogoś w ostatniej chwili mogło ruszyć sumienie. Ktoś zrobiłby to dla dziecka, jeśli nie dla mnie. No i były łodzie. Gość, który wskoczył do wody po mnie, wyłowił dziecko, a rybak zdążył przypląć, nim ja poszedłem na dno. Poza tym sztuczne oddychanie na ogół przywraca niedoszłych topielców do życia. — Znow uśmiechnął się po swojemu, ujmująco. — Głupie to wszystko, prawda? — mówił dalej. — Ale nie ma rady, trzeba

schlebiać ludzkiej głupocie. Zdobędę znacznie większą sławę, rzucając się za tonącym dzieckiem, kiedy sam nie umiem pływać, niż gdybym ratował je ze znajomością rzeczy, jak prawdziwy ratownik. No i proszę, pewnie całe St Loo powtarza teraz: „Co za odwaga, co za cholernie odważny facet!” Gdyby ludzie mieli choć trochę oleju w głowie, raczej by mówili: „Ależ z niego głupiec, cholerny głupiec!” A ten typ, ten, któremu rzeczywiście się udało uratować dzieciaka, a także mnie, nie będzie się cieszył nawet połową mojego rozgłosu. To pierwszej klasy pływak. Zniszczył sobie porządny garnitur, biedaczysko, a moje nieudolne zabiegi w wodzie jeszcze tylko utrudniały mu sprawę. Lecz wątpię, czy poza pańską bratową znajdzie się ktoś, kto spojrzy na sprawę z tej właśnie strony; takich ludzi jest niewiele. No i na szczęście — dodał. — Tacy, którzy dochodzą do własnych wniosków i potrafią robić użytek ze swoich mózgów są mi najmniej potrzebni.

— Czy nie czuł pan panicznego strachu przed skokiem? Nie gmiotło pana w dołku?

— Nie miałem na to czasu. Zresztą wprost nie posiadałem się z radości, że oto trafia mi się taka gratka.

— Nie jestem pewny, czy potrafię zgodzić się z panem, że tego typu widowiska są konieczne.

Jego twarz zmieniła się, stała się zła i zacięta.

— Czy nie zdaje sobie pan sprawy, że dysponuję tylko jednym atutem? Nie mogę się pochwalić swoim wyglądem. Nie jestem pierwszorzędnym mówcą. Nie mam pochodzenia. Nikt mnie nie popiera. Nie mam pieniędzy. Przyniosłem ze sobą na świat jeden jedyny talent... — położył rękę na moim kolanie — odwagę. Czy sądzi pan, że gdybym nie dostał Krzyża Wiktorii, wystawiono by mnie jako kandydata konserwatystów?

— Lecz, mój drogi przyjacielu, czy ten Krzyż nie załatwia całej sprawy?

— Nie ma pan pojęcia o psychologii tłumu, Norreys. Jeden głupi wyczyn, choćby ten z dzisiejszego ranka, może być bardziej brzemienny w skutki niż Krzyż Wiktorii wyniesiony z południowych Włoch. Włochy są daleko. Tutejsi wyborcy nie widzieli, w jaki sposób na niego zarabiałem, i tak się pechowo składa, że nie mogę opowiedzieć im o tym. Gdybym opowiedział, gdybym cofnął się razem z nimi do tamtych dni, poznaliby sposób na zdobywanie medali. Cóż, zwyczajnie tego kraju nie pozwalają mi na takie numery. Ja muszę wyglądać skromnie i mamrotać pod nosem nieśmiało, że to nic takiego, że każda, ofierma może zostać bohaterem. Co jest oczywistym nonsensem; niewielu i to bardzo niewielu facetów odważyłoby się na mój wyczyn. Może pół tuzina w regimencie. Nie więcej. Nie każdy ma dość zdrowego rozsądku, wyobraźni i zimnej krwi i nie każdego cieszy taka robota.

Milczał przez minutę albo dwie. Wreszcie przemówił:

— Zaplanowałem sobie Krzyż Wiktorii już przy zaciąganiu się do wojska.

— Ależ, majorze Gabriel!

Zwrócił ku mnie małą, brzydką, zaciętą twarz z błyszczącymi oczami.

— Ma pan rację; niczego nie można do końca przewidzieć. Zdobycia Krzyża również. Do tego potrzebny jest łut szczęścia. Ale próbować nie zawadzi. Zdawałem sobie sprawę, że stoję przed życiową szansą. Brawura jest ostatnią rzeczą, jakiej człowiek potrzebuje na co dzień. Rzadko kiedy się do niej ucieka i rzadko wychodzi na niej dobrze. Lecz inaczej jest na wojnie, na wojnie brawura bierze się sama z siebie. To nie są żadne fanaberie, czy czcze wymysły; to sprawa nerwów, gruczołów, czy czegoś tam jeszcze. Wszystko polega na tym, że nagle przestajesz się bać śmierci. A to daje ci olbrzymią przewagę nad kumplami z tego samego okopu. Oczywiście, nie miałem pewności, że nadarzy mi się odpowiednia okazja... Można przez całą wojnę zachowywać się odważnie i wyjść z niej bez jednego odznaczenia. Albo można trafić ze swoją odwagą w niewłaściwy moment i dać się rozerwać na kawałki bez niczyjego podziękowania.

— Większość Krzyży Wiktorii dostają polegli — mruknąłem pod nosem.

— Wiem, wiem. Dziwne, że nie jestem jednym z nich. Kiedy pomyślę, jak kule gwizdały wokół mojej głowy, to trudno mi wprost uwierzyć, że żyję. Cztery mnie dopadły, lecz, jak widać, nie tam gdzie trzeba. Dziwne, nieprawda? Do dziś nie mogę zapomnieć bólu, jaki mnie przenikał, kiedy czołgałem się ze złamaną nogą. Nie tylko tego. Nie mogę zapomnieć widoku krwawiącego ramienia... odciągania starego Jamesa Spidera, klnącego bez przerwy... ciężaru jego ciała... — Gabriel zamyślił się, potem westchnął ciężko. — Nie ma co — powiedział — to były szczęśliwe dni. — I nalał sobie whisky.

— Mam wobec pana dług wdzięczności za ugruntowanie we mnie powszechnego przekonania o skromności bohaterów.

— To ten przeklęty fałszywy wstyd — zachnął się. — Jeśli się jest potentatem finansowym i ma się szczęście w interesach, wolno się tym chełpić; to przynosi zaszczyty. Można przyznać się do namalowania wspaniałego obrazu. To samo dotyczy golfa: na polu golfowym nikt nie przemilcza swoich sukcesów. Ale ci wojenni bohaterowie... — Potrząsnął głową. — Potrzebny jest ci ktoś, kto zadmie w trąbę za ciebie. Carlsake się do tego nie nadaje. On nabrał torysowskich manier i bawi się w niedomówienia. Ludzie z tej partii, zamiast wymachiwać sztandarem własnych zwycięstw, koncentrują się na atakowaniu przeciwnika. — Znów coś rozważał. — Zaprosiłem tutaj na przyszły tydzień swojego brygadiera. Będzie przemawiać. Mógłby w delikatny sposób napomknąć, jaki ze mnie nadzwyczajny facet, ale oczywiście nie wypada mi o to prosić. Boże broń!

— No tak, najpierw wojenna sława, a teraz skok z mola do wody. Tak, to już coś — rzuciłem z przekąsem.

— Proszę nie szacować zbyt nisko dzisiejszego incydentu. Dzięki niemu wszyscy będą mówić na nowo o moim Krzyżu. Przekona się pan. Niech Bóg błogosławi tego dzieciaka. To dziewczynka; rozejrzę się za nią jutro i dam jej lalkę albo coś innego. To także nada mi rozgłosu.

— A jednak — upierałem się — jestem czegoś ciekaw. Proszę mi powiedzieć, czy gdyby nie miał pan widzów, ani jednego, skoczyłby pan za tą małą?

— A jaki byłby z tego pożytek? Utonęlibyśmy oboje i nikt by o niczym nie wiedział, dopóki nie wyrzuciłaby nas gdzieś na brzeg fala przypląwu.

— Zatem poszedłby pan do domu, pozwalając dziecku utonąć?

— Nie, oczywiście, że nie. Za kogo mnie pan uważa? Przecież mam ludzkie serce. Rzuciłbym się jak opętany do schodów, wskoczył do łodzi i powiosłował w szaleńczym tempie do tonącej dziewczynki. Przy odrobinie szczęścia wyłowilibym ją i mogłoby być po całym nieszczęściu. Zrobiłbym to, co byłoby dla niej największą szansą na ratunek. Lubię dzieci. A wracając do spraw przyziemnych, jak pan sądzi, czy Wydział Handlu da mi dodatkowe talony za zniszczone ubranie? Niech się panu nie zdaje, że tamten garnitur nadaje się do noszenia; zbiegł się okropnie. Te rządowe przydziały są nic nie warte.

Opuścił mnie z tak praktyczną uwagą na ustach.

Sporo rozmyślałem o Johnie Gabrielu. Nie mogłem się zdecydować: lubię tego człowieka czy nie. Jego jawny oportunizm nieco mnie zniechęcał, ale szczerść pociągała. A co do ferowanych sądów w sprawie urabiania opinii publicznej, to wkrótce miałem wystarczające potwierdzenie ich trafności.

Pierwszą osobą, która przedstawiła swój punkt widzenia, była lady Tressilian. Przyniosła mi jakieś książki.

— Wie pan — powiedziała od progu, zasapana — od początku czułam, proszę mi wierzyć, że major

Gabriel to wrażliwy człowiek. To, co się dzisiaj stało, tylko potwierdza moje odczucia.

— Co pani ma na myśli?

— Nieliczenie się z ceną, jaką można zapłacić. Skok prosto do wody, mimo że się nie umie pływać.

— Moim zdaniem to nie było zbyt mądre. Nie uratowałby dziecka sam, bez pomocy.

— No właśnie. Dlatego go podziwiam. Za kierowanie się pierwszym impulsem, za męstwo, za brak kalkulacji.

Mógłbym jej powiedzieć, że kalkulacji było tam aż nadto.

Jej okrągła, pulchna twarz płonęła wypiekami jak u młodej dziewczyny, mówiła dalej:

— Tak bardzo podziwiam tego prawdziwie dzielnego człowieka...

Punkt dla Johna Gabriela, pomyślałem. Pani Carslake, ckliwa, egzaltowana kobieta, której nie lubiłem, rozpływała się w zachwycie.

— Najodważniejszy czyn, o jakim kiedykolwiek słyszałam. Mówiono mi także, że waleczność majora Gabriela w czasie wojny była wprost nie do uwierzenia. Nie wiedział, co to znaczy strach.

Uwielbiali go wszyscy podwładni. I ten jego heroizm, taki cudowny, taki niespotykany. Jego dowódca przyjeżdża tutaj w czwartek. Nic mnie nie powstrzyma przed bezwstydnym pociągnięciem starego brygadiera za język. Tak, tak, wiem, major Gabriel byłby zły, gdyby odgadł, co zamierzam zrobić, jest przecież taki skromny, nieprawdaż?

— Tak, skromność to cecha, z którą sobie nieźle radzi, nie przeczę — powiedziałem.

Nawet nie zwróciła uwagi na dwuznaczność moich słów.

— Ale ja naprawdę uważam, że ci nasi wspaniali, cudowni chłopcy nie powinni trzymać w ukryciu swojego blasku. Ich wspaniałe czyny powinny być znane. Mężczyźni są tak niekomunikatywni. Uważam, że to na kobietach spoczywa obowiązek rozpowszechniania takich rzeczy. Nasz obecny poseł do parlamentu, Wilbraham, proszę mi wierzyć, nie wychylił się z biura przez całą wojnę.

Przypuszczałem, że John Gabriel zgodziłby się z zapatrywaniami pani Carlake, lecz ja jej nie lubiłem. Egzaltowała się, to prawda, lecz nawet gdy się egzaltowała, z jej małych oczek wyzierała małoduszność pospołu z wyrachowaniem.

— Szkoda, wielka szkoda — klepała dalej — że pan Norreys jest komunistą.

— W każdej rodzinie znajdzie się czarna owca.

— Oni mają tak straszne idee; atakują własność prywatną.

— Komuniści atakują inne rzeczy — powiedziałem. — W ruchu oporu we Francji aż się roi od komunistów.

Chyba zabiłem jej klina. Wycofała się.

Pani Bigham Charteris, która wpadła do nas po jakieś okólniki, także miała swój pogląd na incydent z przystani.

— Gdzieś w jego żyłach musi płynąć błękitna krew— powiedziała.

— Tak pani myśli?

— Ależ jak najbardziej. — Jego ojciec był hydraulikiem.

Pani Bigham Charteris gładko przełknęła tę informację.

— Właśnie coś takiego sobie wyobrażałam. Mimo to w błękitną krew nie wątpię. Może ma ją po dalekim przodku. — Musimy częściej zapraszać go na zamek. Powiem to Adelaide. Ona miewa czasami godne pożałowania maniery, które krępują ludzi. Zawsze uważałam, że to, co w majorze Gabrielu jest najlepsze, nie jest dostępne naszym oczom. Osobiście dogaduję się z nim całkiem nieźle.

— Zdaje się, że jest tu ogólnie lubiany.

— Tak, to widać na każdym kroku. Trafiliśmy z naszym kandydatem w dziesiątkę. Partii potrzebna jest świeża krew, i to jeszcze jak. — Po krótkiej przerwie dodała: — Wie pan, może być z niego drugi Disraeli.

— Sądzi pani, że dojdzie aż tak daleko?

— Sądzę, że może dojść do szczytu. Jego rozsądza energia.

Komentarz lady St Loo przekazała, mi Teresa, która gościła w zamku. „Hm! Zrobił to na pokaz, oczywiście...” — miała powiedzieć stara dama.

Mogłem zrozumieć, dlaczego Gabriel, wspominając lady St Loo, nieodmiennie nazywał ją starą suką.

Rozdział ósmy

Pogoda nadal dopisywała, toteż większość czasu spędzałem na nasłonecznionym tarasie. W pobliżu, niemal w zasięgu ręki, były klomby róż, a przy jednym krańcu tarasu rósł bardzo stary cis. Z mojego miejsca miałem widok wprost na morze i na flanki zamku St Loo; mogłem także obserwować Isabellę, kiedy szła przez pola do Polnorth House.

Isabella odwiedzała mnie prawie codziennie. Czasami przychodziła sama, czasami towarzyszyły jej psy; witała mnie uśmiechem i krótkim dzień dobry, a potem zasiadała na kamiennej, rzeźbionej ławce, tuż obok mojego wózka.

To, co nas łączyło, niewątpliwie zasługiwało na miano przyjaźni, choć była to dziwna przyjaźń. Isabella nie karmiła mnie litością ani współczuciem. Z mojego punktu widzenia, dostawałem od niej znacznie więcej; Isabella darzyła mnie sympatią. Przychodziła i siadała w ogrodzie u mego boku, ponieważ mnie lubiła. Przychodziła tak, jak przychodzi do człowieka obłaskawione zwierzę.

Jeśli zdarzało nam się rozmawiać, mówiliśmy na ogół o rzeczach, które były w zasięgu naszego wzroku; o kształcie chmur, o barwie morza, o zachowaniu ptaków...

To dzięki ptakowi poznałem inne oblicze Isabelli. Ten ptak był martwy; w locie roztrzaskał sobie łebek o szybę w oknie salonu i leżał na tarasie, ze wzruszająco sterczącymi do góry, sztywnymi nóżkami, z bielmem na oczach. Isabella zobaczyła go pierwsza.

— Proszę popatrzeć — przemówiła drżącym, przerażonym głosem, wykrzywiając wargi jak do płaczu. — Tam leży martwy ptak.

Nuta paniki w jej głosie sprawiła, że spojrzałem na nią badawczo. Ze ściągniętymi, drżącymi wargami, przypominała spłoszonego konia.

— Niech go pani podniesie — powiedziałem.

Potrząsnęła głową gwałtownie.

— Nie. Za nic na świecie.

— Nie lubi pani dotykać ptaków? — Wiedziałem, że niektórzy ludzie czują odrazę do ptasich piór.

— Nie potrafię dotknąć niczego martwego. Spojrzałem na nią zdumiony.

— Boję się śmierci — wyjaśniła. — Boję się panicznie. Nie znoszę martwych stworzeń. To mi przypomina, że ja... że pewnego dnia ja też będę martwa.

— Wszyscy będziemy kiedyś martwi.

(Myślałem o tym, co leżało w tamtym momencie w zasięgu mojej ręki!)

— I nie przejmuję się pan? Nie drży pan z przerażenia? Pomyśleć, że to cię czeka, że skrada się coraz bliżej, dzień za dniem, godzina za godziną. I pewnego dnia — długie piękne dłonie, którym zwykle brakowało dramatyzmu, uderzyły w piersi — to przychodzi. Przestaje się istnieć.

— Dziwna z pani dziewczyna, Isabello. — powiedziałem. — Nigdy bym nie przypuszczał, że czuje pani w ten sposób.

— Mam szczęście, że jestem dziewczyną, a nie chłopcem — odparła gorzko. W czasie wojny musiałabym być żołnierzem, a to skończyłoby się hańbą dla rodziny. Uciekłabym z pola bitwy. Tak — na powrót mówiła spokojnie, niemal z zadumą — być tchórzem, to okropne...

Roześmiałem się niepewnie.

— Nie sądzę, by okazała się pani tchórzem, gdyby nadszedł czas próby. Większość ludzi boi się, że się będzie bać.

— A pan? Pan też się bał?

— Dobry Boże, i to jak!

— Ale kiedy nadeszła pora na strach, czy... czy było tak, jak być powinno?

Cofnąłem się myślami do tamtej szczególnej chwili — tamtego napięcia, tamtego oczekiwania w ciemnościach... oczekiwania na rozkaz „do ataku”... tamtego uczucia mdłości...

Byłem prawdomówny.

— Nie, nie powiedziałbym. Ale uważam, że spisałem się lepiej niż ktokolwiek inny. Widzi pani, Isabello, dość prędko nabiera się złudnej pewności, że to nie na tobie zatrzyma się świszcząca obok kula, może na kimś innym, ale na pewno nie na tobie.

— Czy pan myśli, że major Gabriel czuł podobnie?

Złożyłem Gabrielowi należny hołd.

— Gabriel jest chyba jednym z tych rzadko spotykanych szczęśliwców, którym obcy jest wszelki strach.

— Tak — zgodziła się ze mną. — Ja też tak myślę.

Na jej twarzy pojawił się dziwny wyraz.

Zapytałem, czy zawsze bała się śmierci. Czy doznała w przeszłości jakiegoś wstrząsu, po którym pozostał ślad w postaci lęku.

Potrząsnęła przecząco głową.

— Nie, nie sądzą. Oczywiście, mój ojciec zginął, nim się urodziłam. Nie wiem, czy to...

— Tak — przerwałem jej w pół słowa — jego śmierć może tłumaczyć pani lęki.

Isabella zmarszczyła czoło. Wróciła myślą do przeszłości.

— Kiedy miałam około pięciu lat, zdechł mój kanarek. W nocy. Rankiem leżał w klatce ze sztywno sterczącymi do góry nóżkami, jak ten ptak tutaj. Wzięłam go w rękę. — Jej ciałem wstrząsnął dreszcz. — Był zimny... — Walczyła ze słowami. — On... on już nie był realny... był po prostu jakąś rzeczą... nie widział... ani nie słyszał... nie czuł... on... jego już tam nie było! — I nagle pełnym patosu głosem zapytała: — Czy nie sądzi pan, że to, iż musimy umierać, jest okropne?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Zamiast rozważnych słów, zdradziłem się z prawdą. Moją własną, osobliwą prawdą.

— Czasami człowiek może liczyć tylko na śmierć. Patrzyła na mnie pustymi, nic nie rozumiejącymi oczami.

— Nie wiem, co pan ma na myśli...

— Naprawdę pani nie wie? — spytałem z goryczą w głosie. — No to proszę na mnie popatrzeć, Isabello. Jak pani myśli, czym jest życie dla kogoś, kogo jak dziecko podnoszą z łóżka każdego ranka, myją, ubierają, przenoszą z miejsca na miejsce jak worek kartofli; kto jest niezdarnym wrakiem człowieka, kto nie ma żadnego zajęcia, nie zmierza do żadnego celu, komu nie przyświeca żadna nadzieja... Gdybym był złamanym krzesłem czy rozbitym stołem, od dawna znajdowałbym się na śmietniku, ale ponieważ jestem człowiekiem, wciskają mnie w przyzwoite ubranie, narzucają pled na najbardziej uszkodzone części ciała i wystawiają na słońce!

Oczy Isabelli zrobiły się okrągłe z zakłopotania i ciekawości. Pierwszy raz popatrzyły nie przeze mnie, lecz na mnie. Skupiły się na mojej osobie. Patrzyły, a mimo to dziewczyna nie rozumiała niczego — niczego poza nagimi faktami.

— Ale przynajmniej jest pan na słońcu... żyje pan. Niewiele brakowało, a zostałby pan zabity...

— Bardzo niewiele. Czy nie rozumie pani, że prosiłem Boga o śmierć?

Nie, nie rozumiała. Równie dobrze mógłbym mówić do niej w obcym języku.

— Czy pan wciąż odczuwa ból? Czy to jest to? — zapytała nieśmiało.

— Istotnie, od czasu do czasu cierpię koszmarnie, lecz nie, Isabello, to nie to. Czy nie potrafi pani zrozumieć, że nie mam po co żyć?

— Może to zabrzmie głupio, ale czy trzeba żyć po coś? W jakimś celu? Czy nie wystarczy po prostu żyć?

Dech mi zaparło w obliczu takiej prostoty.

Próbując się odwrócić, zrobiłem w wózku jakiś niezdarny ruch. W tej samej chwili spod pledu wysunęła się buteleczka z naklejką „aspiryna” i małe pigułki, jedna po drugiej, potoczyły się po trawie.

Prawie krzyknąłem. Sam słyszałem swój histeryczny, nienaturalny głos:

— Proszę nie pozwolić, by się pogubiły... och, proszę pozbierać... proszę znaleźć wszystkie, co do jednej!

Isabella posłusznie schyliła się i zaczęła zbierać pigułki. Odwróciłem głowę. Za przeszklonymi drzwiami, w głębi domu mignęła sylwetka Teresy. Tłumiąc w sobie szloch, zawołałem zduszonym głosem:

— Teresa nadchodzi...

Ku mojemu zaskoczeniu, Isabella zrobiła coś, o co bym jej nigdy nie podejrzewał. Jednym płynnym ruchem „wyswobodziła się z narzuconego na letnią sukienkę szala i pozwoliła, by obsunął się na trawę i przykrył białe krążki... Jednocześnie powiedziała spokojnym głosem, jakby kończąc jakąś wcześniej rozpoczętą kwestię:

— ...widzi pan, wszystko może ulec zmianie z chwilą przyjazdu Ruperta...

Ktoś, słuchając tego, mógłby przysiąc, że byliśmy w trakcie ożywionej rozmowy. Teresa zbliżyła się do nas i zapytała:

— Czy, nie napilibyście się czegoś?

Wymyśliłem napój, którego przyrządzenie wymagało trochę zachodu. Zawracając w stronę drzwi, Teresa pochyliła się, chyba z zamiarem podniesienia szala, lecz powstrzymał ją spokojny głos Isabelli:

— Proszę to zostawić, pani Norreys, te kolory tak ładnie wyglądają na trawie.

Teresa uśmiechnęła się i zniknęła za drzwiami. Nadal wpatrywałem się w Isabellę.

— Dziewczyno — odezwałem się wreszcie — i po co pani to zrobiła?

Popatrzyła na mnie spłoszona.

— Myślałam, że pan nie chce, by je zobaczyła...

— Słusznie pani myślała — przyznałem posępnie.

We wczesnych dniach mojej rekonwalescencji powziąłem pewien zamysł. Zbyt wyraźnie zdawałem sobie sprawę z beznadziejności stanu, w jakim się znajdowałem, z kompletnego

uzależnienia od innych. Chciałem mieć pod ręką sposób na ucieczkę.

Tak długo jak podawano mi morfinę w postaci zastrzyków, nic nie mogłem zrobić. Z czasem jednak morfinę zastąpiły krople nasenne i tabletki. To była moja szansa. Najpierw złorzeczyłem, zmuszany do zażywania chloralu w kroplach. Potem, kiedy znalazłem się w domu Roberta i Teresy i przestały sterczeć nade mną pielęgniarki, lekarz zapisał mi tabletki — seconal, a może amytal. Co prawda zawarliśmy dżentelmeńską umowę, że będę się starał od nich powoli odzwyczajając, lecz na wszelki wypadek zawsze zostawiał mi kilka w zasięgu ręki. Byłem konsekwentny w uzalaniu się na bezsenność, skutkiem czego mój zapas powoli, tabletką po tabletkę, powiększał się. Spędzałem noce z szeroko otwartymi z bólu oczami, podbudowany świadomością, że furka na wolność uchyła się przede mną coraz szerzej. Z czasem uzbierałem porcję wystarczającą aż nadto, by udał mi się podstęp.

W miarę jak mój zamysł był bliski powodzenia, przestałem się spieszyć. Cieszyłem się na myśl, że mogę poczekać jeszcze trochę. Ale nie zamierzałem czekać w nieskończoność.

Teraz, podczas rozpaczliwych kilku minut, cały plan zdawał się iść na marne; rozsypywał się w gruzy. Od całkowitej katastrofy uratowała mnie Isabella. Po odejściu Teresy szybko pozbierała wszystkie pigułki i umieściła je na powrót w buteleczce. Wręczyła mi ją.

Ukiłem swój skarb pod pledem i odetchnąłem z ulgą.

— Dziękuję pani, Isabello — powiedziałem wzruszony.

Nie okazała ani zdziwienia, ani niepokoju. Była wystarczająco bystra, aby zdać sobie sprawę z mojego niepokoju, i aby w porę przyjść z pomocą. Przeprosiłem ją w duchu za to, iż podczas pierwszego spotkania wziąłem ją za kretynkę. Isabella nie była głupia. Ale co myślała? Czy wierzyła, że zbiera aspirynę? Wątpliwe.

Spojrzałem na nią. Jej twarz była nieprzenikniona. Jak zdobyć klucz do jej myśli? Jak ją zrozumieć...

Wtedy coś mi się przypomniało. Wspomniała o kimś...

— Kto to jest Rupert? — spytałem.

— Rupert? To mój kuzyn.

— Myśli pani o lordzie St Loo?

— Tak. Prawdopodobnie niedługo tu przybędzie. Prawie całą wojnę spędził w Birmie. A teraz, być może, zamieszka z nami... Zamek, jak pan wie, jest jego własnością. My go tylko dzierżawimy.

— Dlaczego wymieniła pani właśnie jego imię?

— Musiałam coś powiedzieć, cokolwiek. Chciałam, byśmy sprawiali wrażenie pogrążonych w rozmowie. — Po minucie namysłu dodała: — Pewnie dlatego wspomniałam Ruperta, że myślę o nim

bez przerwy...

Rozdział dziewiąty

Lord St Loo, nieobecny właściciel zamku, aż do tamtej chwili był dla mnie zaledwie nazwiskiem, abstrakcją. Teraz dołączył do kręgu istot z krwi i kości. Zacząłem o nim rozmyślać.

Po południu przysłała lady Tressilian; przyniosła mi książkę, która jej zdaniem mogłaby mnie zainteresować. Niestety, nasze literackie gusta były odmienne. Nie lubiłem gładkiego rozpisywania się o tym, że aby uczynić świat lepszym i piękniejszym, wystarczy leżeć na plecach i oddawać się wzniosłym myślom. Lady Tressilian, dając ujście drzemiącym w niej instyktom macierzyńskim, zawsze mi coś przynosiła. Była święcie przekonana, że powinienem zostać pisarzem. Zdążyła mnie już zaopatrzyć w podręczniki do przynajmniej trzech różnych kursów korespondencyjnych Jak żyć z pisania. Dwadzieścia cztery wykłady”, czy coś w tym stylu. Należała do tego typu kobiet, które w żaden sposób nie potrafią zostawić cierpiącego własnemu cierpieniu.

Nie mogłem jej nie lubić. Mogłem natomiast — a przynajmniej próbowałem — wykręcać się od jej opieki. Teresa raz mi w tym pomagała, raz nie. Czasami patrzyła na mnie, uśmiechała się i rozmyślnie zostawiała własnemu losowi. Kiedy jej potem zlorzeczyłem, odpowiadała, że nie zaszkodzi, jak się czasem pozłoszczę.

Tamtego szczególnego popołudnia Teresa uczestniczyła w kolejnej politycznej dyspucie, z czego wynikało, że jestem zdany na własne siły.

Lady Tressilian westchnęła, spytała mnie, jak się miewam, orzekła, że wyglądam znacznie lepiej, ja podziękowałem za książkę, powiedziałem, że zapowiada się bardzo interesująco i ucieliśmy sobie rozmówkę o miejscowych wydarzeniach. W tamtych dniach wszystkie rozmowy dotyczyły polityki. Powiedziała mi, jak przebiegają spotkania przedwyborcze i jak dobrze Gabriel radzi sobie z kłopotliwymi pytaniami. Uświadomiła, czego tak naprawdę potrzebuje kraj i jak to by było okropnie, gdyby wszystko zostało znacjonalizowane, i jak bardzo jest pozbawiona skrupułów druga strona i co, dokładnie, myślą farmerzy o spółdzielniach mleczarskich. Rozmowa była właściwie taka sama jak ta, którą się zabawialiśmy trzy dni wcześniej.

To wtedy, po złapaniu oddechu, lady Tressilian westchnęła i powiedziała, jak wspaniale by było, gdyby Rupert wkrótce wrócił.

— A jest na to szansa? — zapytałem.

— Tak. Był ranny gdzieś w głębi Birmy, rozumie pan. To wręcz niegodziwe, że gazety prawie nie wspominają o czternastej armii. Przebywał przez jakiś czas w szpitalu. Należy mu się długi odpoczynek, a poza tym tutaj czeka go mnóstwo nie załatwionych spraw. Robimy, co w naszej mocy, lecz warunki bytowe zmieniają się z dnia na dzień.

Zauważyłem, że z powodu podatków i innych trudności lord St Loo będzie prawdopodobnie niedługo zmuszony do sprzedaży części swoich gruntów.

— Ten teren nad morzem doskonale nadawałby się pod zabudowę, tylko komu by się podobała kolejna kolonia obrzydliwych domków.

Zgodziłem się, że architekci, którzy zaprojektowali osiedle wzdłuż wschodniego klifu nie grzeszą nadmiarem zmysłu estetycznego.

— Mój szwagier — powiedziała lady Tressilian — siódmy lord St Loo, ofiarował miastu część swojej ziemi. Chciał, by przeszła na własność tutejszych obywateli, lecz nie zadbał w porę o odpowiednie gwarancje i w konsekwencji Rada Miejska sprzedała wszystko, kawałek po kawałku, pod zabudowę. To było bardzo nieuczciwe, ponieważ mojemu szwagrowi nie chodziło bynajmniej o zasilanie kasy miejskiej.

Zapytałem, czy lord St Loo zamierza się tu sprowadzić na stałe.

— Nie wiem. Nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. — westchnęła. — Mam nadzieję, że tak. Mam ogromną nadzieję. — Dodała też: — Nie widzieliśmy go od czasu, kiedy miał szesnaście lat. Przyjeżdżał tutaj z Eton na wakacje. Jego matka była Nowozelandką — bardzo urocza dziewczyna — kiedy owdowiała, wróciła razem z dzieckiem do swojej rodziny. Nikt też jej za to nie winił, a mimo to ubolewam, że chłopiec od początku nie został wychowany odpowiednio do swego stanu. Kiedy wróci, pewnie będzie potrzebował trochę czasu, żeby wejść w nową rolę. Ale z drugiej strony, oczywiście, wszystko się zmienia... — Na dobrotliwej, okrągłej twarzy pojawił się wyraz strapienia. — Zrobiliśmy, co w naszej mocy. Podatek spadkowy był wysoki. Ojciec Isabelli zginął w tamtej wojnie. Zamek trzeba było oddać w najem. Dzięki utworzeniu wspólnego funduszu, Addie, ja i Maud wydzierżawiłyśmy go, co zdawało się lepszym rozwiązaniem niż oddanie w ręce obcych. Zawsze był domem Isabelli. — Jej twarz pojaśniała, a ona sama pochyliła się nade mną i wyznała w zaufaniu: — Chyba jestem bardzo sentymentalną starą kobietą, ale zawsze pragnęłam, by Isabella i Rupert... Tak, to byłoby, moim zdaniem, idealne wyjście z sytuacji. — Nie odezwałem się, więc mówiła dalej: — Taki przystojny chłopiec, taki czarujący i tak przywiązany do nas wszystkich, a już zwłaszcza do Isabelli. Zawsze zdawał się darzyć ją szczególnym, uczuciem. Kiedy ostatni raz żegnał się z nami, ona miała tylko jedenaście lat. Nie odstępowała go ani na krok i była mu całkowicie oddana. Addie i ja popatrywałyśmy na nich i mówiłyśmy jedna do drugiej: „Gdyby tylko...”, lecz Maud, jak to ona, nie przestawała gderać, że są blisko spokrewnieni i że na nic nasze wzdychania. Maud zawsze wszystko sprowadza do genealogii. A przecież już nie jedni bliscy krewni pobrali się i wcale im to nie wyszło na złe. Nie należymy do Kościoła rzymskokatolickiego i nie potrzebujemy dyspensy.

Zrobiła kolejną przerwę. Tym razem jej twarz miała zaabsorbowany, skrajnie niewieści wyraz, typowy dla kobiet pochłoniętych ideą swatania.

— Rupert zawsze pamięta o jej urodzinach. Pisuje do Aspreyów. Chyba zgodzi się pan ze mną, że to wzruszające? Isabella to taka miła dziewczyna. Bardzo kocha St Loo. — Pobiegnęła spojrzeniem ku murom zamku. — Gdyby tak tam razem osiedli...

Zobaczyłem zbierające w jej oczach łzy...

(Wieczorem powiedziałem do Teresy: „To miejsce staje się coraz bardziej baśniowe. W każdej

chwili może przybyć baśniowy książe i poślubić księżniczkę. Gdzież my żyjemy? W świecie braci Grimm?”)

— Proszę mi opowiedzieć o swoim kuzynie Rupercie — poprosiłem Isabellę, kiedy następnego dnia usiadła na kamiennej ławce.

— Niewiele tu jest do opowiadania, przynajmniej tak mi się zdaje.

— Powiedziała pani, że myśli o nim bez przerwy. Czy to prawda?

Zastanawiała się chwilę czy dwie.

— Nie, nie myślę o nim. To znaczy, on po prostu jest we mnie. Sądzę, że pewnego dnia poślubię Ruperta. — Spojrzała na mnie, jakby zaniepokojona moim milczeniem. — Pewnie to, co mówię, brzmi absurdalnie. Nie widziałam Ruperta od czasu, kiedy ja miałam jedenaście lat, a on szesnaście. Powiedział wtedy, że kiedyś wróci i mnie poślubi. Zawsze w to wierzyłam... i nadal wierzę.

— Lord i lady St Loo, pobrali się i żyli długo i szczęśliwie w zamku St Loo, nad brzegiem morza — powiedziałem.

— Myśli pan, że to się nie może zdarzyć? Popatrzyła na mnie, jak gdyby moja opinia miała być rozstrzygająca.

Wziąłem głęboki oddech.

— Skłonny jestem uważać, że może. Zdarzają się przecież historie jak z bajki.

Zostaliśmy dość brutalnie przywołani ze świata bajek do rzeczywistości przez panią Bigham Charteris, która nieoczekiwanie pojawiła się na tarasie. Pacnęła o podłogę pękatą paczką, którą ze sobą przyniosła, i zażądała obcesowo, abym doręczył ją kapitanowi Carslake’owi.

— On pewnie jest w swoim biurze... — zacząłem, lecz pani Charteris mi przerwała.

— Wiem, ale ani mi się śni tam zaglądać. Nie mam nastroju do rozmowy z tą kobietą.

Jeśli o mnie chodzi, nigdy nie miałem nastroju, do rozmowy z panią Carslake, lecz powstrzymałem się od dalszych komentarzy, gdyż zdawało mi się, że za obcesowością pani Bigham Charteris kryje się coś więcej.

Isabella też to zauważyła.

— Czy coś się stało, ciociu Maud? — zapytała. Pani Bigham Charteris, z zastygłą twarzą wyrzuciła z siebie:

— Ktoś przejechał Lucindę.

Lucinda, brązowa spanielka, była wielką namiętnością pani Bigham Charteris.

Mówiła dalej, coraz gwałtowniej, przygważdżając mnie do miejsca lodowatym spojrzeniem, abym nie pospieszył z wyrazami współczucia.

— W pobliżu mola... kilkoro z tych przeklętych turystów... oni zawsze jeżdżą zbyt prędko... nawet się nie zatrzymali... chodź, Isabello... musimy pójść do domu...

Nie wyraziłem współczucia ani nie zaproponowałem herbaty.

— Gdzie jest Lucy? — spytała Isabella.

— Zaniósłm ją do Burtów. Pomógł mi major Gabriel. Był bardzo uprzejmy, istotnie, bardzo uprzejmy.

Gabriel nadszedł w momencie, kiedy skowycząca Lucinda leżała na ulicy, a pani Bigham Charteris bezradnie przy niej klęczała. Ukłąkł również i wprawnymi palcami zbadał potrąconego psa.

— Tylne nogi są bezwładne — powiedział. — Być może doznała wewnętrznego urazu. Trzeba ją zanieść do weterynarza.

— Zawsze korzystam z usług Johnsona z Polwithen. Cudownie odnosi się do psów, ale to daleko stąd.

— Kto jest najlepszy w St Loo?

— James Burt. Jest zdolny, ale to brutal. Nie mam do niego zaufania. Nie powierzam mu psów. On pije, wie pan. Ale mieszka tuż obok. Lepiej będzie, jak zaniemiemy tam Lucy. Uwaga, może ugryźć.

— Nie ugryzie mnie — odparł Gabriel i biorąc Lucinę na rękę, powiedział uspokajająco: — Wszystko w porządku, biedaczko, wszystko w porządku.

Tłum gapiów, złożony z wyrostków, rybaków i młodych kobiet z torbami na zakupy, przekrzykiwał się nawzajem, udzielając życzliwych rad.

Pani Bigham Charteris powiedziała przejęta:

— Grzeczna dziewczynka, Lucy, grzeczna dziewczynka. — Zwróciła się do Gabriela: — To bardzo miło z pańskiej strony. Dom Burta znajduje się tuż za Western Place.

Był to przyjemny wiktoriański budynek z łupkowym dachem i z podniszczoną, mosiężną tabliczką na furtce.

Drzwi otworzyła całkiem urodziwa kobieta, wyglądająca na jakieś dwadzieścia osiem lat — pani Burt, jak się miało za chwilę okazać.

Od razu rozpoznała panią Bigham Charteris.

— Och, pani Bigham Charteris, tak mi przykro. Nie ma ani męża, ani jego pomocnika.

— A kiedy wróca?

— Mąż powinien się zjawić lada chwila. Co prawda przyjmuje od dziewiątej do dziesiątej i od drugiej do trzeciej, lecz jestem pewna, że zrobi dla pani wszystko, co będzie w jego mocy. A co się stało pieskowi? Przejechany?

— Tak, przed chwilą, przez samochód.

— To nikczemne, proszę pani. Ludzie za szybko jeżdżą. Proszę wnieść pieska do gabinetu zabiegowego.

Milly Burt mówiła dalej swym łagodnym, lekko przesłodzonym głosem. Pani Bigham Charteris nie odstępowała Lucindy, wciąż ją głaszcząc. Na jej ogorzałej od słońca twarzy zastygł grymas bólu. Nie zwracała uwagi na Milly Burt, która usiłowała zabawiać ją uprzejmą, nieodpowiednią do sytuacji rozmową.

Nie wiedząc, co począć pani Burt zdecydowała się zadzwonić na farmę Lower Grange, z nadzieją, że zastanie tam męża. Telefon znajdował się w hallu. Gabriel wyszedł za nią, zostawiając panią Bigham Charteris sam na sam z psem i z własnym cierpieniem. Major Gabriel umiał znaleźć się w każdej sytuacji.

Pani Burt wybrała numer.

— Pani Whidden, mówi Milly Burt. Czy mój mąż jest u państwa?... Tak, oczywiście, bardzo proszę... jeśli byłaby pani tak miła... tak... — Nastąpiła przerwa. Gabriel, który obserwował młodą kobietę, zobaczył, że jej twarz zaczyna drgać i że pokrywa się rumieńcem. Zmienionym, bojaźliwym i przepraszającym głosem mówiła dalej: — Przepraszam, Jim... Nie, oczywiście, że nie... — Uszu Gabriela doleciało dalekie dudnienie władczego, rozzłoszczonego głosu. Milly odezwała się jeszcze pokorniej: — Przyszła pani Bigham Charteris... tak, z zamku... jej pies... jej pies został przejechany... tak, jest u nas...

Znów się zaczerwieniła. Nim odwiesiła słuchawkę, Gabriel zdążył usłyszeć ostre słowa:

— Trzeba było od razu tak mówić, ty idiotko!

Nastąpiła chwila zakłopotania. Gabrielowi zrobiło się przykro z powodu pani Burt, ładnego, delikatnego stworzenia, które bało się własnego męża. Powiedział na swój szczerzy, przyjazny sposób:

— To niezwykle uprzejmie z pani strony, że zadaje sobie pani tyle trudu i że jest pani tak życzliwa, pani Burt.

— Och, to nic takiego, majorze Gabriel. Pan jest majorem Gabrielem, prawda? — Była lekko podekscytowana pojawieniem się majora Gabriela w jej domu. — Wczoraj wieczorem byłam w instytucie na pańskim wiecu.

— To miło z pani strony, pani Burt.

— Mam nadzieję, że to pan zwycięży. Nawet jestem tego absolutnie pewna. Wszyscy się już śmiertelnie zmęczeni panem Wilbrahamem, proszę mi wierzyć. On nie jest tutejszy. Wie pan, że on nawet nie jest Kornwalijszczykiem?

— To tak jak i ja.

— Och, pan...

Patrzyła na niego łagodnymi, brązowymi oczami, przypominającymi brązowe ślepia Lucindy, oczami, w których wyczytać można było uwielbienie dla bohatera. Jej włosy były tak samo brązowe, niemal kasztanowe, jak psia sierść. Patrzyła z rozchylonymi wargami na Johna Gabriela, a widziała pustynię, upał, kule, zataczającą się ze zmęczenia postać... Obraz niby żywcem wyjęty z filmu, który oglądała w ubiegłym tygodniu.

I oto on, ten bohater, okazuje się tak naturalny, tak uprzejmy — tak zwyczajny!

Gabriel starał się przeciągnąć rozmowę z Milly Burt, aby zatrzymać ją jak najdłużej z dala od gabinetu zabiegowego. Tamta biedaczka na pewno wolą być sama ze swoim psem. Zwłaszcza — o czym był całkowicie przekonany — że zwierzę kończyło swój żywot. Szkoda, pomyślał, takiej ładnej, młodej suki, ma nie więcej niż trzy, cztery lata. Żona weterynarza to miła kobietka, lecz niewątpliwie chciałaby wyrazić swoje współczucie mówieniem i to mówieniem o samochodach i liczbie zabijanych każdego roku psów i o tym, jak miłym psem była Lucinda i... czy pani Charteris nie napiłaby się herbaty?

No więc John Gabriel rozmawiał z Milly Burt. Nawet ją rozśmieszył, dzięki czemu mogła się pochwalić ślicznymi ząbkami i okrągłym dołeczkiem w jednym kąciku ust. Młoda kobieta ożywiła się i wyglądała całkiem uroczo, kiedy nagle otworzyły się drzwi i do hallu wkroczył na sztywnych nogach przysadzisty mężczyzna w bryczesach. Milly Burt cofnęła się i skurczyła w sobie.

— Och, Jim, jesteś — zawołała nerwowo. — Przedstawiam ci majora Gabriela.

James Burt kiwnął od niechcenia głową, a jego żona mówiła dalej:

— Pani Charteris jest z psem w twoim gabinecie... Burt przerwał jej:

— Dlaczego nie zabrałaś psa, a jej nie kazałaś zostać na zewnątrz? Że też nigdy nie grzeszysz rozumem!

— Mogłabym teraz ją poprosić...

— Nie fatyguj się. Poradzę sobie sam.

Odrzucił żonę ramieniem i ruszył w dół schodami.

Milly Burt zamrugnęła pospiesznie, kryjąc łzy. Zapytała majora Gabriela, czy nie ma ochoty na filiżankę herbaty.

Ponieważ majorowi Gabrielowi było jej żal i ponieważ uważał jej męża za niewychowanego brutala, odpowiedział, że ma. I tak to się zaczęło.

Rozdział dziesiąty

Następnego dnia — a może dwa dni później — Teresa przyprowadziła panią Burt do mojego salonu.

— To jest mój szwagier, Hugh — powiedziała. — Hugh, to jest pani Burt, która była tak uprzejma i ofiarowała się nam z pomocą.

To „nam” nie odnosiło się do rodziny Norreysów, lecz do Partii Konserwatywnej.

Spojrzałem na Teresę, ale ta wytrzymała mój wzrok bez zmrużenia oka. Tymczasem pani Burt już rozczułała się nade mną, ona i te jej łagodne brązowe oczy, pełne niewieściego współczucia. Gdybym chciał pozwolić sobie na pławienie się w luksusie żalu nad własną niedolą, nie mógłbym wybrać lepszego momentu; przed litościwymi oczami pani Burt nie było obrony. Teresa nikczemnie zostawiła nas samych.

Pani Burt usiadła obok mnie gotowa do pogawędki. Kiedy po chwilowym zakłopotaniu odzyskałem przytomność umysłu, musiałem przyznać w duchu, że mam do czynienia z miłą kobietą.

— Czuję całym sercem — zaczęła — że musimy zrobić wszystko, co możliwe, dla sprawy wyborów. Jeśli o mnie chodzi, chyba nie na wiele się przydam. Nie jestem zdolna. Brak mi daru przekonywania, lecz, jak to już powiedziałam pani Norreys, jeśli jest jakakolwiek praca biurowa czy choćby roznoszenie ulotek, chętnie się wszystkiego podejmę.

Major Gabriel tak wspaniale mówił w instytucie o roli, jaką mogą odegrać kobiety. To uświadomiło mi, w jakim zamkniętym świecie żyłam dotychczas. Major Gabriel jest cudownym mówcą, zgodzi się pan ze mną, prawda? Och, zapomniałam... chcę powiedzieć, że być może pan...

Jej zażenowanie było wzruszające. Patrzyła, na mnie skonsternowana, a ja, cóż ja? Ja natychmiast pospieszyłem na ratunek.

— Wysłuchałem jego przemówienia inauguracyjnego w Drill Hall. Rzeczywiście, major Gabriel nieźle sobie radzi z publicznością.

Bynajmniej nie podejrzewała mnie o ironię.

— Uważam, że jest wspaniały — podtrzymała z zapalem swoją opinię.

— No właśnie. Rzecz w tym... ehm... żeby wszyscy byli tego samego zdania.

— Ależ jak najbardziej. Wszyscy, jak jeden mąż. To całkiem coś innego, mieć na liście wyborczej St Loo takiego człowieka jak on. Prawdziwego mężczyznę. Mężczyznę, który naprawdę był w wojsku i walczył. Pan Wilbraham jest w porządku, nie powiem, lecz ja zawsze uważałam socjalistów za

wywrotowców, a poza tym on jest tylko nauczycielem, czy kimś w tym rodzaju, i jest cherlawy i mówi afektowanym głosem. Nie odnosi się wrażenia, by naprawdę czegoś dokonał.

Przysłuchiwałem się głosowi wyborcy z pewnym zainteresowaniem. Zauważyłem, że John Gabriel z pewnością czegoś dokonał.

Pani Burt zapłonęła entuzjazmem. — Słyszałem, że był najdzielniejszym żołnierzem w całej naszej armii. Mówi się, że mógłby zdobywać Krzyże Wiktorii raz za razem.

Gabriel wyraźnie znajdował zrozumienie u właściwego rodzaju publiczności — świadczył o tym choćby nie udawany entuzjazm pani Burt. Wyglądała ślicznie z lekko zarumienionymi policzkami i z ogniem uwielbienia w brązowych oczach.

— Przyszedł do nas z panią Bigham Charteris — tłumaczyła. — W dniu, kiedy ktoś przejechał jej psa. To było ładne z jego strony, sam pan przyzna. Bardzo się przejął całym incydentem.

— Być może jest miłośnikiem psów — zaryzykowałem.

Miłość do psów nie była dla Milly Burt cechą godną uwagi.

— Nie — powiedziała. — To dlatego, myślę, że jest tak uprzejmy, tak cudownie uprzejmy i naturalny. — Przerwała na chwilę. — Od kiedy zdałam sobie sprawę, że nic nie robię dla sprawy, jestem po prostu zawstydzona. Oczywiście, zawsze głosuję na konserwatystów, lecz czy samo głosowanie to aby nie za mało?

— Opinie na ten temat są podzielone, droga pani Burt.

— No więc ja dojrzałam do tego, by coś robić. Przyszłam poprosić kapitana Carslake'a o pracę. Tak się składa, że mam aż za dużo czasu. Mój mąż jest bardzo zajęty, cały dzień przebywa poza domem, z wyjątkiem godzin dyżurów. No i nie mamy dzieci.

Brązowe oczy na moment przygasły. Zrobiło mi się żal Milly Burt. Należała do tego typu kobiet, które powinny mieć dzieci. Byłaby zapewne bardzo dobrą matką.

Zawód z powodu nie spełnionego macierzyństwa jeszcze kładł się cieniem na jej twarzy, kiedy nagle zaprzestała rozpamiętywania słów i czynów Johna Gabriela i zainteresowała się mną.

— Został pan ranny pod El-Alamejn, prawda? — spytała.

— Nie — zaprzeczyłem gwałtownie. — Na Harrow Road.

— Och. — Była zaskoczona. — Ale major Gabriel powiedział mi...

— Może i powiedział. Na pani miejscu nie wierzyłbym w każde jego słowo.

Uśmiechnęła się niepewnie, jak ktoś, kto nie całkiem zrozumiał dowcip.

— Wygląda pan wspaniale — zauważyła, chcąc najwidoczniej dodać mi otuchy.

— Moja droga pani Burt, ani nie wyglądam wspaniale, ani się tak nie czuję.

— Naprawdę strasznie mi przykro, kapitanie Norreys, proszę mi wierzyć — powiedziała bardzo uprzejmym tonem.

Ledwo w mojej głowie zaświtała myśl, że za chwilę kogoś tu zamorduję, kiedy otworzyły się drzwi i stanął w nich Carslake z Gabrielem.

Gabriel nie zasypiał gruszek w popiele. Z twarzą rozjaśnioną uśmiechem podszedł wprost do pani Burt.

— Witam, pani Burt. To miło z pani strony. To naprawdę miło.

Wyglądała na równie uszczęśliwioną jak spłoszoną.

— Och, doprawdy, majorze Gabriel, nie przypuszczam, bym mogła się do czegoś przydać, ale tak bardzo chciałabym panom pomóc. W czymkolwiek, byleby pomóc.

— Pani zamierza nam pomóc, a my zamierzamy dać pani pracę. — Wciąż jeszcze przytrzymał jej dłoń i uśmiechał się całą brzydką twarzą. Sam odczuwałem urok i siłę przyciągania tego mężczyzny, a co dopiero ta biedna kobieta.

Pani Burt zaśmiała się i spłonęła rumieńcem.

— Zrobię wszystko, co w mojej mocy. To chyba ważne, żebyśmy pokazali, jak bardzo prowincja jest oddana panu Churchillowi.

O wiele ważniejsze jest to, mógłbym jej podpowiedzieć, żebyśmy się wykazali oddaniem dla Johna Gabriela i wybrali go dużą przewagą głosów.

— Proszę, oto potęga ducha — powiedział Gabriel serdecznie. — To kobiety są obdarzone prawdziwą siłą. Oby tylko chciały jej użyć przy obecnych wyborach.

— Och, to prawda. — Pani Burt spoważniała. — Nie dość się staramy.

— No cóż — powiedział Gabriel. — Być może kandydaci obu partii nie różnią się zbytnio między sobą.

— Ależ majorze Gabriel! — Milly Burt była wstrząśnięta. — Różnią się. Różnią jak najbardziej.

— Tak, rzeczywiście, pani Burt — odezwał się Carslake. — Powiem pani w zaufaniu, że major Gabriel zamierza sprawić naszym przeciwnikom niezłą łaźnię. Oczywiście, kiedy już zdobędzie Westminster.

Bliski byłem krótkiego „czyżby?”, lecz powściągnąłem swój język. Carslake zabrał panią Burt do

siebie, aby dać jej jakieś ulotki, a może posadzić przy maszynie do pisania. Ledwo zamknęły się za nimi drzwi, Gabriel powiedział:

— Przyjemna kobietka, ot co.

— To widać, je panu z ręki.

Spojrzał na mnie, marszcząc czoło.

— Niech pan sobie daruje, Norreys. Polubiłem panią Burt. A poza tym żal mi jej. Nie ma łatwego życia, zaręczam to panu.

— Może i nie. Nie wygląda na bardzo szczęśliwą.

— Burt to gruboskórny drań. Za dużo pije. Nie trudno mi sobie wyobrazić, jaki to brutal. Wczoraj zauważyłem na jej ramieniu parę obrzydliwych siniaków. Idę o zakład, że jest maltretowana. Takie rzeczy doprowadzają mnie do białej gorączki.

Byłem z lekka zaskoczony. Gabriel zauważył to i energicznie pokiwał głową.

— Nie udaję. Okrucieństwo zawsze mnie drażni... Czy kiedykolwiek pomyślał pan o życiu, jakie wiodą niektóre kobiety? I o tym, że wciąż muszą trzymać język za zębami?

— Chyba są na to jakieś przepisy prawne — powiedziałem.

— Nie, nie ma, Norreys, chyba że w krańcowych przypadkach. Systematyczne zastraszanie, ciągłe szyderstwa, odrobina grubiaństwa podchmielonego męża — to szara codzienność, na którą żona nic nie może poradzić. Kobiety takie jak Milly Burt cierpią w milczeniu. A wie pan dlaczego? Nie mają własnych pieniędzy. A jak bez pieniędzy można odejść od męża? Dokąd? Krewni nie lubią się mieszać do małżeńskich kłopotów; kobiety takie jak Milly Burt są całkiem osamotnione. Nikt nie kiwnie palcem, aby im pomóc.

— Tak — przyznałem — to prawda... — Popatrzyłem na niego zaciekawiony. — Widzę, że się pan uniósł.

— A pan sądził, że nie stać mnie na zwykłe, ludzkie współczucie? Polubiłem tę dziewczynę. Żal mi jej i chętnie bym coś dla niej zrobił, ale obawiam się, że nic tu po moich chęciach.

Poruszyłem się niespokojnie. A raczej, aby być dokładnym, usiłowałem się poruszyć, na co moje okaleczone ciało zareagowało spazmem ostrego bólu. Nie koniec na tym: razem z fizycznym bólem przyszedł inny, bardziej wyrafinowany — ból pamięci. Jeszcze raz siedziałem w pociągu jadącym z Kornwalii do Londynu i jeszcze raz obserwowałem ukradkiem łzy skapujące do filiżanki z bulionem...

To w taki sposób wszystko się zaczyna. Wcale nie tak, jak człowiek by sobie wyobrażał. To czyjaś bezradność w obliczu krzywdy prowokuje cię do zmagania się z życiem i prowadzi cię, no właśnie, dokąd? W moim wypadku do wózka inwalidzkiego, do życia bez przyszłości i z przeszłością, która

ze mnie zadrwiła...

Tylko dlaczego zapytałem szorstko, choć Gabriel mógł wziąć tę szorstkość do siebie:

— Jak się miewa ten niezły numer z gospody „Pod herbem”?

Gabriel uśmiechnął się szeroko. — Nie przejmuj się, mój przyjacielu. Jestem bardzo dyskretny. Dopóki jestem w St Loo muszę dbać o reputację. — Westchnął. — A szkoda. Ona jest naprawdę w moim typie. Ale cóż, nie można mieć wszystkiego! Nie można sprawić zawodu torysom. Zapytałem, czy torysi są purytanami, a on mi odpowiedział, że, owszem, w St Loo purytanizm odgrywa dużą rolę. Rybacy, dodał, są raczej religijni.

— Mimo że mają żony w każdym porcie?

— Rybacy to nie marynarze, drogi przyjacielu. Pan miesza pojęcia.

— A pan? Czy panu nie pomieszała się pani Burt z wiadomą damą spod „Herbu”?

Nieoczekiwanie uniósł się gniewem.

— Przepraszam, do czego pan zmierza? Pani Burt jest uczciwą kobietą, bezwzględnie uczciwą. To nawet nie kobieta, to taki sobie miły dzieciak.

Zadziwił mnie.

— Ona jest w porządku, proszę mi wierzyć — ciągnął z uporem. — Nie nadaje się do cichych flircików.

— Wcale tak nie myślę — przyznałem zgodnie. — Ale pani Burt nie kryje się z podziwem dla pana.

— Och, to tylko z powodu Krzyża i tamtego dziecka na przystani, i tej całej gadaniny na mieście.

— No właśnie, cała ta gadanina. I któż jest jej duchem sprawczym?

Puścił do mnie oko.

— Ma pan coś przeciwko niej? No cóż, ja uważam, że jest przydatna, i to bardzo. Dowiadujemy się na przykład, że Wilbraham ma ostatnią kategorię, a więc praktycznie nie nadaje się do służby wojskowej. Biedaczysko.

— Kto rozpowszechnia te wszystkie pogłoski? Carslake?

Gabriel potrząsnął głową.

— Nie, nie Carslake. Jemu brak polotu. Nie mógłbym mu zawierzyć. Musiałem sam zakasać rękawy.

Wybuchnąłem śmiechem.

— Czyżby to znaczyło, że ma pan dość nerwów, by wmawiać ludziom, iż stać pana na zdobywanie Krzyża Wiktorii trzy razy pod rząd?

— No, niezupełnie. Do tych celów używam kobiet, powiedzmy, niezbyt rozgarniętych. To one same wyciągają ze mnie to i owo, a potem, kiedy jestem przeraźliwie zażenowany i błagam, by wszystko zostało między nami, one czym prędzej biegną z językiem do swoich najlepszych przyjaciółek.

— Pan rzeczywiście jest bezwstydnym, majorze Gabriel.

— Walczę o zwycięstwo w wyborach. Muszę myśleć o swojej karierze. Takie metody liczą się o wiele bardziej niż wszystkie dywagacje na temat podatków, odszkodowań wojennych czy właściwej płacy za właściwą pracę. Kobiety zawsze dają się złapać na sprawy osobiste.

— Coś mi to przypomina: jaki diabeł podkusił pana do opowiadania pani Burt, że byłem ranny pod El-Alamejn?

Gabriel westchnął ciężko.

— Przypuszczam, że pozbawił ją pan złudzeń. A szkoda, przyjacielu. Trzeba inkasować czeki, kiedy tylko nadarza się okazja. Bohaterowie są obecnie w cenie. Potem pójdą w odstawkę. Bierz, póki ci dają.

— Posługując się fałszem? Pozorami?

— Kobietom nie trzeba mówić prawdy. Ja nigdy tego nie robię. One zresztą jej nie oczekują, jeszcze się pan przekona.

— To coś innego niż rozmyślne kłamstwa.

— Kto tu mówi o kłamstwie. Nie każę panu kłamać. Pan powinien jedynie bąkać pod nosem: „Nonsens... jakaś pomyłka... dlaczego, u diabła, ten Gabriel nie trzyma języka za zębami...”, a potem przejść do rozmowy o pogodzie, o łowieniu sardeli lub o kuchni w średniowiecznej Rosji. Tyle wystarczy, by rozentuzjasmować każdą dziewczynę. Do diabła, dosyć tego. Nie kuszą pana jakieś rozrywki?

— W moim położeniu?!

— Wiem, wiem. Nie może pan chodzić z nikim do łóżka — Gabriel na ogół nie przebierał w słowach — ale nie zaszkodziłaby odrobina namiastki. Lepsze to niż nic. Nie chciałby pan jakiejś kobietki, która by się panem zajęła?

— Nie.

— Zabawne. Ja na pana miejscu chciałbym.

— To by się dopiero okazało.

Gabriel spochmurniał. Powiedział wolno:

— Może i ma pan rację... Na każdego przychodzi godzina próby... Nikt nie zna siebie dogłębnie. Zdaje mi się, iż rozgryzłem Johna Gabriela z każdej strony. Pan jednak sugeruje, że jestem w błędzie. Proszę zatem wyjść mu naprzeciw, nie sędzę, żebyście się znali.

Przemierzał niecierpliwie pokój tam i z powrotem; czułem, że moje słowa wprawiły go w niepokój. Wyglądał teraz — tak, nagle to sobie uświadomiłem — wyglądał jak mały, przestraszony chłopiec. — Myli się pan — powiedział. — Bardzo się pan myli. Ja siebie znam. Jestem pewien właśnie tego jednego: znam siebie. Choć czasami wolałbym, żeby było inaczej... Dokładnie wiem, kim jestem i na co mnie stać. Dbam o to, proszę zauważyć, by nikt się nie połapał w tym, co robię. Wiem, skąd przychodzę, i wiem, dokąd zmierzam. Wiem, czego chcę, i wiem, jak to zdobyć. Rozpracowałem wszystko bardzo starannie i nie sędzę, bym chybił celu. — Przez chwilę coś rozważał. — Nie, myślę, że siedzę w siodle pewnie. Dojdę tam, gdzie chcę dojść!

Ton jego głosu zaciekawił mnie. Na moment uwierzyłem, że jest kimś więcej niż szarlatanem — zobaczyłem w nim uosobienie siły.

— Zgoda — powiedziałem. — Założmy, że dojdzie pan do celu.

— Do jakiego celu?

— Do władzy. To o nią panu chodzi, chyba się nie mylę.

Przyjrzał mi się dokładnie, po czym wybuchnął śmiechem.

— Boże mój, nie. Myśli pan, że kim jestem? Hitlerem? Nie chcę władzy. Nie mam żadnych ambicji, by panować nad stworzeniami takimi jak ja ani w ogóle nad światem. Wielkie nieba, człowieku, myśli pan, że to dla zdobycia władzy wplątałem się w tę awanturę? Władza to androny, to czyste bzdury! Chcę jedynie wygodnej posady. Niczego więcej. Patrzyłem na niego rozczarowany. Na jedną krótką chwilę John Gabriel urósł w moich oczach do wielkości tytana. Teraz kurczył się na powrót do ludzkich rozmiarów. Opadł na krzesło i wyciągnął przed siebie nogi. Zobaczyłem go nagle odartym ze zwykłego czaru; zobaczyłem prostaka — miałkiego, chciwego człowieczka.

— Powinien pan dziękować swoim gwiazdom — powiedział — że to jest wszystko, czego naprawdę chcę! Mężczyźni, którzy są chciwi, zachłanni i samolubni, nie przynoszą światu zagłady, świat stwarza im bowiem wiele innych możliwości. Lecz to właśnie oni powinni rządzić całą resztą. Niech niebiosa mają w swojej opiece kraj, który trzymają w łapskach ludzie przesiąknięci ideami! Człowiek зараżony jakąś ideą będzie gnębił zwykłych ludzi, morzył głodem dzieci, upokarzał kobiety i ani mu przez myśl nie przemknie troszczyć się o ich los. Natomiast samolubny, zgarniający wszystko pod siebie facet nie wyrządzi wielkich szkód, on chce tylko umeblować wygodnie swój mały kącik, a kiedy już to zrobi, nie będzie miał nic przeciwko szczęściu i pełnej gębie szarego człowieka. Co więcej, szczęście i pełna gęba tego ostatniego są mu na rękę, rokują bowiem mniej kłopotów. Wiem bardzo dobrze, czego ludzie pragną — nie jest tego wiele. Chcą czuć się ważni, chcą urządzić się

trochę lepiej niż ich sąsiedzi i nie chcą być poniewierani. Wspomni pan moje słowa, Norreys, to tu laburzyści pokpią sprawę, kiedy już dorwą się do władzy... — Jeśli się dorwą — poprawiłem go.

— Dorwą się, to jasne — powiedział Gabriel z przekonaniem. — A ja już teraz powiem panu, gdzie popełnią błąd. Przestaną się liczyć z ludźmi. Zresztą w najlepszych intencjach. Albo się jest bezkompromisowym torysem, albo szaleńcem. A niech nas Bóg strzeże od szaleńców! Czy pan ma pojęcie, ile cierpienia jeden pyszałkowaty, przesiąknięty idealistyczną wizją szaleniec może sprowadzić na przyzwoity prawomyślny kraj?

Próbowałem się spierać:

— Czyż nadal wszystko nie sprowadza się do tego, że we własnym mniemaniu tylko pan ma receptę na pomyślność imperium?

— Ani trochę. Wiem, co jest najlepsze dla Johna Gabriela. Krajowi nie zagrażają moje eksperymenty, ponieważ będę zajęty myśleniem o sobie i o tym, jak się wygodnie urządzić. Bynajmniej nie zależy mi na stanowisku premiera.

— Pan mnie zadziwia!

— Teraz niech pan uważa, Norreys: możliwe, że mógłbym nim zostać, jeślibym chciał. To zdumiewające, jak dużo człowiek potrafi zdziałać, jeżeli tylko wie, co ludzie chcą usłyszeć, i mówi im to. Lecz stanowisko premiera wiąże się z mnóstwem kłopotów i z ciężką pracą. Ja chcę tylko wyrobić sobie nazwisko, nic więcej...

— A skąd pan weźmie pieniądze? Z sześcioma setkami rocznie daleko pan nie zajdzie.

— Jeśli wygrają laburzyści, stawka pójdzie w górę. Do tysiąca na czysto. Ale niech pan nie będzie naiwny, jest mnóstwo sposobów na robienie pieniędzy w polityce; i tych uczciwych, i tych nie. No i zawsze wchodzi w grę małżeństwo...

— Małżeństwo też pan uwzględnił w swoich planach? A tytuł?

Z jakiegoś powodu poczerwieniał.

— Nie — rzucił porywczo. — Nie ożenię się z kimś wyższego stanu. Wiem, do jakiej klasy należę. Nie jestem dżentelmenem.

— Czy w dzisiejszych czasach to słowo jeszcze coś znaczy? — zapytałem z powątpiewaniem.

— Słowo nie. Ale gatunek człowieka, określany tym słowem, nadal istnieje. — Zapatrzył się przed siebie. Kiedy znów się odezwał, jego głos był pełen zadumy, daleki. — Pamiętam, jak chodziłem z moim ojcem do pewnego wielkiego domu. Ojciec konserwował bojler w kuchni, a ja kręciłem się na zewnątrz. Za każdym razem zjawiała się dziewczynka, starsza ode mnie rok, może dwa. Miły dzieciak. Zabierała mnie do ogrodu, a raczej do parku, no wie pan, fontanny, tarasy i wysokie cedry, i zielona, aksamitna trawa. Był z nami również jej brat, trochę młodszy od nas. Bawiliśmy się we troje. W chowanego, w odgadywanie nazw przedmiotów. Wspaniale się ze sobą dogadywaliśmy.

Potem z domu wychodziła niania, wystrojona w nakrochmalony uniform. Pam, tak miała na imię dziewczynka, biegła do niej w podskokach i mówiła, że chce mnie zabrać ze sobą do pokoju dziecinnego na herbatę i że bardzo o to prosi. Jeszcze teraz widzę tamtą zarozumiałą twarz, tamten sztuczny uśmiech, jeszcze dźwięczy mi w uszach mizdrzący się, afektowany głos: „Nie możesz tego zrobić, skarbie. To przecież chłopczyk z gminu”.

Gabriel zamilkł. Byłem zaszokowany, wstrząśnięty tym, co może zrobić okrucieństwo, nieświadome, bezmyślne okrucieństwo. Do dziś słyszał tamten głos z dzieciństwa, widział tamtą twarz... Został zraniony, i to do głębi duszy.

— Ale proszę zauważyć — powiedziałem. — To nie była matka tamtych dzieci. Ta osoba zachowała się, powiedzmy, bardzo niezręcznie, lecz okrucieństwo nie leżało w jej intencjach.

Zwrócił ku mnie pobladłą, mroczną twarz.

— Nie ma pan racji, Norreys. Zgadzam się, dama nie powiedziałaaby czegoś takiego, damy ważą swoje słowa, lecz to nie zmienia faktu, że tamta kobieta trafiła w sedno sprawy. Przecież istotnie byłem dzieckiem z gminu. I nadal nim jestem. I pozostanę aż do śmierci.

— Ależ to absurdalne! Jakie to ma znaczenie?

— Żadnego. Co więcej, w dzisiejszych czasach nie opłaca się być dżentelmenem. Ludzie drwią sobie z tych nieco patetycznych, trzymających się prosto starych dam i z dżentelmenów, którzy mają doskonałe koligacje, a którym nie starcza pieniędzy na życie. Dzisiaj snobujemy się jedynie na wykształcenie. To ono jest naszym fetyszem. Ale w tym kłopot, Norreys, że ja nie chciałem być małym chłopcem z gminu. Wróciłem do domu i powiedziałem do ojca: „Tato, kiedy dorosnę, chcę być lordem. Chcę być lordem Johnem Gabrielem”. „Nigdy nim nie będziesz”, rzekł ojciec. „Lordem trzeba się urodzić. Mogą cię podnieść do takiej godności, jeśli będziesz wystarczająco bogaty, ale to nie to samo”. Tak, to nie to samo. To jest coś, czego nigdy nie posiadam. Och, nie myślę o tytule. Myślę o wrodzonej pewności siebie, która pomaga kontrolować własne słowa i czyny i dzięki której jesteś szorstki tylko wówczas, kiedy chcesz być szorstki, a nie dlatego, że wpadłeś w złość i chcesz nauczyć kogoś rozumu; która nie krępuje, nie zmusza do liczenia się z cudzą opinią i daje swobodę w osądzaniu innych. Myślę o pewności siebie, która pozwala być cudakiem, skąpcem czy ekscentrykiem, ponieważ jesteś tym, kim jesteś.

— Ponieważ jesteś, na przykład, lady St Loo? — podsunąłem.

— Niech diabli porwą tę starą sukę!

Major Gabriel zadziwiał mnie raz za razem.

— Wie pan — powiedziałem — jest pan doprawdy wielce interesującym człowiekiem.

— Trudno mnie przejrzeć, prawda? Już, już jest pan blisko i znów się panu wymykam, czyż nie tak?

— Od początku wiedziałem, że w pana życiu coś zaszło... — ważyłem słowa — że przeżył pan

kiedyś jakiś szok... No tak, został pan zraniony w dzieciństwie i nie jest w stanie o tym zapomnieć...

— Dajmy sobie spokój z psychologią — uciął szorstko. — Ale mam nadzieję, że wreszcie pan pojął, dlaczego jestem szczęśliwy, kiedy zadaję się z Milly Burt. Zamierzam się ożenić właśnie z taką dziewczyną jak ona. Moja wybranka powinna mieć pieniądze, to jasne, lecz z pieniędzmi czy bez, będzie pochodziła z mojego stanu. Czy potrafi pan sobie wyobrazić piekło, jakie by mnie czekało, gdybym się ożenił z zarozumiałą pannicą o końskiej twarzy i spędził resztę życia, usiłując jej dorównać? — Po krótkiej chwili zapytał porywczo: — Był pan we Włoszech. Czy w Pizie też? — Tak, kilka lat temu.

— To chyba tam na jakiejś ścianie jest malowidło przedstawiające niebo i piekło, i czyściec, i całą tę resztę. Piekło jest dość wesołe: małe diabełki kłują widłami grzeszników. Wyżej jest niebo: rząd duszyczek siedzących pod drzewami, z wyrazem samozadowolenia na twarzach. Mój Boże, te kobiety! One nie mają pojęcia ani o piekle, ani o potępieniu; one nie mają pojęcia o niczym! Siedzą i uśmiechają się pyszałkowato... — Narastała w nim pasja. — Zadowolone, bardzo zadowolone z siebie! Boże, miałem ochotę wyrwać je spod tych drzew, z tego błogostanu i cisnąć w płomienie. Niechby się tam wiły, niechby wreszcie coś czuły, niechby cierpiały! Dlaczego im właśnie nie dane było zaznać cierpienia? Siedzą tam uśmiechnięte, nietykalne... Z głowami pośród gwiazd... Tak, otóż to, pośród gwiazd... — Podniósł się z krzesła. Jego wzrok błędził gdzieś poza mną. Powtórzył ciszej: — Pośród gwiazd... — A potem się zaśmiał. — Przepraszam, że się narzucam. Choć, czy ja wiem? Harrow Road może i zrobiło z pana rozbitka życiowego, lecz wciąż jeszcze do czegoś się pan nadaje: słucha mnie pan, kiedy tylko mam ochotę mówić... Z czasem pan zauważy, że ludziom w pana obecności nie będą się zamykać usta. — Już to zauważyłem.

— A wie pan dlaczego? Wcale nie dlatego, że jest pan wspaniałym współczującym słuchaczem lub kimś w tym rodzaju. Dlatego, że nadaje się pan tylko do słuchania. Do niczego innego.

Stał przede mną z głową przechyloną na bok i mierzył mnie złym wzrokiem. Jak sądzę, chciał mnie zranić słowami. Ale nie zranił. Przeciwnie, doświadczyłem znacznej ulgi, słysząc wypowiedziane głośno moje własne myśli.

— Nie mogę zrozumieć, dlaczego, u diabła, nie skończy pan z tym wszystkim? — zapytał. — A może nie wie pan, jak to zrobić?

— Wiem, doskonale wiem — powiedziałem, zaciskając dłoń na buteleczce z pigułkami.

— Rozumiem. Ma pan więcej charakteru, niż myślałem...

Rozdział jedenasty

Następnego ranka zabawiała mnie rozmową pani Carslake. Nie lubiłem jej. Była drobną, ciemnowłosą kobietą o kąśliwym języku. Nie przypominam sobie, bym podczas całego pobytu w Polnorth House choć raz usłyszał od niej jakieś miłe słowo o bliźnich. Czasami, dla czystej zabawy, wymieniałem nazwisko po nazwisku i czekałem tylko, kiedy słodycz jej komentarzy nabierze cierpkości. Właśnie mówiła o Milly Burt. — Takie miłe stworzenie. I takie skore do pomocy. Oczywiście, nie jest zbyt mądra ani wyrobiona politycznie. Kobiety z jej klasy społecznej nie interesują się polityką.

Według mnie klasa społeczna Milly Burt była również klasą społeczną pani Carslake. Aby ją zirytować, powiedziałem: — Cóż, podobna jest w tym do Teresy. Pani Carslake wyglądała na zaskoczoną. — Och, ale pani Norreys jest bardzo zdolna... — Po czym utartym zwyczajem, kropelka po kropelce, sączył się jad: — Czasami nawet zbyt zdolna., jak na mój gust. Często odnoszę wrażenie, że pogardza nami wszystkimi. Kobiety wykształcone nierzadko bywają bardzo w sobie zakochane. Nie uważa pan? Oczywiście, nie nazwałabym wprost pani Norreys samolubną... — Potem wróciła do Milly Burt. — Pani Burt przyda się jakieś zajęcie. Widzi pan, obawiam się, że jest bardzo nieszczęśliwa.

— Przykro mi to słyszeć.

— Ten cały Burt stacza się coraz niżej. Wychodzi spod „Herbów” jako ostatni, zataczając się. Ciekawe, że też chcą go obsługiwać. I jestem przekonana, że bywa dość gwałtowny; tak przynajmniej mówią sąsiedzi. Ona się go śmiertelnie boi, mówię panu.

Skrzydełka nosa pani Carslake lekko zatrzepotały. Pomyślałem, że moja rozmówczyni zwęszyła jakąś przyjemną sensację.

— Więc dlaczego go nie zostawi? — spytałem. Pani Carslake spojrzała na mnie zdumiona.

— Co też pan mówi, kapitanie Norreys, przecież to niemożliwe. I dokąd miałyby pójść? Nie ma żadnych krewnych. Czasami myślę, że gdyby tak nadarzył się młody, sympatyczny mężczyzna, to... no cóż, powiem wprost: nie posądzam Milly Burt o hołdowanie zbyt sztywnym zasadom moralnym. Albo ta jej uroda. Dość wyzywająca, nieprawda?

— Pani chyba niezbyt ją lubi?

— Och skądże, lubię, lecz raczej nie miałam dużo okazji, by ją dobrze poznać. Weterynarz, no cóż, to nie to samo co lekarz.

Dokonawszy całkiem wyraźnego podziału w społeczności lokalnej, pani Carslake zapytała troskliwie, czy jest coś, co mogłaby dla mnie zrobić.

Patrzyłem przez okno. Podążając za moim wzrokiem, bez trudu odgadła, co — a raczej kto — przykuwa moją uwagę.

— Ach — westchnęła. — To Isabella Charteris. Teraz już razem przyglądaliśmy się Isabelli, która, minawszy furtkę od strony pola, zbliżała się do stopni tarasu.

— Całkiem urodziwa dziewczyna — stwierdziła pani Carslake. — No i taka cicha, taka łagodna. Choć ja zawsze mówię, że tym cichym, łagodnym dziewczętom nie brak pewnej przebiegłości.

Słowo „przebiegłość” sprawiło, iż poczułem się wzburzony. Jednak nim zdążyłem odpowiednio zareagować, za panią Carslake zamknęły się drzwi. Przebiegłość! Co za okropieństwo! Zwłaszcza w zestawieniu z Isabellą. Jej najbardziej charakterystyczną cechą była prawość — nieugięta, niewzruszona prawość.

Czyżby jednak? Przypomniałem sobie nagle sposób, w jaki upuściła szal na tamte nieszczęsne pigułki. Łatwość, z jaką jej przyszło udawać, że oboje w najlepsze rozmawiamy. A wszystko bez zbędnego podniecenia czy zmieszania, prosto, naturalnie, jak gdyby robiła tego rodzaju rzeczy całe życie.

Czyżby to było to, co pani Carslake określała mianem przebiegłości?

Pomyślałem sobie, że można by spytać Teresę, co o tym sądzi. Teresa daleka była od spontanicznego głoszenia opinii o ludziach, lecz indagowana, na ogół zaspokajała czyjąś ciekawość.

Tym razem Isabellą przyszła do mnie podekscytowana. Nie wiem, czy ktoś inny by to zauważył, ale ja zauważyłem. Jeśli o to chodzi, zaczynałem poznawać Isabellę całkiem nieźle.

Zaczęła od progu, nie tracąc czasu na powitania. — Rupert przyjeżdża. Naprawdę przyjeżdża. Może się tu zjawić w każdej chwili.

Usiadła i uśmiechnęła się. Długie, wąskie dłonie jak zwykle spoczęły na podolku. Za jej głową, w ogrodzie, cis kładł się na niebo zieloną aureolą igieł. Wyglądała na rozanieloną. Jej poza, rysunek postaci przypominały mi coś. Coś, co widziałem, lub o czym dopiero co słyszałem...

— Czy jego przyjazd tak wiele dla pani znaczy? — spytałem.

— Tak, wiele. Och tak. — Dodała: — Widzi pan, czekałam tak długo.

Czy w Isabelli było coś z Mariany* zamieszkującej otoczony fosą dwór? Czy należała choć trochę do epoki Tennysona?

— Na Ruperta? — Tak.

— Czy aż tak bardzo go pani lubi?

— Myślę, że lubię Ruperta jak nikogo na świecie. — Potem dodała, usiłując nadać inną intonację tym samym słowom: — Myślę... że tak, że aż tak bardzo.

— Jest pani tego pewna?

Popatrzyła na mnie z nagłą rozpaczą w oczach.

— Czy można być pewnym czegokolwiek?

To nie była deklaracja jej uczuć. To było zwykłe pytanie. Isabellą skierowała je do mnie, ponieważ ode mnie spodziewała się uzyskać odpowiedź, której sama nie знаła. I nawet nie przypuszczała, jak to zwykłe pytanie mnie zraniło.

— Nie — powiedziałem, a mój głos zabrzmiał szorstko nawet w moich uszach. — Nigdy nie można być pewnym.

Przystała na to, spoglądając w dół na złożone, nieruchome dłonie.

— No tak — odparła. — No tak. — Jak dawno go pani nie widziała? — Osiem lat.

— Jest pani romantyczną istotą, Isabello.

Spojrzała na mnie pytająco.

— Czy dlatego, że wierzę w powrót Ruperta i w to, że się pobierzemy? Tak naprawdę to nie jest romantyzm. To raczej pewien rodzaj wiary... oczekiwań... — Jej długie, spokojne dłonie ożyły, podążając za jakimś wzorem na sukience. — Moich i jego. One spełnią się kiedyś i połączą. Nawet nie myślę, bym mogła opuścić St Loo. Tu się urodziłam i tu zawsze mieszkałam. I chcę dalej mieszkać. Spodziewam się, że tu umrę.

Zadrżała lekko, wymawiając ostatnie słowa, podczas gdy płynąca niebem chmura przesłoniła słońce.

Ponownie zadziwił mnie jej niezdrowy lęk przed śmiercią.

— Myślę, że nieprędko pani umrze, Isabello — pocieszyłem ją. — Jest pani bardzo silna i zdrowa. Zgodziła się ze mną skwapliwie.

— Tak, to prawda, jestem silna. I nigdy nie choruję. Chyba mogę dożyć do dziewięćdziesięciu lat, nie sądzi pan? Albo i do stu. Przecież są tacy, co dożywają.

Spróbowałem nakreślić w myślach obraz dziewięćdziesięcioletniej Isabelli, ale mi to nie wychodziło. Za to łatwo wyobraziłem sobie stuletnią lady St Loo. Tylko że lady St Loo miała dynamiczną osobowość; ona brała się z życiem za bary i świadomie kreowała przyszłość. Cóż, lady St Loo walczyła o swoje życie — Isabella je zaledwie akceptowała.

Otworzyły się drzwi. Wszedł Gabriel.

— Proszę spojrzeć, Norreys... — zaczął z marszu, lecz widząc Isabellę, urwał w pół zdania. — Och, dzień dobry, panno Charteris.

Nie przejawiał zwykłej pewności siebie. Raczej był nieco zmieszany. Czyżby cień lady St Loo padał aż tutaj?

— Rozmawiamy o życiu i śmierci — odezwałem się pogodnie. — Właśnie prorokowałem pannie Charteris, że dożyje dziewięćdziesiątki.

— Jestem skłonny sądzić, że chybaby tego nie chciała. Któżby chciał? — Ja — oznajmiła Isabella.

— Dlaczego?

— Nie chcę umierać.

— Och — Gabriel rzucił lekko — nikt nie chce. Można nie przejmować się śmiercią, ale każdy boi się umierania. Umieranie to bolesny i nieprzyjemny obowiązek.

— Mam na myśli samą śmierć — wyznała Isabella. — Nie ból. Potrafię znieść wiele bólu.

— Tak pani sądzi? — Wyrażna nuta pogardy w jego głosie rozgniewała Isabellę. Zapłonęła rumieńcem.

— Umiem sobie radzić z bólem.

Popatrzyli na siebie. W jego oczach iskrzyło pogardliwe lekceważenie, w jej — wyzwanie. A potem Gabriel zrobił coś, czemu z trudem mogłem dać wiarę.

Przed chwilą odłożyłem papierosa. Gabriel błyskawicznie pochylił się nade mną, podniósł go i przysunął do ręki Isabelli. Ani się nie poruszyła, ani nie cofnęła ręki. Chyba krzyknąłem, protestując, lecz żadne z nich nie zwróciło na mnie uwagi. Przytknął rozżarzony czubek do nagiej skóry.

W tym momencie dane mi było odczuć całą podłość i gorzkość kalectwa. Byłem bezsilny. Niezdolny do działania. Nie mogłem przeciwstawić się brutalności Gabriela.

Twarz Isabelli powoli bieląca z bólu. Dziewczyna zacisnęła usta, ale nadal siedziała nieporuszona, z oczami wbitymi w Gabriela.

— Czy pan oszalał, Gabriel? — krzyknąłem. — Co pan wyprawia, do diabła!

Nie zwracał na mnie uwagi. Równie dobrze mogłoby mnie tam nie być. Wreszcie cisnął papieros do kominka.

— Przepraszam. Umiem sobie pani radzić z bólem — powiedział do Isabelli i bez słowa wyszedł z pokoju.

Miałem ściśnięte gardło. Ledwo mogłem mówić.

— Brutal... barbarzyńca... co też mu przyszło do głowy? Powinno się go zastrzelić...

Isabella, ze wzrokiem wbitym w drzwi, powoli owijała chusteczkę wokół oparzonej ręki. Robiła to, powiedziałbym, prawie nieświadomie, nieobecna myślami.

Minęło sporo czasu, nim popatrzyła na mnie. Zdawała się trochę zaskoczona.

— Czy coś się stało? — zapytała.

Bezładnie próbowałem powiedzieć jej, co myślę o postępku Gabriela.

— Nie rozumiem — odparła — dlaczego miałby się pan tak denerwować. Major Gabriel jedynie sprawdzał, jak znoszę ból. Teraz wie, że dobrze.

Rozdział dwunasty

Po południu podejmowaliśmy gości herbatą. W St Loo bawiła siostrzenica pani Carslake, która chodziła do szkoły razem z Isabella; tak przynajmniej utrzymywała pani Carslake. Do mojej wyobraźni nigdy nie przemawiała postać Isabelli jako uczennicy, przeto chętnie przystałem na propozycję Teresy, by zaprosić do nas ową siostrzenicę, obecnie niejaką panią Mordaunt, i samą panią Carslake. Teresa zaprosiła także Isabellę.

— Przyjdzie Annę Mordaunt. Podobno były panie w jednej szkole.

— Było kilka dziewcząt o tym imieniu — powiedziała Isabella wymijająco. — Annę Trenchard i Annę Langley, i Annę Thompson.

— Zapomniałem jej panińskiego nazwiska. Pani Carslake wymieniła je, ale zapomniałem.

Annę Mordaunt okazała się dawną Annę Thompson. Była pełną życia młodą kobietą o dość nieprzyjemnym, apodyktycznym sposobie bycia. (Tak przynajmniej ja uważałem.) Pracowała w jednym z ministerstw w Londynie, jej mąż w innym, i miała dziecko, które umieściła gdzieś bezpiecznie, dzięki czemu mogła bez przeszkód uczestniczyć w wojennych zmaganiach kraju.

— Chociaż moja matka uważa, że od kiedy zaprzestano bombardowań, mogliśmy zabrać Tony'ego do domu. No cóż, nie zgodziłabym się z nią, w obecnych czasach dziecko w Londynie to zbyt duży kłopot; ciasne mieszkania, dobrej niani jak na lekarstwo, no i to prowadzenie kuchni, a ja, oczywiście, jestem cały dzień poza domem.

— Doprawdy uważam — powiedziałem — że tkwi w pani zdrowy duch obywatelski, skoro mając tak ważną pracę, w ogóle zdecydowała się na posiadanie dziecka.

Za olbrzymią srebrną tacą do herbaty siedziała Teresa. Zauważyłem, że uśmiecha się kącikami ust i dyskretnie potrząsa głową pod moim adresem.

Jednak pani Mordaunt przełknęła powyższą uwagę gładko. Co więcej, chyba wzięła ją za dobrą monetę.

— Nikt nie powinien zrzucać z siebie odpowiedzialności, to oczywiste. Dzieci są niesłuchanie potrzebne, szczególnie w naszych sferach. — Dodała, jakby po namyśle: — A poza tym jestem całkowicie oddana Tony'emu.

Następnie zwróciła się ku Isabelli i pogрузyła we „wspomnieniach o starych dobrych czasach w St Ninian's. Wyglądało mi to na rozmowę, do której jedna z jej uczestniczek nie była przygotowana. Nie dziwiłem się zatem, że Annę Mordaunt musiała raz i drugi wspomagać pamięć dawnej koleżanki.

Pani Carslake szepnęła przepraszająco do Teresy:

— Tak mi przykro, że Dick się spóźnia. Nie rozumiem, co go zatrzymuje. Obiecał wrócić o wpół do piątej.

— Myślę, że jest u niego major Gabriel — odezwała się Isabella. — Kwadrans temu przechodził przez taras.

Dziwne, pomyślałem. Do moich uszu nie doszedł odgłos niczyich kroków. Isabella siedziała tyłem do okna; w jaki sposób mogła wiedzieć, że ktoś przechodzi przez taras? Przez cały podwieczorek nie odrywałem od niej oczu, stąd miałem pewność, że ani nie odwróciła głowy ani nie zareagowała w żaden sposób na niczyją obecność na zewnątrz. Oczywiście, miała wyczulony słuch, wiedziałem o tym, lecz skąd czerpała przekonanie, że to Gabriel?

— Isabello — poprosiła Teresa — czy nie miałaby pani nic przeciwko temu..., ależ nie, pani Carslake, proszę nie wstawać, aby pójść do drugiego skrzydła i poprosić obu panów na herbatę?

Popatrzyliśmy za znikającą w drzwiach wysmukłą postacią. Pani Mordaunt zauważyła:

— Isabella w ogóle się nie zmieniła. Jest dokładnie taka sama. Była najbardziej osobliwą dziewczyną w całej szkole. Zawsze poruszała się jak we śnie, a my kładliśmy to na karb jej niezwyklego intelektu.

— Intelektu? — zapytałem uszczypliwie. Pani Mordaunt zwróciła się do mnie.

— Tak. Czyżby pan nie wiedział, że to fantastycznie zdolna dziewczyna? Zrobiła maturę, i to z kilkoma odznaczeniami, mając zaledwie piętnaście lat. Swą odmową pójścia do Somerville po prostu złamała serce pannie Curtis, naszej dyrektorce.

Wciąż jeszcze miałem skłonność do postrzegania Isabelli jedynie jako czarującego stworzenia, a nie kogoś, kogo natura równie bogato wyposażyła w przymioty umysłu. Nadal z niedowierzaniem patrzyłem na Annę Mordaunt.

— W jakich przedmiotach była szczególnie dobra?

— Och, w astronomii i w matematyce, w tej ostatniej wprost fantastyczna. A poza tym i w łacinie i we francuskim. Mogła nauczyć się wszystkiego.

Niestety, w ogóle sobie tego nie ceniła. Tak, serce panny Curtis pękało z bólu. Wydawało się, że Isabella pragnie jedynie powrotu i osiedlenia się w tym dusznym, starym zamczysku.

Isabella wróciła, prowadząc ze sobą kapitana Carslake'a i Gabriela.

Popołudniowa herbatka upłynęła w atmosferze należytą popołudniowej herbatce.

— To, co mnie wręcz oszałamia, Tereso — powiedziałem wieczorem — to niemożliwość poznania ludzkiej natury. Weźmy choćby Isabellę Charteris. Ta Mordaunt mówi o niej niby o jakimś geniuszu, podczas gdy ja biorę ją za kretynkę. Idźmy dalej. Powiedziałbym, że to, co szczególnie nadaje charakteru jej postaci, to uczciwość. Pani Carslake jednak przypisuje jej niezbyt ciekawą

cechę, mianowicie przebiegłość. Przebiegłość! Ohydne słowo. John Gabriel twierdzi z całym przekonaniem, że Isabella jest zarozumiała. Ty, właściwie to nie wiem, co ty o niej sądzisz, ponieważ z ciebie trudno wydusić choćby słowo na czyjkolwiek temat. No więc: jaka jest ta jedyna prawda o człowieku, istocie tak różnie przez różnych ludzi postrzeganej?

Robert, rzadko uczestniczący w naszych rozmowach, poruszył się niespokojnie i nieoczekiwanie zabrał głos:

— Czyż nie tu kryje się sedno sprawy? To normalne, że ludzie są różnie postrzegani przez innych. Podobnie jest z rzeczami. Weźmy drzewa czy morze, czy choćby przystań w St Loo; na obrazach dwóch malarzy ta przystań na pewno nie będzie wyglądała tak samo.

— Chcesz powiedzieć, że jeden namaluje ją w sposób naturalistyczny, a drugi symboliczny?

Robert potrząsnął niecierpliwie głową. Nienawidził rozmów o malowaniu. Nigdy nie potrafił dobrać odpowiednich słów do wyrażania swych myśli.

— Nie — odparł. — Ci dwaj malarze po prostu inaczej ją widzą. Prawdopodobnie, choć nie jestem pewien, dostrzegamy we wszystkim jedynie to, co jest istotne właśnie dla nas.

— I tak samo, według ciebie, postępujemy z ludźmi, tak? Lecz czy człowiek może posiadać jednocześnie dwie całkiem przeciwstawne cechy? Spójrz na Isabelle: jeśli jest geniuszem, nie może być kretynką!

— Chyba nie masz racji, Hugh — wtrąciła Teresa.

— Moja droga Tereso!

Teresa uśmiechnęła się. Zaczęła mówić wolno, z namysłem.

— Można mieć pewną cechę charakteru i nie korzystać z niej. Tak się dzieje, gdy człowiek osiąga cel prostszymi metodami lub, co jest bardziej prawdopodobne, mniejszym wysiłkiem. Chodzi o to, Hugh, że wszyscy odeszliśmy zbyt daleko od prostoty i w momencie zetknięcia się z nią nawet nie potrafimy jej rozpoznać. Posługiwanie się intuicją zawsze jest o wiele łatwiejsze, mniej kłopotliwe niż myślenie. Tylko że pośród meandrów cywilizowanego życia sama intuicja to stanowczo za mało.

Dam ci przykład — mówiła dalej. — Pierwszy z brzegu. Jeśli ktoś cię zapyta o porę dnia — czy to rano, czy po południu, a może późne popołudnie lub wieczór — aby odpowiedzieć, ani nie musisz myśleć, ani nie potrzebujesz szczególnej wiedzy czy jakichś przyrządów do mierzenia czasu: zegarów słonecznych, klepsydr wodnych, chronometrów, zegarów ściennych czy zegarków kieszonkowych. Lecz jeśli jesteś umówiony na spotkanie, chcesz złapać pociąg lub znaleźć się w odpowiednim miejscu o odpowiedniej godzinie, aby się nie spóźnić, musisz użyć szarych komórek, a także wymyślnych, skomplikowanych mechanizmów. A teraz to, o czym mówię, przełożmy na coś, co się nazywa życiem. Bywa, że czujesz się szczęśliwy, bywa, że unosisz się gniewem, bywa, że lubisz coś lub kogoś, bywa, że nie lubisz czegoś lub kogoś, bywa, że ogarnia cię smutek. Ludzie tacy jak ty i ja, Hugh (Robert może niezupełnie), zastanawiają się nad swoimi uczuciami, analizują je, myślą o nich.

Myślą o wszystkim i wszystkiemu nadają jakiś sens. „Jestem szczęśliwa z takiego to a takiego powodu; podoba mi się to i to, bo jest takie i takie; jestem dzisiaj smutna, bo coś jest tak a tak”. Tylko że bardzo często ludzie opierają się na złych przesłankach albo i sami świadomie wprowadzają siebie w błąd, innymi słowy, zwodzą. Natomiast Isabella, jak sądzę, nie przeprowadza żadnych spekulacji myślowych, nie dopytuje stale sama siebie „dlaczego”. Ona najzwyczajniej w świecie nie jest tym zainteresowana. Gdybyś ją poprosił, by pomyślała i powiedziała ci, dlaczego sądzi o czymś tak, a nie inaczej, chyba potrafiłaby dojść do sedna sprawy z perfekcyjną dokładnością i dać ci właściwą odpowiedź. Ale Isabella jest jak ktoś, kto ma dobry i drogi zegar na kominku, lecz nigdy go nie nakręca, ponieważ przy takim sposobie życia, jakie prowadzi, nie musi znać dokładniej godziny.

Natomiast w St Ninian's zażądano od Isabelli wprost, by zrobiła użytek ze swego intelektu. Oczywiście, jest nim obdarzona. Choć, sądząc z tego, że najlepiej jej szło z matematyką, językami, z astronomią, a nie wykazywała większego zainteresowania naukami wymagającymi wyobraźni, zaryzykowałabym twierdzenie, że jej umysł nie należy do szczególnie spekulatywnych. My, wszyscy troje, wykorzystujemy wyobraźnię i spekulacje myślowe jako środek do ucieczki, jako drogę do wyjścia na zewnątrz z samych siebie. Isabella nie potrzebuje nigdzie uciekać; jej udaje się żyć z sobą, być z sobą w harmonii. Jej nie jest potrzebny bardziej złożony sposób na życie. Być może ludzie zawsze są tacy sami, czy to w średniowieczu, czy w epoce elżbietańskiej. Czytałam w jakiejś książce, że w tamtych czasach mianem „wielkiego człowieka” określano kogoś, kto posiadał wielkie włości, kto był, tak po prostu, bogaty i silny. To określenie nie miało żadnych moralnych wyróżników, do których my teraz przywiązujemy takie znaczenie. Nie miało nic wspólnego z charakterem.

— To znaczy — rzekłem — że ludzkie postawy były czytelne i że nasi przodkowie nie tracili czasu na zbędne rozważania.

— Tak — zgodziła się ze mną — Hamlet ze swoim zabawnym „być albo nie być” to całkowicie wyalienowana ze swej epoki postać. Wszystkie krytyczne słowa, jakie padły pod adresem sztuki, dotyczyły bardzo słabej akcji. Jeden z krytyków napisał: „Nie widzę powodu, dla którego Hamlet nie powinien był zabić króla już w pierwszym akcie. Jeżeli tego nie zrobił, to tylko dlatego, że potem już nic by się nie działo!” Krytykom nie przychodziło do głowy, że Hamlet to sztuka, która mówi o osobowości człowieka. Cóż, w dzisiejszych czasach wszyscy powoli stajemy się Hamletami i Makbetami. Zapytujemy siebie nieustannie... — w głosie Teresy pojawiła się nagle nuta głębokiego znużenia — „być albo nie być?” Zapytujemy: lepiej być żywym czy martwym? I może, podobnie jak Hamlet, zazdrościmy Fortynbrasowi. W dzisiejszych czasach to Fortynbras, nie Hamlet, byłby mało zrozumiałą postacią. Człowiek czynu, pewny siebie, nie roztrząsający problemu własnego jestestwa. Jak wielu jego pokroju można spotkać dzisiaj? Sądzę, że niewielu.

— Czy uważasz, że Isabella jest żeńskim odpowiednikiem Fortynbrasa? — zapytałem, uśmiechając się.

Teresa odwzajemniła mój uśmiech.

— Nie tak wojowniczym. Ale równie bezpośrednio zmierzającym do celu i równie prostolinijnym. Ona nigdy nie zapyta siebie: „Dlaczego jestem, jaka jestem? Co tak naprawdę czuję?” Isabella wie

dobrze, co czuje. Jest tym, kim jest. — Dodała ciszej: — I zrobi to, co ma zrobić.

— To znaczy, że jest fatalistką?

— Nie. Ja tylko nie wierzę, że choć raz postawiła się w sytuacji wymagającej wyboru między dwiema wyłączającymi się możliwościami, to po pierwsze. A po drugie: Isabella nigdy nie będzie myślała o zawróceniu z raz obranej drogi, zawsze będzie szła do przodu. Dla niej nie ma odwrotu...

— Zastanawiam się, czy w ogóle ktoś z nas ma szansę odwrotu — zauważyłem z goryczą.

— Być może nie. Ale myślę, że w każdym murze jest jakaś furtka.

— Co przez to rozumiesz, Tereso?

— To, że człowiek zawsze ma szansę ucieczki. Choć, dodałabym, na ogół uświadamia ją sobie poniewczasie...

Milczałem przez kilka chwil, paląc i myśląc...

Kiedy Teresa wypowiadała ostatnią kwestię, w mojej pamięci nagle ożyło pewne zdarzenie. Właśnie przybyłem na popołudniowe przyjęcie do Caro Strangeways i zatrzymałem się w drzwiach, aby przyzwyczaić oczy cło przyćmionego światła lamp i unoszącej się w powietrzu mgiełki dymu. I oto w drugim końcu pokoju zobaczyłem Jennifer. Rozmawiała z kimś, ze zwykłym sobie ożywieniem, i jeszcze mnie nie zauważyła.

Targnęły mną sprzeczne uczucia. Pierwszym był triumf. A więc nie zawiódł mnie instynkt! Wiedziałem, że znów się spotkamy, że musimy się spotkać. Wiedziałem, że znajomość zawarta w pociągu będzie miała ciąg dalszy. Moje nadzieje nie okazały się płonne. A jednak mimo podniecenia i mimo uczucia triumfu, nagle zapragnąłem obrócić się na pięcie i wyjść... Zapragnąłem, aby spotkanie z Jennifer w pociągu pozostało pojedynczym wydarzeniem, wydarzeniem, które przetrwałoby w mojej pamięci do końca życia. Zdawało mi się, że ktoś mi szeptem do ucha: „Najlepsze, co oboje moglibyście wynieść z tamtego spotkania, to doskonałość chwili. Zostaw to tak, jak jest”.

Jeśli w tym, co powiedziała Teresa, kryło się ziarno prawdy, to wówczas miałem swoją szansę ucieczki... No cóż, nie skorzystałem z niej. Zrobiłem krok do przodu. Jennifer też. A dalej wszystko potoczyło się samo, siłą rozpędu. Nasza wiara we wzajemną miłość, ciężarówka na Harrow Road, mój wózek inwalidzki i Polnorth House...

W ten sposób zakreśliłem koło, a moje myśli powróciły do Isabelli. Zaprotestowałem ostatni raz: — Ale chyba nie nazwiesz jej przebiegłą, Tereso? To takie ohydne słowo. Nie nazwiesz, prawda?

— Czy ja wiem?

— Przebiegła? Isabella?

— Czy przebiegłość nie jest pierwszą i najłatwiejszą linią obrony? Czy chytrność nie jest jedną z

najbardziej pierwotnych cech charakteru? Co powiesz o zającu, który kładzie uszy po sobie i zastyga w bezruchu, o kuropatwie, która trzeпоce skrzydłami nad wrzosowiskiem, aby odciągnąć cię od swego gniazda? Wierz mi, Hugh, przebiegłość to dar natury. To jedyna broń, jakiej możesz użyć, kiedy życie postawiło cię pod ścianą. — Wstała i ruszyła do drzwi. Robert wymknął się do łóżka już dawno. Z dłonią na klamce, odwróciła głowę w moją stronę. — Wierzę — powiedziała — że następnym razem te tabletki wypuścisz z ręki celowo. Ty już ich nie chcesz.

— Tereso! — krzyknąłem. — Wiedziałaś o nich?

— Oczywiście, że tak.

— Ale dlaczego... — Zawahałem się. — Dlaczego według ciebie miałbym je teraz wyrzucić?

— A chcesz je zatrzymać?

— Nie — powiedziałem wolno. — Masz rację... Nie chcę. Jutro się ich pozbędę.

— Tak się cieszę. Wciąż się bałam... Popatrzyłem na nią zdziwiony.

— Dlaczego mi ich nie zabrałaś?

— Czy ci nie dodawały otuchy? — zapytała po chwili milczenia. — Czy nie czułeś się pewniej, wiedząc, że masz jakieś wyjście?

— Tak — zgodziłem się z nią. — W tym cała różnica.

— Więc dlaczego zadajesz tak niemądre pytania. Roześmiałem się.

— W porządku, Tereso. Jutro pójdą do zlewu. Obiecuję ci.

— A więc wreszcie wracasz do życia. Wreszcie chcesz żyć.

— Tak — powiedziałem z niedowierzaniem. — Chyba chcę. Choć sam nie wiem dlaczego. Ale to prawda. I nawet mam ochotę przebudzić się jutrzejszego poranka.

— Widzę to, Hugh. Zastanawiam się tylko, co, czy kto się do tego przyczynił. Pobyt w St Loo? Isabella Charteris? A może John Gabriel?

— Na pewno nie John Gabriel — obruszyłem się.

— Nie byłabym taka pewna. W tym człowieku jest coś takiego...

— Jest mnóstwo seksapilu! — dokończyłem. — Ale ludzie jego pokroju nie przemawiają do mnie. To oportunistą, a ja nie cierpię oportunistów. Ten człowiek jest gotów sprzedać własną matkę, byle z zyskiem.

— Całkiem możliwe.

— Nie ufałbym mu ani na jotę.

— Istotnie, nie jest zbyt wiarygodny. Mówiłem dalej:

— Lubi się chełpić. Goni za rozgłosem. Wykorzysta każdego, kto mu się nawinie pod rękę. Nawet siebie nie oszczędzi! Czy naprawdę uważasz, że taki człowiek jest zdolny do bezinteresownego działania?

Teresa powiedziała, ważąc słowa:

— Tak, chyba tak, lecz to byłby koniec jego kariery. Miałem przypomnieć sobie tę uwagę Teresy już za kilka dni.

Rozdział trzynasty

Kolejnym ekscytującym nas wydarzeniem stał się turniej gry w wista, organizowany przez lokalny Instytut Kobiet.

Podobnie jak wszystkie tego rodzaju imprezy, turniej ten miał się odbyć w Długiej Stodole, należącej do Polnorth House. Długa Stodoła, jak się prędko zorientowałem, była miejscem dość specyficznym. Zapaleni znawcy zabytków raz po raz przychodzili podziwiać ją, mierzyć, fotografować i opisywać. W St Loo była uważana za coś w rodzaju własności publicznej i stanowiła obiekt dumy tutejszych obywateli.

Przez najbliższe dwa dni, jakie dzieliły nas od turnieju, jego organizatorki, członkinie Instytutu, przejawiały niezwykłą aktywność i zawładnęły niemal całym Polnorth House.

Ja szczęśliwie pozostawałem na uboczu głównych wydarzeń, lecz Teresa, aby mnie zająć i rozweselić, dostarczała mi od czasu do czasu specyficznych, moim zdaniem, rozrywek. Ponieważ wiedziała, że darzę sympatią Milly Burt, przysyłała ją całkiem często do mojego salonu, oczywiście nie bez porcji odpowiednich zleceń, choćby takich jak wypisywanie biletów wstępu czy szycie lub klejenie dekoracji.

To właśnie wtedy Milly opowiedziała mi historię swojego życia. Ja, jak to Gabriel w sposób brutalny mi uświadomił, mogłem usprawiedliwić swoją egzystencję jedynie przez ciągłą gotowość do słuchania. Mogłem nie nadawać się do niczego innego, lecz w tym nadal byłem dobry.

Milly Burt nie krępowała się moją osobą. Jej słowa płynęły cicho, lecz potoczyście, niby wody niedużego, łagodnego strumienia. Mówiła dużo o majorze Gabrielu, a uwielbienie dla tego człowieka narastało w niej z minuty na minutę.

— To, co najbardziej mnie w nim zachwyca, kapitanie Norreys, to jego niezwykła uprzejmość. Jest ciągle zajęty, ciągle zabiegany, ma tak wiele ważnych rzeczy do zrobienia, a mimo to pamięta o wszystkim. No i ma taki śmieszny, tak mile drażniący sposób mówienia. Jeszcze nigdy nie spotkałam kogoś podobnego.

— Tu bym się z panią zgodził — powiedziałem. — Mając tak wspaniale zapisaną kartę wojenną, no i w ogóle, wcale nie jest ani odrobinę dumny czy zarozumiały. Proszę tylko popatrzeć: traktuje mnie tak, jakbym była jakąś ważną personą. Jest miły dla „wszystkich”, pamięta o zwykłych ludziach, pamięta, czyj syn został zabity, a czyj przebywa gdzieś w Birmie albo innym równie okropnym miejscu, a przy tym wie, co komu powiedzieć i jak rozśmieszyć czy podnieść na duchu. Nie mam pojęcia, jak on sobie z tym wszystkim radzi.

— Zapewne czytał Jeżeli... Kiplinga — powiedziałem chłodno.

— No właśnie. Jestem przekonana, że on potrafi w należyty sposób wykorzystać każdą z

sześćdziesięciu sekund minuty, jeśli w ogóle komukolwiek się to udaje.

— Prawdopodobnie każdą ze stu dwudziestu — poprawiłem. — Sześćdziesiąt to nie dość, jak na Gabriela.

— Żałuję, że tak mało znam się na polityce — powiedziała Milly, wzdychając. — Przeczytałam już wszystkie broszury, a mimo to marna ze mnie agitatorka. Widzi pan, nie umiem odpowiadać na zadawane mi pytania.

— Och, to kwestia wprawy — odrzekłem pocieszająco. — A swoją drogą, według mnie, agitowanie ludzi to nieetyczna zabawa.

Patrzyła na mnie, nic nie pojmując.

— Nigdy nie powinno się namawiać ludzi do głosowania wbrew ich przekonaniom — wyjaśniłem.

— Och, rozumiem. Rozumiem, o co panu chodzi. Lecz my naprawdę uważamy, że jedynie konserwatyści mogą skończyć z wojną i właściwie wykorzystać czas pokoju. Czyż nie?

— Pani Burt — powiedziałem — pani jest doprawdy wspaniałą małą toryską. Czy to za pomocą takich argumentów usiłuje pani pozyskać głosy dla swojej partii?

Milly poczerwieniała.

— Ależ skąd. Ja naprawdę wiem za mało, aby wdawać się w polityczne dyskusje. Mogę jedynie powiedzieć, jak wspaniałym mężczyzną jest major Gabriel i jak bardzo leży mu na sercu nasza wspólna sprawa.

No cóż, pomyślałem sobie, o to właśnie Gabrielowi chodzi... Lecz kiedy spojrzałem w zarumienioną z przejęcia twarz, moim sercem targnął lekki niepokój: brązowe oczy Milly Burt płonęły chyba czymś więcej niż czystym uwielbieniem dla trybuna ludu.

I jak gdyby w odpowiedzi na moje nie wyrażone myśli, Milly zachmurzyła się.

— Jim mówi, że jestem potwornie głupia — wyznała niechętnie.

— Czyżby?

— Twierdzi, że jestem za głupia, by cokolwiek zrozumieć z polityki, i że te całe wybory to jedna wielka heca. Mówi też, że ze mnie żaden pożytek, że każdy, kogo zacznę agitować, czym prędzej odda swój głos drugiej stronie. Kapitanie Norreys, myśli pan, że to prawda?

— Nie — rzekłem stanowczo. Milly rozpogodziła się.

— Wiem, że na swój sposób jestem głupia. Ale moja głupota bierze się ze strachu, no a Jima boję się zawsze. On lubi wyprowadzać mnie z równowagi. On lubi... — Usta Milly zadrżały.

Nagłym ruchem rozrzuciła wokół białe arkusze papieru, z którego coś wycinała, i zanosła się rozzwierającym serce łkaniem.

— Moja droga pani Burt... — powiedziałem bezradnie.

Co, do diabła, może zrobić człowiek uwięziony w wózku inwalidzkim! Nie mogłem poklepać jej po ramieniu, nie sięgnąłbym, siedziała zbyt daleko ode mnie. Nie mogłem wcisnąć do ręki chusteczki. Nie mogłem, bąknąwszy nic nie znaczące „przepraszam”, wymknąć się dyskretnie z pokoju. Nie mogłem nawet powiedzieć: „Przyniosę pani filiżankę herbaty”.

Nie, ja mogłem tylko spełniać swoje zadanie, jedyne — jak to Gabriel wystarczająco uprzejmie (czy okrutnie) raczył mi uświadomić — jakie miałem do spełnienia. Tak więc powiedziałem bezradnie „Moja droga pani Burt...” i czekałem.

— Jestem tak nieszczęśliwa... tak strasznie nieszczęśliwa... widzę to teraz... nie powinnam wychodzić za mąż za Jima.

— Och, proszę przestać — powiedziałem nieprzekonująco. — Nie jest aż tak źle, jestem pewien.

— Był takim wesołym chłopcem. Tyle miał w sobie polotu i fantazji i ciągle mu były żarty w głowie. Doglądał, w razie potrzeby, naszych koni. Bo wie pan, tatuś prowadził szkółkę jeździecką. Jim wspaniale się prezentował na koniu.

— Niewątpliwie, pani Burt.

— I wtedy nie pił tak dużo, a jeśli tak, to ja o tym nie wiedziałam. Choć przypuszczam, że powinnam, bo przecież było o tym dosyć głośno. „Jim za często zagląda do kieliszka”, słyszałam nie raz i nie dwa. Ale widzi pan, kapitanie Norreys, nie wierzyłam ludziom. To normalne, że się nie wierzy, prawda?

— Prawda, pani Burt.

— Zdawało mi się, że po ślubie z tym skończy. Jestem pewna, że nie pił w okresie naszego narzeczeństwa. Jestem absolutnie pewna.

— Może i nie pił — zgodziłem się. — Mężczyzna, gdy zdobywa kobietę, jest zdolny do różnych wyrzeczeń.

— Było też głośno o tym, że jest okrutny. Nie wierzyłam. Mówię panu, naprawdę nie wierzyłam. W mojej obecności zawsze był taki łagodny. Chociaż raz widziałam, jak poniosły go nerwy... przy koniu... ukarał biedne zwierzę... — Milly Burt zadrżała i przymknęła oczy. — Zrobiło mi się nieswojo. „Nie wyjdę za niego, nie mogę związać się z kimś takim”, powiedziałam sobie w duchu. Wie pan, to było zabawne, patrzyłam na niego jak na obcego mi człowieka, nie jak na „mojego” Jima. Byłoby równie zabawne, gdybym tak z nim wtedy zerwała.

Określenie „zabawne” chyba nie oddawało w pełni ówczesnego stanu ducha Milly, a jednak zgodziliśmy się oboje, że zerwanie zaręczyn byłoby wydarzeniem zabawnym — a także bardzo

szczęśliwym.

Milly mówiła dalej:

— Jim powiedział, że mu minęło, a ja doszłam do wniosku, że nerwy, na dobrą sprawę, mogą ponieść każdego. Widzi pan, zdawało mi się, że uczynię go tak szczęśliwym, iż przestanie pić i wpadać w szal. Przecież po to chciałam wyjść za niego, by go uszczęśliwić.

— Uszczęśliwienie kogoś nie jest tym celem, dla którego zawiera się małżeństwo — powiedziałem.

Wpatrzyła się we na mnie zdziwiona.

— Jeśli się kogoś kocha, czyż nie myśli się przede wszystkim o uczynieniu go szczęśliwym?

— Taka motywacja jest jedną z bardziej zdradliwych form pobłażania sobie — rzekłem. — Choć dość powszechna. Prawdopodobnie powoduje więcej nieszczęścia niż wszystko inne, sądząc ze statystyk dotyczących małżeństw.

Ponieważ nie przestawała się we mnie wpatrywać, zacytowałem jej słowa świadczące o smutnej mądrości Emily Brontë:

Znam sto sposobów na miłość,

Lecz nie ma przy mnie kochanka.

— Przecież to straszne! — zaprotestowała Milly.

— Kochać kogoś — powiedziałem — znaczy nałożyć na niego brzemień prawie nie do udźwignięcia.

— Pan mówi takie zabawne rzeczy, kapitanie Norreys.

Milly omal nie chichotała.

— Proszę nie zwracać na mnie uwagi — doradziłem swojej towarzyszce. — Nie mam ortodoksyjnych poglądów; to, co mówię, to zaledwie rezultat smutnego doświadczenia.

— Och, to pan także był nieszczęśliwy? Czy pan...

Spłoszyłem się na pierwszy przeblysłk współczucia w jej oczach. Czym prędzej skierowałem rozmowę na Jima Burta. Nieszczęśliwie się składa, myślałem przy tym, że Milly jest takim łagodnym, zastraszonym stworzeniem. Trudno sobie wyobrazić bardziej nieodpowiednią żonę dla człowieka

jego pokroju. Z tego, co o nim mówiono, zgadywałem, że gustuje w kobietach z charakterem, jak w narowistych klaczach. Takiego jak on byłaby zdolna poskromić jedynie jakaś irlandzka megiera. Taki nie powinien mieć władzy ani nad zwierzęciem, ani nad człowiekiem. Jego skłonności do sadyzmu niewątpliwie były podsycane przez paniczny strach żony, jej łzy i westchnienia. A szkoda, bo Milly Burt (przynajmniej tak mi się zdawało) mogłaby być szczęśliwą, udaną żoną przy boku niejednego mężczyzny. Słuchałaby go, schlebiała mu i nadszkwiała. To dzięki niej rosłoby w nim przekonanie o własnej godności, i to ona wniosłaby w ich dom dobre obyczaje.

Milly mogłaby, pomyślałem ni stąd, ni zowąd, być dobrą żoną dla Johna Gabriela. Może nie potrafiłaby rozbudzić w nim większych ambicji (w to, że Gabriel był prawdziwie ambitnym człowiekiem, raczej wątpiłem), lecz z pewnością łagodziłaby tę gorycz i brak wiary w samego siebie, które tu i tam przezierają spoza jego nieznośnie chępliwych manier.

U Jamesa Burta, jak na to wyglądało, zazdrość szła w parze z lekceważeniem, co wcale nie jest rzadkim zjawiskiem. Urągając żonie za jej ubóstwo duchowe i głupotę, jednocześnie czuł się dotknięty każdą oznaką przyjaźni okazywanej jej przez innego mężczyznę.

— Pan nie uwierzyłby, kapitanie Norreys, ale on wygaduje okropne rzeczy nawet o majorze Gabrielu. A to tylko dlatego, że któregoś ranka w zeszłym tygodniu major Gabriel zaprosił mnie do „Rudego kota” na kawę. Był tak miły — major Gabriel, ma się rozumieć, nie Jim — i spędził ze mną dużo czasu, chociaż, czego jestem pewna, wcale nie ma go w nadmiarze. Rozmawiał ze mną bardzo uprzejmie, wypytywał mnie o tatusia i konie, i o tamte czasy w St Loo. Naprawdę nie mógłby być miłszy! Tylko że potem musiałam się niemało nasłuchać od Jima. Oczywiście w końcu wpadł w furję. Wykręcał mi ręce, proszę mi wierzyć, musiałam uciekać, zamknęłam się w swoim pokoju. Czasami Jim mnie przeraża... Och, kapitanie Norreys, jestem tak koszmarnie nieszczęśliwa, że aż chciałabym umrzeć.

— Nie, pani Burt, nie chciałaby pani. Nie naprawdę.

— Ależ tak, chciałabym. No bo co może mnie jeszcze spotkać? Tu nie ma na co liczyć. Żadnej przyszłości. Wszystko idzie na gorsze. Z powodu picia Jim traci coraz więcej klientów, a to sprawia, że robi się coraz bardziej szalony. Boję się go. Naprawdę, tak się boję...

Uspokajałem ją, jak potrafiłem. Prawdopodobnie jej sprawy nie wyglądały aż tak źle, jak by to wynikało z całej opowieści. A jednak niewątpliwie Milly Burt była bardzo nieszczęśliwą kobietą.

Powiedziałem Teresie, że pani Burt wie dzie godne pożałowania życie, lecz Teresa zdawała się słuchać jednym uchem.

— Nie chciałabyś o tym posłuchać? — zapytałem z wyrzutem.

— Nieszczególnie. Nieszczęśliwe żony są tak do siebie podobne, że opowieści o ich losach na miłę pachną monotonią.

— No wiesz, Tereso! Jesteś nieludzka.

— Przyznaję, współczucie nigdy nie było moją mocną stroną.

— Mam niejasne przeczucie, że to nieszczęsne stworzenie zakochało się w Gabrielu.

— Powiedziałabym, że niemal na pewno — stwierdziła Teresa oschle.

— I nie żal ci jej?

— Jeśli żal, to nie z tego powodu. Skłonna jestem sądzić, że kochanie się w Gabrielu może być bardzo przyjemnym doświadczeniem.

— Tereso, na Boga! Kto jak kto, ale ty się chyba w nim niekochasz!

Nie, powiedziała, że ona nie. Na szczęście, dodała.

Rozwazałem przez chwilę te słowa, aż w końcu zarzuciłem Teresie brak logiki. Przecież dopiero co powiedziała, że kochanie się w Gabrielu mogłoby być całkiem przyjemne.

— Nie dla mnie — rzekła. — Ponieważ mam uraz na punkcie zbyt silnych wzruszeń.

— No dobrze — powiedziałem zamyślony. — Wierzę, że mówisz prawdę. Ale dlaczego? Nie potrafię tego zrozumieć.

— A ja nie potrafię ci tego wytłumaczyć.

— Przynajmniej spróbuj — nalegałem.

— Drogi Hugh, jak ty lubisz wszystkiego dociekać! No cóż, przypuszczam, że nie lubię używać życia w nadmiarze. Myśl, że moja wola i mój umysł mogłyby być całkowicie pochłonięte i spustoszone przez namiętność, jest dla mnie nie do zniesienia. Potrafię panować nad swoimi czynami i w dużej mierze nad myślami; puszczenie na żywioł własnych namiętności naraziłoby na szwank moją dumę, upokarzałoby mnie.

— A czy nie sądzisz, że istotnie zanoszą się na coś poważnego między Johnem Gabrielem i panią Burt?

— To prawda, słyszałam to i owo. No i Carslake się martwi. A jego żona utrzymuje, że jest sporo plotek na ich temat.

— Ach, ta kobieta!

— Wiem, że jej nie lubisz, ale to właśnie ona reprezentuje opinię publiczną. Opinię złośliwego, plotkarskiego środowiska St Loo. A przypuszczam, że i Burt puszcza wodze językowi, kiedy ma trochę w czubie, co chyba często się zdarza. Oczywiście, wszyscy wiedzą, że jest zazdrosnym mężem i większość tego, co rozpowiada, niejedną przyjmuje z zastrzeżeniem, lecz zawsze znajdzie się ktoś, kto da mu wiarę.

— Gabriel powinien zachować ostrożność — powiedziałem.

— Ostrożność nie leży w jego charakterze, nie sądzisz?

— A może on rzeczywiście martwi się dolą tej kobiety?

Teresa zastanowiła się nad odpowiedzią.

— Myślę, że bardzo jej żałuje. To mężczyzna, który łatwo ulega uczuciu litości.

— A nie sądzisz, że doradza jej, by zostawiła męża? Przecież to by była katastrofa.

— Czyżby?

— Moja droga Tereso, całe przedstawienie skończyłoby się kompletną klapą.

— Wiem.

— A to byłoby fatalne.

— Dla Johna Gabriela — zapytała Teresa dziwnym głosem — czy dla Partii Konserwatywnej?

— Masz rację, myślałem o Gabrielu. Ale dla partii też, oczywiście.

— Cóż, jeśli o mnie chodzi, nie mam zmysłu do polityki. I mało mnie wzrusza, ilu laburzystów znajdzie się w parlamencie, jeden więcej czy jeden mniej, choć wołałabym, by tego, co mówię, nie słyszeli Carslake'owie. Jestem jedynie ciekawa, czy to byłoby katastrofą dla Gabriela, czy też nie. A jeśli tak, to może w rezultacie stałby się szczęśliwszym człowiekiem?

— Tak, może, lecz na razie nasz kandydat nie wyobraża sobie porażki w wyborach! — zakrzyknąłem.

Teresa powiedziała, że sukces i szczęście to dwie całkiem różne rzeczy.

— Nie wierzę — dodała — by kiedykolwiek szły ze sobą w parze.

Rozdział czternasty

Rankiem, w dniu rozpoczęcia turnieju wista, przyszedł do mnie kapitan Carslake, aby zrzucić z siebie brzemień trwogi i przygnębienia.

— W tym nie ma żdźbła prawdy — zaczął od progu. — To jasne, że nie ma! Znam trochę panią Burt. Ona jest naprawdę w porządku, wychowana w surowych zasadach i tak dalej; z gruntu miła kobietka. Ale wie pan, jacy są ludzie.

Wiedziałem, jaka jest jego żona. Prawdopodobnie to ona kształtowała jego opinie o bliźnich.

Kapitan Carslake nie przestawał przechadzać się tam i z powrotem i pocierać nosa w irytujący sposób.

— Gabriel to dobroduszny gość. Jest dla niej uprzejmy. Ale jest też nieostrożny, a w czasie wyborów nie można sobie pozwalać na nieostrożność.

— Co jednocześnie oznacza, że nie można sobie pozwalać na uprzejmość.

— Właśnie. Trafił pan w dziesiątkę. Gabriel jest zbyt uprzejmy i to się rzuca w oczy. Choćby takie wspólne poranne picie kawy w „Rudym kocie”. To nie wygląda dobrze. Dlaczego miałby pić z nią kawę właśnie tam?

— A dlaczego by nie? Carslake nie słuchał mnie.

— Wszystkie stare kocury schodzą się do kawiarni o tej porze. Innego ranka, o czym dobrze wiem, przeszedł z nią szmat drogi przez całe miasto, niosąc jej torbę z zakupami.

— Dżentelmenowi konserwatyście nie przystałoby zrobić mniej — mruknąłem.

Carslake nadal nie zwracał uwagi na moje słowa.

— A jeszcze innego dnia podwiózł ją samochodem gdzieś w okolice farmy Sprague’a. Spory kawałek za miastem. To wyglądało, jakby się wybrali na wycieczkę.

— Pomijając wszystko inne, mamy rok tysiąc dziewięćset, a nie tysiąc osiemset czterdziesty piąty — powiedziałem.

— W St Loo obyczaje się tak bardzo nie zmieniają — stwierdził Carslake. — Oczywiście, nie mówię o nowych bungalowach i całej tej nowoczesnej pretensjonalnej ciźbie z jej nową moralnością; tu zniwo zbiorą laburzyści. My zabiegamy o poparcie solidnej, cieszącej się ogólnym szacunkiem, staroświeckiej części miasta. Gabriel naprawdę powinien być bardziej ostrożny.

Pół godziny później wtargnął do mnie Gabriel, doprowadzony do białej gorączki. Carslake udzielił

mu taktownego upomnienia, ze skutkiem typowym dla taktownych upomnień udzielanych w porę.

— Carslake — powiedział — to stare babsko, któremu tylko sprośne myśli w głowie! Czy pan wie, o czym ma czelność mówić?

— Tak — odparłem. — Wiem o wszystkim. A przy okazji: teraz nie przyjmuję gości. To pora dnia, w której odpoczywam.

— Nonsens. Pan nie potrzebuje odpoczynku. Pana życie to jeden wielki odpoczynek. Pan powinien wysłuchać, co mam do powiedzenia w tej sprawie. Do diabła, muszę się przed kimś wyładować, a jak to już kiedyś powiedziałem, pan się nadaje jedynie do słuchania. Zatem proszę się łaskawie zdobyć na chwilę uwagi wobec kogoś, kto chce usłyszeć dźwięk własnego głosu!

— Pamiętam tamten szczególnie czarujący sposób, w jaki mnie pan wprowadzał w moje powinności.

— Najzwyczajniej w świecie chciałem zaleźć panu za skórę.

— Rozumiem.

— Chyba rzeczywiście przesadziłem z obcesowością, ale też nic dobrego nie wynika z pańskiego przewrażliwienia.

— W rezultacie pańskie słowa dodały mi otuchy — przyznałem niechętnie. — Byłem obdarzony tak szczególnymi względami i traktowany z tak wielkim taktem, że kiedy usłyszałem, jak ktoś mówi do mnie niezbyt wyszukany językiem, poczułem ulgę.

— Pan robi postępy — powiedział Gabriel i przeszedł do osobistych wynurzeń. — Czy nie mogę zafundować nieszczęśliwej dziewczynie filiżanki kawy w kawiarni bez podejrzeń o niemoralność? — zapytał. — Dlaczego w ogóle mam zwracać uwagę na to, co myślą ludzie, w których umysłach pienią się brudy niby w miejskim kolektorze?

— No cóż, jak mi się zdawało, pan chce zostać członkiem parlamentu. Czyżbym się mylił? — Myli się pan. Chcę, to za mało. Ja nim zostanę.

— Z punktu widzenia Carslake'a nie zostanie nim pan, afiszując się z panią Burt.

— Ludzie to podłe świnie!

— No proszę, niechże pan sobie ulży!

— Zachowują się, jakby nie wiedzieli, że polityka to jeden wielki kant!

— No, dalej, Gabriel, dalej, nie żałuj sobie!

— Niech pan przestanie szczerzyć zęby, Norreys. Jest pan dzisiaj piekielnie irytujący. Jeśli pan myśli, że między mną a panią Burt jest coś, czego nie powinno być, to grubo się pan myli. Żal mi jej,

i to wszystko. Nigdy w rozmowie z nią nie padło choćby jedno słowo, które mogłoby urazić jej męża, czy choćby sam Komitet Porządku Publicznego w St Loo. Mój Boże, i pomyśleć, jak bardzo się wystrzegam wszystkiego, co jest związane z kobietami! A ja lubię kobiety! — Był głęboko urażony, choć cała sprawa miała swoją humorystyczną stronę. — To strasznie nieszczęśliwa kobieta — mówił z przejęciem. — Pan nie wie, pan nawet nie przeczuwa, co musi znosić. I jak bardzo jest dzielna. I jak lojalna. I wcale się nad sobą nie użala. Mówi, że na pewno sama nie jest bez winy. Niech no tylko ten Burt dostanie się w moje ręce, a własna matka go nie pozna.

— Na litość boską — zawołałem naprawdę przestraszony. — Czy nie stać pana na rozwagę? Publiczna awantura z Burtem zaprzepaści na dobre pańskie szansę w wyborach.

Gabriel zaśmiał się.

— Kto wie? Może warto się przekonać. Powiem panu...

Powiodłem wzrokiem za jego spojrzeniem, aby zobaczyć, co przerwało ten istny potok wymowy. To była Isabella. Właśnie wchodziła w drzwi. Powiedziała nam obu dzień dobry i oznajmiła, że na prośbę Teresy przychodzi pomóc w dekorowaniu stodoły na dzisiejszy wieczór.

— Mam nadzieję, że zamierza pani zaszczycić nas swoją obecnością, panno Charteris? — zapytał Gabriel.

Sposób, w jaki się do niej zwrócił, stanowił mieszaninę służalczości i górnolotności choć ani z jedną, ani z drugą nie było mu do twarzy; Isabella zawsze zdawała się źle na niego działać.

— Tak — odrzekła i dodała: — My zawsze bywamy na takich imprezach.

Odeszła, udając się na poszukiwanie Teresy, a Gabriel eksplodował:

— To bardzo uprzejmie ze strony księżniczki. Księżniczka jest bardzo łaskawa. To ładnie, że raczy się mieszać z pospolitym motłochem! Miłościwa jaśnie panienka! Mówię panu, Norreys, Milly Burt jest warta tuzina takich zarozumiałych pannie jak Isabella Charteris. Isabella Charteris! Kim ona w ogóle jest?

Było oczywiste, kim jest Isabella. Mimo to Gabriel upajał się rozwijaniem tematu:

— Biedna jak mysz kościelna. Mieszka w zrujnowanym, wałącym się zamczysku, a udaje Bóg wie kogo. Snuje się z kąta w kąt. Nic nie robi, tylko wciąż składa na podółku te swoje białe paluszki. Żyje nadzieją, że jaśnie wielmożny dziedzic zjawi się tu pewnego dnia i się z nią ożeni. Nigdy go nie widziała i guzik ją obchodzi, lecz chce się za niego wydać. Pfuj! Takie dziewczyny przyprawiają mnie o mdłości. Mdłości, Norreys. To rozpieszczone pekińczyki, nic dodać, nic ująć. Lady St Loo — oto kim nasza młoda dama zamierza zostać. Co w tym, do diabła, dobrego, być w dzisiejszych czasach lady St Loo? Pomyliły jej się epoki. Wszystkie tego rodzaju rzeczy przeminęły. Skończyły się. Dzisiaj jedynie śmieszą. Dzisiaj to blichtr, teatr rewiowy...

— Doprawdy, Gabriel — wtrąciłem — nie ulega wątpliwości, że to panu pomyliły się obozy. Pana mowa wyborcza na mównicy Wilbrahama zostałaby przyjęta nie kończącymi się brawami.

Dlaczego zatem nie przesiądzie się pan na tamtego konia?

Chyba mnie nawet nie słyszał. Mówił dalej, ciężko oddychając:

— Dla dziewczyny jej pokroju Milly Burt jest tylko żoną weterynarza. Kimś, kogo się toleruje na politycznej fecie, lecz nie zaprasza na herbatę do zamku. Och nie, do tego Milly Burt nie jest wystarczająco dobra. Mówię panu: Milly Burt jest warta pół tuzina Isabell Charteris herbu Zadarty Nos.

Zamknąłem oczy:

— Czy mógłby pan wyjść, Gabriel? Nie obchodzą mnie pańskie oratorskie popisy. Jestem bardzo chorym człowiekiem i należy mi się odpoczynek. Pan mnie wyjątkowo męczy.

Rozdział piętnasty

Wszyscy mieli coś do powiedzenia na temat Johna Gabriela i Milly Burt i wszyscy mówili to — wcześniej czy później — mnie. W ferworze przygotowań do turnieju mój salon stał się czymś w rodzaju kulis w teatrze. Wszyscy po kolei ratowali się tu filiżanką herbaty lub kieliszkiem sherry. Teresa mogłaby, oczywiście, nikogo nie wpuścić, lecz nie zrobiła nic w tym rodzaju, co mnie nawet cieszyło, ponieważ nieoczekiwanie dla samego siebie stałem się głęboko zainteresowany tym mozolnie tkanym splotem półsłówek, pomówień i mrocznej zazdrości.

Między Milly Burt a Johnem Gabrielem, o czym byłem przekonany, nie zaszło nic, co mogłoby budzić czyjeś zastrzeżenie. On był jej życzliwy i pełen współczucia, ona go wielbiła, niby bohatera.

Dochodziłem do wniosku, acz niechętnie, że złośliwe półsłówka nie były rzucane na wiatr i że rozwój wydarzeń następuje zgodnie z przewidywaniami opinii publicznej. Formalnie niewinna, Milly Burt, bez względu na to, czy zdawała sobie z tego sprawę, czy nie, była prawie po uszy zakochana w Gabrielu, temu zaś natura nie poskąpiła zmysłowości. Lada chwila opiekuńcza rycerskość mogła się przekształcić w namiętność.

Myślałem sobie, że gdyby nie wybory, ich przyjaźń już teraz zamieniłaby się w romans. Gabriel, jak podejrzewałem, był mężczyzną, który potrzebował zarówno uwielbienia, jak i miłości, a mroczne podskórne żądze zdołałby utrzymać na wodzy jedynie tak długo, jak długo mógłby występować w roli pocieszy cielą i opiekuna. Milly Burt należała do tego rodzaju kobiet, które potrzebują i pociechy, i opieki.

Myślałem sobie cynicznie, że związek tych dwojga stanowiłby jedną z ładniejszych odmian cudzołóstwa — oparty mniej na żądzy, a bardziej na miłości, na współczuciu, dobroci i na wdzięczności. A jednak, niewątpliwie, byłby cudzołóstwem i duży odsetek wyborców w St Loo potraktowałby go właśnie tak, i to nie uwzględniając okoliczności łagodzących; ten sam odsetek wyborców natychmiast zagłosowałby na pana Wilbrahama, w nagrodę za jego nienaganne życie prywatne, albo w ogóle nie poszedłby do urn. Słusznie czy niesłusznie, Gabriel stanął w wyborcze szranki z pobudek osobistych; w St Loo ludzie głosowaliby na Johna Gabriela, nie na Winstona Churchilla. A John Gabriel stąpał po kruchym lodzie.

— Wiem, że nie powinno się o czymś takim nawet wspominać — powiedziała lady Tressilian, zadyszana. Rozpięła szary flanelowy płaszcz i piła małymi łydkami herbatę, podaną w jednej z ostatnich filiżanek z rockinghamowskiego serwisu panny Amy Tregellis. Zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu. — Ale ciekawa jestem, czy ktoś już panu mówił o pani Burt i o naszym kandydacie.

Popatrzyła na mnie jak strapiony spaniel.

— No cóż — rzekłem. — Ludzie mówią to i owo. Na jej dobrotliwej twarzy malował się wyraz szczerzego zmartwienia.

— Mój Boże — westchnęła. — A szkoda. Ona jest bardzo miła, proszę mi wierzyć, naprawdę bardzo miła. Ani trochę nie w typie, który nazwałabym nieszlachetnym. Naturalnie, jeśli tkwi w tym ziarno prawdy... no cóż, zatem powinni uważać i nie dopuścić, by ktokolwiek mógł coś podejrzewać. Och, wiem, że nie dzieje się nic niestosownego i że nie mają nic do ukrycia, oczywiście... chociaż...

W tym momencie do salonu wtargnęła pani Bigham Charteris. Była pełna oburzenia z powodu jakiegoś konia czy czegoś innego.

— Karygodna nieostrożność — powiedziała. — Ten człowiek, no, ten Burt, jest kompletnie niesolidny! Pije coraz więcej, a to zaczyna się odbijać na jego pracy. Od dawna wiedziałam, że jest beznadziejny, jeśli chodzi o psy, ale kiedy zajął się krowami i końmi, farmerzy wprost nie mogli się go nachwalić... No i proszę: najpierw zdycha cielęca się krowa Polneathy'ego, przez zwykłe niedbalstwo, a teraz klacz Bentleya. Burt się doigra, jeśli nie będzie ostrożny.

— Właśnie rozmawiałam z kapitanem Norreyssem o pani Burt — powiedziała lady Tressilian. — Pytałam, czy słyszał coś...

— To wszystko brednie — stwierdziła kategorycznie pani Bigham Charteris. — Ale błoto łatwo do człowieka przywiera. Teraz ludzie mówią, że to z tego powodu Burt pije tak dużo. Bzdury! Pił za dużo i maltretował żonę dużo wcześniej, nim major Gabriel zjawił się u nas. Chociaż — dodała — coś z tym trzeba zrobić. Ktoś powinien porozmawiać z majorem Gabrielem.

— Carslake już to zrobił, jak przypuszczam — powiedziałem.

— Ten człowiek nie ma odrobiny taktu — obruszyła się pani Bigham Charteris. — Nie wątpię, że Gabriel wypadł od niego jak oparzony.

— Istotnie — przytaknąłem.

— Gabriel to diabelny głupiec — stwierdziła pani Bigham Charteris. — A kłopot polega na tym, że ma miękkie serce. Hm... lepiej by było, gdyby ktoś porozmawiał z nią. Żeby szepnął jej słówko i poradził, by do dnia wyborów zesza z ludzkich oczu. Pewnie nie ma najmniejszego pojęcia, że wzięto ją na języki. — Zwróciła się do swojej bratowej: — Chyba ty powinnaś to zrobić, Agnes.

Lady Tressilian spłosowała.

— Och, doprawdy, Maud... ja nawet nie wiedziałabym, od czego zacząć. Jestem pewna, że się do tego nie nadaję.

— No cóż, chyba nie możemy zdać się na panią Carslake. To jadowita jędra.

— Otóż to! — zawołałem z przejęciem.

— I coś mi się zdaje, że to ona rozpuszcza większość plotek.

— Och, Maud, to niemożliwe. Pani Carslake nie posunęłaby się do niczego, co umniejszałoby

szansę naszego kandydata.

— Nie uwierzyłabyś, Agnes — powiedziała pani Bigham Charteris, posepniejąc — na co się napatrzyłam w pułku za życia mojego męża. Jeśli kobieta chce komuś dokuczyć, nic jej nie powstrzyma... nawet szansa męża na awans... dosłownie nic. Moim zdaniem pani Carslake sama by chętnie ucięła niewinny flircik z Johnem Gabrielem!

— Maud!

— Zapytaj kapitana Norreysa, co o tym sądzi. Mówi się, że miał okazję uczestniczyć biernie w całej grze.

Obie damy popatrzyły na mnie wyczekująco.

— Doprawdy nie uważam... — zacząłem, lecz zmieniłem zdanie. — Tak, chyba ma pani absolutną rację.

Znaczenie kilku nie dokończonych uwag pani Carslake i kilku spojrzeń, nagle stało się dla mnie jasne. Pomyślałem, że to możliwe (jakkolwiek zdawałoby się nieprawdopodobne), iż pani Carslake nie tylko nie przedsięwzięła żadnych kroków, aby ukreślić łeb plotkom, lecz w istocie, sama je po cichu rozpowszechnia.

Doszedłem do wniosku, że świat, który mnie otacza, nie jest najmiłszym ze światów.

— Jeśli mielibyśmy się wziąć do Milly Burt, najodpowiedniejszym do tego człowiekiem byłby kapitan Norreys — wyrwała się nieoczekiwanie pani Bigham Charteris.

— Nie! — krzyknąłem.

— Ona pana lubi, a poza tym inwalida zawsze znajduje się w nieco uprzywilejowanej pozycji.

— Och, to prawda — zgodziła się lady Tressilian, zadowolona, iż ominie ją nieprzyjemne zadanie.

— Nie! — powiedziałem wyraźnie.

— Milly Burt dekoruje w tej chwili stodołę — oznajmiła pani Bigham Charteris, podnosząc się energicznie. — Przyślę ją tutaj. Powiem, że czeka pan na nią z filiżanką herbaty.

— Nie stać mnie na zrobienie czegoś podobnego — broniłem się jeszcze.

— Ależ stać, to jasne — stwierdziła pani Bigham Charteris, która nie na próżno była wdową po pułkowniku. — Wszyscy musimy zadbać o to, by nie zwyciężyli ci potworni socjaliści.

— To znaczy pomóc kochanemu panu Churchillowi — dodała lady Tressilian. — Ostatecznie niemało zrobił dla kraju.

— Teraz, kiedy wygrał dla nas wojnę — powiedziałem — powinien usiąść wygodnie i napisać

swoją historię wojny (to jeden z najlepszych pisarzy naszych czasów). Powinien odpocząć i pozwolić laburzystom źle pokierować pokojem.

Pani Bigham Charteris energicznym krokiem ruszyła do drzwi, a ja ciągnąłem przemowę wyłącznie na użytek lady Tressilian.

— Churchill zasłużył sobie na odpoczynek — powiedziałem.

— Proszę pomyśleć o strasliwym zamieszaniu, jakiego mogą narobić laburzyści — odparła wiekowa dama.

— Proszę pomyśleć o strasliwym zamieszaniu, jakiego może narobić każdy — nie ustępowałem. — Bezpośrednio po wojnie o to nietrudno. Czy nie uważa pani, że byłoby lepiej, gdyby nie przytrafiło się to komuś z naszej strony? A poza tym — dodałem gorączkowo, słysząc zbliżające się kroki i głosy — to pani, nikt inny, jest osobą, która nadaje się do szepnięcia słówka Milly Burt. Takie rzeczy znosi się łatwiej z ust innej kobiety.

Lecz lady Tressilian potrząsnęła przecząco głową.

— Nie. Ależ skąd. Maud ma rację. Pan, i tylko pan. Jestem pewna, że ona zrozumie.

Ostatnie zdanie odnosiło się, jak mniemałem, do Milly Burt. Ja jednak miałem poważne wątpliwości, czy rzeczywiście zrozumie.

Pani Bigham Charteris wprowadziła Milly Burt do mojego salonu, niby niszczyciel konwojujący statek handlowy.

— Proszę, proszę — powiedziała pełna animuszu. —

Oto herbata. Proszę sobie nalać filiżankę, usiąść wygodnie i zabawić odrobinę kapitana Norreysa. Agnes, jesteś mi potrzebna. Co zrobiłaś z nagrodami?

Dwie kobiety wyniosły się z pokoju. Milly Burt nalała sobie filiżankę herbaty i usiadła koło mnie. Sprawiała wrażenie nieco zdezorientowanej.

— Mam nadzieję, że nie stało się nic złego? — zapytała.

Być może, gdyby nie to pytanie, próbowałbym się wykręcić od nałożonego na mnie przykrego obowiązku. Ale po takim wstępie łatwiej mi było powiedzieć to, co miałem do powiedzenia.

— Pani jest bardzo miłą osobą, Milly. Ale czy nie przychodzi pani czasem do głowy myśl, że nie o wszystkich da się to samo powiedzieć?

— Nie bardzo rozumiem, kapitanie Norreys.

— Proszę posłuchać. Czy wie pani, że o niej i o majorze Gabrielu wymienia się tu i ówdzie złośliwe uwagi?

— O mnie i majorze Gabrielu? — Podniosła na mnie wzrok. Jej twarz pokryła się rumieńcem aż po korzonki włosów. Poczułem się zakłopotany i odwróciłem od niej oczy. — To znaczy, że nie tylko Jim... że obcy ludzie też... że oni naprawdę tak myślą...?

— Kiedy trwa walka wyborcza — powiedziałem, czując, że nienawidzę sam siebie — kandydat, na którego się stawia, powinien zachować szczególną ostrożność. Powinien, mówiąc słowami świętego Pawła, unikać samego widoku diabła... Rozumie pani? Nic nie znaczące drobiazgi, choćby wypicie z nim kawy w „Rudym kocie” czy spacer ulicami miasteczka i to, że on niesie pani zakupy — to wystarczy, by pobudzić ludzką wyobraźnię.

Nie odrywała ode mnie wzroku. Brązowe oczy rozszerzyły się strachem.

— Ale pan chyba wierzy, że nic się nie zdarzyło, że on nigdy nie powiedział jednego niewłaściwego słowa? Że on jest po prostu bardzo, ale to bardzo uprzejmy? To wszystko! Doprawdy, to wszystko.

— Oczywiście, wiem o tym. Jednak jak na kandydata, nawet tego rodzaju uprzejmość to za wiele. Ludzie uprawiający politykę — dodałem gorzko — powinni być poza wszelkim podejrzeniem.

— Nie wyrządziłabym mu żadnej krzywdy — powiedziała Milly. — Nigdy w życiu.

— Jestem pewien, że nie. Popatrzyła na mnie błagalnie.

— Więc co mam teraz zrobić?

— Radziłbym po prostu, by pani... no cóż, mówiąc krótko, proszę trzymać się z dala od niego do czasu wyborów. Proszę unikać pokazywania się z majorem Gabrielem w miejscach publicznych. Jeśli to możliwe.

Zgodziła się pospiesznie.

— Tak, oczywiście. Jestem wdzięczna za pańskie słowa, kapitanie Norreys. Samej nigdy by mi to nie przyszło na myśl. On... on jest kimś tak cudownym, tak dobrym dla mnie...

Milly Burt wstała i rozmowa mogłaby się szczęśliwie zakończyć, gdyby John Gabriel nie wybrał tegoż „właśnie momentu, by zjawić się u mnie.

— Witam państwa — powiedział. — Co słyhać? Właśnie wracam ze spotkania. Zupełnie zdarłem sobie gardło. Jest tu jakaś sherry? Jeszcze muszę odwiedzić kilka matek; nie powinny poczuć ode mnie zapachu whisky.

— Muszę już iść — odezwała się Milly. — Do widzenia, kapitanie Norreys. Do widzenia, majorze Gabriel.

— Proszę zaczekać chwilę — powiedział Gabriel. — Odprowadzę panią do domu.

— Nie, nie. Proszę. Ja... ja się spieszę.

— W porządku. Dla pani poświęcę nawet sherry.

— Proszę! — Milly splonęła rumieńcem, zakłopotana. — Nie chcę, żeby pan szedł ze mną. Ja... ja chcę iść sama.

Niemal wybiegła z pokoju. Gabriel zaatakował mnie natychmiast.

— Kto jej nagadał jakichś niestworzonych rzeczy? Pan?

— Ja.

— Co panu przyjdzie z wtrącania się w moje sprawy?

— Nie dbam, u diabła, o pańskie sprawy. Tu chodzi o interes Partii Konserwatywnej.

— A od kiedy to, u diabła, leży panu na sercu interes Partii Konserwatywnej?

— Gdyby się tak dobrze zastanowić, pańska partia niewiele mnie interesuje.

— To dlaczego jest pan taki wścibski?

— Naprawdę chce pan wiedzieć? Chodzi mi o przemiłą panią Burt. O to, że niewątpliwie będzie bardzo nieszczęśliwa, kiedy się okaże, iż przegrywa pan wybory, i to tylko dlatego, że łączy pana z nią taki czy inny związek.

— Nie przegram wyborów z powodu mojej przyjaźni z tą kobietą.

— Całkiem możliwe, że jednak tak się stanie, Gabriel. Pan nie docenia ludzkiej lubieżnej wyobraźni.

Pokiwał głową.

— Kto namówił pana do rozmowy z Milly?

— Pani Bigham Charteris i lady Tressilian.

— Te stare wiedźmy! A lady St Loo?

— Nie. Lady St Loo nie ma z tym nic wspólnego.

— Niech no tylko usłyszę, że to ona wydaje rozkazy! Natychmiast zabieram Milly Burt na weekend i do diabła z nimi!

— Byłoby to ładne podsumowanie całej zabawy! Chyba chce pan wygrać? Tak czy nie?

Nieoczekiwanie uśmiechnął się od ucha do ucha. Znów był w dobrym nastroju.

— Wygram, proszę się nie martwić — powiedział.

Rozdział szesnasty

Tamten wieczór był jednym z najładniejszych wieczorów całego lata. Ludzie schodzili się tłumnie do Długiej Stodoły. Oprócz samego turnieju w programie były tańce i konkurs na najciekawszy kostium.

Teresa zabrała mnie z sobą, abym mógł się przyjrzeć zabawie. Cóż, bawili się wszyscy poza mną. Gabriel obnosił się z dobrą formą: wyjątkowo pogodny i pewny siebie opowiadał zabawne historyjki, kręcił się tu i ówdzie i dla każdego miał na podorędziu ciętą odpowiedź. Wiedziałem, że stara się zwracać szczególną uwagę na obecne na turnieju kobiety, traktując każdą z przesadną uprzejmością. Uznałem to, oczywiście, za czysty wybieg. Jakkolwiek by było, jego dobry humor udzielał się innym i wszystko szło jak po maśle.

Lady St Loo, równie chuda jak imponująca, była tam tylko po to, aby nadać bieg rzeczom. Jej obecność uznano za komplement. Odkryłem, że wzbudzała w ludziach dwojakie uczucia — sympatii i lęku. Była kobietą, która, gdy zachodziła potrzeba, nie wahała się głosić własnych opinii, a z drugiej strony, jej dobroć i życzliwość, choć nie rzucające się w oczy, były autentycznie szczerze. Równie szczerze i życzliwie stara dama interesowała się miastem St Loo i zachodzącymi w nim zmianami.

Miasto z kolei odnosiło się do „zamku” z wielką estymą. Kiedy na początku wojny miejscowy kwatermistrz wyrywał sobie włosy z głowy z powodu trudności ze znalezieniem lokali dla przesiedleńców, od lady St Loo nadeszło ostre w tonie zapytanie: dlaczego jej nie przydzielono nikogo?!

Na niejasne tłumaczenia pana Pengelleya, jakoby nie chciał sprawiać jej kłopotu z tej tylko racji, że dzieci są nieźle rozpuszczone, odpowiedziała: „Nie zamierzamy uchylać się od wypełniania powinności obywatelskich. Z łatwością zmieści się u nas pięcioro dzieci w wieku szkolnym albo dwie matki z rodzinami. Wybór pozostawiam do pańskiego uznania”.

Matki z rodzinami nie były trafionym pomysłem. Dwie mieszkanki Londynu nie były w stanie przemoć strachu przed długimi, dudniącymi echem, kamiennymi korytarzami zamku i przed wyimaginowanymi duchami. Gdy porywy wiatru nawiewały od morza nie najcieplejsze powietrze, tuliły się do siebie, dzwoniąc zębami. Przyzwyczajone do przytulnego ciepła londyńskich czynszowych kamienic tymczasowe miejsce pobytu traktowały jak koszmar. Kiedy odjechały, pan Pengelley zakwaterował dzieci w wieku szkolnym, a dla tych gości w zamku okazała się jedną z najbardziej ekscytujących przygód, jakie im się kiedykolwiek przytrafiły. Bez końca buszowały wśród ruin, goniły od świtu do nocy po ciemnych podziemnych przejściach i nigdy nie miały dość nawoływania echa. Podporządkowały się matkowaniu lady Tressilian. Lady St Loo wzbudzała w nich lęk i fascynację. Pani Bigham Charteris nauczyła je nie bać się psów ani koni. Poza tym były w doskonałych stosunkach ze starą kornwalijską kucharką, która specjalnie dla nich wypiekała szafranowe bułeczki.

Lady St Loo dwa razy składała skargi u kwatermistrza. Otóż niektóre dzieci zostały umieszczone na

samotnych farmach, których właściciele nie byli, według niej, ani mili, ani godni zaufania. Nalegała na przeprowadzenie swego rodzaju śledztwa. Okazało się, że w jednym wypadku dzieci niemal głodzono. W drugim miały dość pożywienia, lecz były brudne i zaniedbane.

To wszystko zwiększyło poważanie, jakim stara dama cieszyła się dotychczas. Zamek nie zniósłby za nic żadnej ludzkiej krzywdy, mówiono w miasteczku.

Lady St Loo nie zaszczyciła turnieju zbyt długą obecnością. Ona, jej siostra i szwagierka razem opuściły Długą Stodołę. Isabella natomiast pozostała, aby pomagać Teresie, pani Carslake i innym kobietom.

Ja oglądałem całe widowisko przez mniej więcej dwadzieścia minut, po czym Robert odwiózł mnie z powrotem do domu. Kiedy znaleźliśmy się na tarasie, poprosiłem, aby przystanął. Noc była ciepła i widna od blasku księżyca.

— Zostanę tutaj — powiedziałem.

— W porządku. Chcesz może pled lub coś innego? — Nie, nic mi nie trzeba.

Robert skinął głową. Zawrócił w miejscu i skierował się na powrót do stodoły, gdzie czekały na niego pewne obowiązki.

Leżałem i paliłem papierosa. Za plecami miałem ciemny, pozamykany na wszystkie spusty dom. Tylko jedno okno było uchylone. Ze stodoły dolatywał stłumiony gwar głosów i muzyki. Przedemną, na tle zalanego księżycowym blaskiem morza, widniał zamek, który teraz bardziej niż kiedykolwiek przypominał teatralne dekoracje. Wyobraziłem sobie, że srebrzysta smuga światła, która wiodła od zamku do Polnorth House jest srebrną groblą, a dalej, że jedzie po niej na koniu rycerz w błyszczącej zbroi. Oto jak powinien wyglądać powrót młodego lorda St Loo, pomyślałem. Szkoda, że mundur polowy nie ma w sobie nic z romantyzmu kolczugi... Jako pewne urozmaicenie odległego gwaru, docierały do moich uszu odgłosy letniej nocy; harmider tysiąca i jednego cykających i szeleszczących stworzonek, skradających się ku uświęconym prawem przyrody ofiarom... szelest liści, dalekie pohukiwanie sowy...

Owładnęło mną nie znane mi uczucie zadowolenia. Prawdą było to, co powiedziałem Teresie — zaczynałem żyć od nowa. Przeszłość i Jennifer przypominały mi już tylko olśniewający urodą, nierealny sen — między nim a mną rozciągało się grzęzawisko bólu i ciemności, i letargu, z którego dopiero teraz się wydobywałem. Nie chciałem wracać do starego życia — zerwałem z nim na dobre. To, które rozpoczynałem teraz, było nowe. Inne. Ale jakie? Jaki kształt zamierzałem mu nadać? Kim miał się stać Hugh Norreys? Chciałem ruszyć do przodu. Ale czy wiedziałem, w jaki sposób? Czego mogłem się spodziewać? Co miałbym robić?

Zobaczyłem wysoką, ubraną na białą postać, wychodzącą właśnie ze stodoły. Postać zawahała się chwilę, po czym ruszyła w moim kierunku. Od razu wiedziałem, że to Isabella. Kiedy weszła na taras i usiadła na kamiennej ławce, harmonia księżycowej nocy dopełniła się.

Przez długi czas nie zamieniliśmy ani słowa. Byłem bardzo szczęśliwy. Nie chciałem psuć swego

szczęścia rozmową. Nawet nie chciałem myśleć.

Czar prysnął dopiero wówczas, gdy nagły powiew od morza rozwiały włosy Isabelli, a ona uniosła dłoń ku głowie. Spojrzałem na nią — wpatrywała się, podobnie jak ja przedtem, w prowadzącą do zamku srebrzystą groblę.

— W taką właśnie noc powinien przyjechać Rupert — powiedziałem.

— Tak. — Jej głos był odrobinę zaczepny. — Powinien.

— Zanim pani przyszła, wyobrażałem sobie jego powrót: na koniu i w kolczudze. Choć w rzeczywistości, jak przypuszczam, zjawi się tutaj w mundurze polowym i w berecie.

— On musi przyjechać, i to prędko. Musi — rzuciła niecierpliwie, prawie z rozpaczą.

Nie umiałem czytać w jej myślach, lecz serce zabiło mi niespokojnie. Bałem się o nią.

— Nie powinna pani wkładać tyle serca w jego przyjazd — ostrzegłem ją. — Czasami życie lubi płać figle.

— Myślę, że tak. Czasami...

— Człowiek spodziewa się czegoś — mówiłem dalej — a tego czegoś jak nie było, tak nie ma...

— Rupert musi przyjechać. Musi przyjechać prędko. Mówiła, jakby zaklinając sobie tylko znane moce. Już miałem zapytać, co to wszystko znaczy, ale w tym momencie z Długiej Stodoły wyszedł John Gabriel i dołączył do nas.

— Pani Norreys przysłała mnie, abym sprawdził, czy pan czegoś nie potrzebuje — zwrócił się do mnie. — Może kieliszek sherry?

— Nie, dziękuję.

— Jest pan pewien?

— Tak, jestem pewien.

Zdawał się lekceważyć Isabellę.

— Proszę się poczęstować samemu — zaproponowałem.

— Nie, dziękuję. Nie mam ochoty. — Zamilkł na chwilę, a potem powiedział: — Przyjemna noc. Noc wymarzona dla młodego Lorenza* i tak dalej, i tak dalej.

Milczeliśmy wszyscy troje. Z Długiej Stodoły dolatywały nikle dźwięki muzyki. Gabriel zapytał Isabellę:

— Czy miałyby pani ochotę zatańczyć, panno Charteris?

Isabella podniosła się i odrzekła swoim uprzejmym głosem:

— Dziękuję. Z wielką przyjemnością.

Odeszli oboje, nieco sztywno, nic do siebie nie mówiąc.

Zacząłem myśleć o Jennifer. Ciekaw byłem, gdzie się podziewa i co robi. Czy jest szczęśliwa, czy nie. Czy znalazła, jak to się mówi, „kogoś innego”. Miałem nadzieję, że tak. Miałem ogromną nadzieję.

Wspomnienie Jennifer nie wywoływało we mnie uczucia bólu, ponieważ Jennifer, którą kiedyś znałem, tak naprawdę nigdy nie istniała. Wymyśliłem ją, aby zadowolić siebie. Nigdy nie zaprzątałem sobie głowy tą prawdziwą. Między nią a mną stanął Hugh Norreys i jego litościwe serce.

Przypomniałem sobie scenę z odległej przeszłości: jestem dzieckiem i schodzę z wysokich schodów — ostrożnie, na niepewnych nogach. Jeszcze teraz mógłbym usłyszeć delikatne echo własnego głosu, powtarzającego raz po raz z przejęciem:

„Hugh schodzi po schodach...” Któregoś dnia, to dziecko nauczyło się mówić „ja”. Ale to „ja” wcale nie przenika w głąb jego świadomości. To „ja” idzie przez życie jako widz. Widzi siebie w całym ciągu obrazów. Widzi Hugh pocieszającego Jennifer, Hugh będącego dla Jennifer całym światem, Hugh zamierzającego Jennifer uszczęśliwić, zamierzającego Jennifer wynagrodzić wszelkie zło, którego doświadczyła.

Przyszło mi nagle na myśl, że to zupełnie tak jak z Milly Burt. Z Milly Burt, która decyduje się poślubić swojego Jima, zamierza uczynić szczęśliwym swego Jima, zamierza odzwyczaić swojego Jima od picia, i która nie zna i nie chce poznać Jima z krwi i kości.

A przypadek Johna Gabriela? Oto John Gabriel, rozczulający się nad małą kobietką, dodający małej kobiecie otuchy, uprzejmy i pomocny.

A Teresa? Oto Teresa, która poślubia Roberta, Teresa, która...

Nie, tylko nie Teresa. Moja bratowa, pomyślałem sobie, od zawsze była dorosła. Ona nie miała trudności ze zrozumieniem sensu słowa „ja”.

Ze stodoły wyszły dwie osoby. Nie skierowały się w moją stronę. Wybrały ścieżkę prowadzącą w dół, do dolnego tarasu i do ogrodu nad wodą...

Ja podążałem dalej za tokiem swych myśli; lady Tressilian, która usiłuje przywrócić mnie zdrowiu i zainteresować życiem; pani Bigham Charteris, która we własnym przekonaniu nadal jest kompetentną żoną pułkownika i której się zdaje, że tylko ona potrafi wziąć sprawy w swoje ręce. Do diabła, a dlaczego by nie? Życie jest ciężkie, więc musimy mieć swoje marzenia.

Czy Jennifer miała marzenia? Jaka była prawdziwa Jennifer? Czy kiedykolwiek usiłowałem tego dociec? Czyż nie wdziałem tego, co chciałem zobaczyć — moją wierną, nieszczęśliwą, cudowną Jennifer? Jaka była naprawdę? Ani tak bardzo cudowna, ani tak bardzo wierna (kiedy się o tym pomyśli!), z pewnością nieszczęśliwa... tak, zdecydowanie nieszczęśliwa. Tamten żal, tamta skrucha, tanto samooskarżanie się. Leżałem, godny pożałowania wrak człowieka, i słuchałem. Wszystkiemu była winna ona, i tylko ona. Lecz czy nie chodziło ostatecznie o to, by zagrać rolę tragicznej bohaterki?

Wszystko, co się zdarzyło, zdarzyło się przez nią. Oto Jennifer, tragiczna, nieszczęśliwa postać, której nic w życiu nie wychodzi i która bierze na siebie winę za zło, dotykające innych. A Milly Burt, czy nie jest w tym podobna do Jennifer? Milly... Właśnie, co z Milly? Porzuciłem teoretyczne rozważania na temat ludzkiej osobowości i zwróciłem się ku problemom dnia dzisiejszego. Milly nie zjawiała się w stodole. Być może było to mądre posunięcie. Lecz czy jej nieobecność nie wywołała dalszych komentarzy?

Otrząsnąłem się. Chyba ogarniał mnie sen. Robiło się coraz chłodniej...

Ktoś nadchodził od strony dolnego tarasu. John Gabriel. Szedł w moim kierunku, lecz szedł niepewnie. Czyżby był pijany? Przeraziłem się, gdy stanął przy mnie. Wyglądał jak człowiek, który wypił za dużo, lecz to nie alkohol doprowadził go do takiego stanu.

Zaśmiał się pijackim śmiechem.

— Ta dziewczyna! Ta dziewczyna! Już to panu mówiłem; jest taka sama jak inne. Być może ma głowę w gwiazdach, lecz nogami mocno stąpa po ziemi.

— O czym pan mówi, Gabriel? — rzuciłem ostro. — Czyżby się pan upił?!

Znów się zaśmiał.

— Dobre sobie! Nie, wcale nie jestem pijany. Są lepsze rzeczy na tym świecie niż picie. Dumna, zarozumiała sztuka! Zbyt wielka pani, jak na obcowanie z pospółstwem! Pokazałem należne jej miejsce. Ściągnąłem z tych jej gwiazd. Pokazałem, że jest ulepiona ze zwykłej gliny. Już dawno temu powiedziałem panu, że to żadna święta. Nie z takimi ustami jak jej... Jest zwykłą, ludzką istotą. Niczym się nie różni od nas wszystkich. Wszystko jedno, do której się zalecasz, wszystkie są takie same... takie same!

— Niech no pan posłucha, Gabriel! — powiedziałem gwałtownie. — Co pan chce przez to powiedzieć?

Zaniósł się głośnym śmiechem.

— Zabawiałem się, mój przyjacielu. Oto, co robiłem: zabawiałem się. Zabawiałem się na własny sposób... cholernie dobry sposób...

— Jeśli znieważył pan tę dziewczynę...

— Dziewczyne? To dojrzała kobieta. Wie, co robi, albo przynajmniej powinna wiedzieć. Kobieta jak się patrzy. Ręczę słowem.

Znów się zaśmiał. Echo tamtego śmiechu miało mnie prześladować latami. To był koszmar nieprzyjemny, prostacki chichot. Nie mogłem go strawić wówczas i nie strawiłbym dzisiaj.

Byłem aż do bólu świadomy własnej bezradności, własnego unieruchomienia. Gabriel dopomógł mi w tym jednym krótkim, wzgardliwym spojrzeniem. Do dziś nie potrafię wyobrazić sobie kogoś bardziej odpychającego niż Gabriel tamtej nocy.

Zaśmiał się znów i ruszył chwiejnie w kierunku stodoły. Patrzyłem za nim pełen wściekłości. Trochę później, kiedy wciąż jeszcze przelykałem gorzką pigułkę upokorzenia, jakim było moje kalectwo, na stopniach tarasu znów rozległy się czyjeś kroki. Tym razem lżejsze i spokojniejsze.

Na taras weszła Isabella, minęła mnie niespiesznie i usiadła na kamiennej ławce, u mego boku.

Nie odezwała się ani słowem. Milczała, jak trochę wcześniej tego wieczoru, ale tym razem to milczenie, z czego doskonale zdawałem sobie sprawę, było inne. Isabella potrzebowała spokoju, aby odzyskać zaufanie do samej siebie. Tak mi się przynajmniej zdawało. Coś w niej drgnęło, coś się przebudziło. Była, czułem to, w głębokiej duchowej rozterce. Ale ja nie wiedziałem i nawet nie śmiałybym zgadywać, co kryło się na dnie jej umysłu. Być może ona sama tego nie wiedziała.

— Isabella, moja droga, czy wszystko w porządku? — spytałem dość niezręcznie.

— Nie wiem...

Kilka minut później wsunęła swoją dłoń w moją. Był to uroczy, ufny gest, gest, którego nie zapomniałem do dzisiaj. Żadne z nas się nie odezwało ani nie poruszyło. Siedzieliśmy tak prawie godzinę. Potem muzyka zamilkła i ludzie zaczęli opuszczać Długą Stodołę. Niedaleko nas przystanęło kilka kobiet. Rozmawiały przez chwilę, gratulując sobie nawzajem udanego wieczoru. Jedna z nich zabrała Isabellę do swojego samochodu.

To, co się stało, było nierealne, podobne do snu.

Rozdział siedemnasty

Spodziewałem się, że następnego dnia Gabriel będzie się trzymał ode mnie z daleka, lecz on zawsze był nieobliczalny. Wszedł do mojego pokoju tuż przed jedenastą.

— Miałem nadzieję, że zastanę pana samego — powiedział. — Zdaje mi się, że wczorajszego wieczoru zrobiłem z siebie kompletnego błazna.

— Można to tak nazwać. Choć ja użyłbym mocniejszego określenia. Pan jest kompletną świnią, Gabriel.

— Co ona powiedziała? — Nic.

— Czy była zdenerwowana? Albo zła? A niech to piekło pochłonie! Na pewno coś powiedziała. Siedziała z panem prawie godzinę.

— Nie powiedziała nic — powtórzyłem.

— Na Boga, żałuję, że kiedykolwiek... — Przerwał w pół zdania. — Proszę mnie posłuchać. Pan chyba nie uważa, że ją uwiodłem, prawda? Nic z tych rzeczy. Wielki Boże, nie. Ja tylko... no cóż... ja tylko trochę się do niej pozalecałem. To wszystko. Światło księżycy, niczego sobie dziewczyna... chcę powiedzieć, że to się może zdarzyć każdemu.

Nie odpowiedziałem, ale Gabriel chyba właściwie odczytał moje milczenie.

— Ma pan rację — rzekł. — Nie jestem z siebie szczególnie dumny. Ale ona doprowadza mnie do szaleństwa. Doprowadza mnie do szaleństwa od chwili, kiedy ją pierwszy raz zobaczyłem. Święta, której nie można nawet dotknąć. To dlatego zalecałem się do niej w nocy, tak, choć przyznam, chyba w nie najładniejszy sposób; raczej całkiem brutalnie. Tylko że ona nie została mi dłużna, Norreys... Ma ludzkie odruchy, tak ludzkie jak pierwsza lepsza sztuka, do której człowiek się przystawia w sobotnią noc. Podejrzewam, że nienawidzi mnie teraz. Nie zmrużyłem oka... — Przechadzał się gwałtownie tam i z powrotem. Potem zapytał raz jeszcze: — Jest pan pewien, że nie powiedziała ani słowa? W ogóle nic?

— Mówiłem to panu już dwa razy — odparłem chłodno.

Objął głowę dłońmi. Mógłby to być gest zabawny, gdyby nie był absolutnie tragiczny.

— Nigdy nie będę wiedział, o czym ona myśli — rzekł. — Niczego nie będę wiedział. Ona jest gdzieś, gdzie nie sięgam. Patrzę na nią, a widzę tamten fryz w Pizie. Święci pańscy siedzą w niebie, pod drzewami, i uśmiechają się. Muszę ściągnąć ją na ziemię. Muszę! Nie zniosę tego dłużej. Mówię panu, po prostu nie zniosę! Chcę ją poniżyć, chcę zobaczyć, jak wygląda, kiedy się wstydzi. Chcę, żeby poszła za mną do piekła...

— Na litość boską, Gabriel, niech pan przestanie — powiedziałem ze złością. — Nie stać pana na odrobinę przyzwoitości?

— Nie, nie stać. Z panem byłoby podobnie, gdyby pan przeszedł przez to, przez co przeszedłem ja w ciągu ostatnich kilku tygodni. Lepiej byłoby, gdybym jej nigdy nie spotkał. Gdybym nie wiedział o jej istnieniu. Albo gdybym mógł o niej zapomnieć.

— Nie miałem pojęcia... — zacząłem, ale mi przerwał.

— Oczywiście, to jasne. Pan nigdy nie widzi niczego poza własnym nosem! Pan jest najbardziej samolubnym osobnikiem, z jakim kiedykolwiek miałem do czynienia, całkowicie pochłoniętym sobą i swoim nieszczęściem. Czy nie jest pan w stanie zauważyć, że wreszcie mi się dostało? Jeszcze trochę, a to, czy wejdę do parlamentu, czy nie, będzie mi absolutnie obojętne.

— Być może pańska partia poradzi sobie i bez pana — powiedziałem.

— Prawdą jest — przyznał Gabriel ponuro — że narobiłem wszędzie nieprawdopodobnego zamieszania.

Nie raczyłem odpowiedzieć. Dotychczasowa chełpliwość Gabriela tak mi się dała we znaki, że teraz czerpałem satysfakcję z jego przygnębienia.

Moje milczenie go zirytowało. I świetnie. Wszak zamierzałem go zirytować!

— Zastanawiam się, Norreys, czy ma pan pojęcie, co z pana za kołtun. Purytański kołtun. Więc co, według pana, powinienem zrobić — przeprosić tę dziewczynę? Powiedzieć, że straciłem głowę? No, niechże się pan odezwie!

— Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. A poza tym, przy pańskim olbrzymim doświadczeniu z kobietami, sam pan powinien wiedzieć, jak się zachować.

— Nigdy jeszcze nie miałem do czynienia z taką dziewczyną. Jak pan myśli, jest wstrząśnięta? Oburzona? A może uważa, że jestem kompletną świnią?

Po raz kolejny z prawdziwą przyjemnością oświadczyłem mu, że nie mam pojęcia ani o tym, co Isabella myśli, ani o tym, co czuje.

— Ale zdaje mi się — dodałem, patrząc przez okno — że właśnie tu idzie.

Gabriel gwałtownie poczerwieniał. W jego oczach pojawił się strach jak u tropionego zwierzęcia. Przystanął przed kominkiem w brzydkiej, niezgrabnej pozie, na szeroko rozstawionych nogach, z wypiętą do przodu piersią, a przy tym z nieśmiałą miną winowajcy, która bynajmniej nie dodawała mu uroku. Z przyjemnością zauważyłem, że wygląda nieciekawie i pospolicie.

— Jeżeli popatrzy na mnie, jakbym był czymś, co przyniósł kot w pysku... — Nie dokończył myśli.

Do pokoju weszła Isabella. Wcale nie popatrzyła na niego jak na coś, co przyniósł kot w pysku.

Powiedziała „dzień dobry”, najpierw mnie, a potem jemu. Obaj zostaliśmy potraktowani jednakowo poważnie i jednakowo uprzejmie, jak również obaj zostaliśmy obdarzeni spokojnym i obojętnym spojrzeniem. Cóż, maniery Isabelli były jak zwykle nienaganne. Przyniosła wiadomość dla Teresy, więc kiedy dowiedziała się, że może ją znaleźć u Carslake’ów, opuściła nas, uśmiechając się do obu jednak owo nikłym i łaskawym uśmiechem.

Ledwo zamknęły się za nią drzwi, a już pod jej adresem popłynął z ust Gabriela stek obelg i przekleństw. Próbowałem go powstrzymać, lecz moje wysiłki na nic się zdały. Krzyknął na mnie:

— Przestań mleć jęzorem, Norreys! To nie ma nic wspólnego z panem. Zapewniam pana, że dostanę w swoje łapy tę dumną, zadzierającą nosa dziwkę, nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu.

Wybiegł z pokoju, tak trzaskając za sobą drzwiami, że Polnorth House zatrzęsł się w posadach.

Nie chciałem przeoczyć Isabelli, kiedy będzie wracała od Carslake’ów, toteż zadzwoniłem, aby ktoś wytoczył mój wózek na taras.

Nie czekałem długo. Isabella wyszła z odległego skrzydła i skierowała się w moją stronę. Z niewymuszoną swobodą podeszła wprost do kamiennej ławki. Z jej ust nie padło ani jedno słowo. Długie, wąskie dłonie jak zwykle spoczęły na podolku.

Na co dzień tyle by mi wystarczyło, lecz tego dnia mój umysł pracował pełną parą. Chciałem się wreszcie dowiedzieć, jakie procesy myślowe zachodzą w tej szlachetnej główce. Widziałem dobrze, w jakim Gabriel był stanie. Nie miałem natomiast pojęcia, jakie wrażenie, jeżeli w ogóle jakieś, wywarły na Isabelli wydarzenia wczorajszego wieczoru. Trudność w obcowaniu z Isabella polegała na tym, że swoje myśli należało ubierać w proste słowa — użycie jakichkolwiek dwuznaczności kończyło się jedynie spojrzeniem wyrażającym absolutną dezorientację.

A jednak moje stereotypowe pytanie zabrzmiało dwuznacznie.

— Wszystko w porządku, Isabello? — zapytałem.

Spojrzała na mnie dość obojętnie.

— Gabriel — powiedziałem — jest od samego rana wytrącony z równowagi. Myślę, że chciałby panią przeprosić za coś, co zdarzyło się wczoraj wieczorem.

— Dlaczego miałby przeproszać?

— No cóż... — zawahałem się — chyba uważa, że zachował się nie najlepiej.

— Ach tak, rozumiem — powiedziała zamyślona.

Nie zauważyłem, by z jej zachowania przebijało jakieś zakłopotanie, lecz to tylko rozbudziło na dobre moją ciekawość; brnąłem więc dalej, najwyraźniej mieszając się w nie swoje sprawy.

— A pani? Pani nie jest tego samego zdania?

— Sama nie wiem... Po prostu nie wiem... Zresztą — dodała, jakby się tłumacząc — to jest coś takiego, o czym po prostu nie zdążyłam pomyśleć.

— Nie była pani zaszokowana ani wystraszona, ani zdenerwowana?

Byłem ciekaw. Najzwyczajniej w świecie ciekaw.

Zdawała się obracać w myślach moje słowa na różne strony. A potem powiedziała całkiem obojętnie:

— Nie, nie myślę, by tak było. A powinno? Piłeczka została odbita. Teraz ja zastanawiałem się nad odpowiedzią. Co gorsza, nie znałem jej w ogóle. Co powinna czuć normalna dziewczyna, kiedy spotyka się po raz pierwszy nie z miłością i na pewno nie z czułością, lecz z niewybredną namiętnością człowieka o dość prostackich manierach?

Zawsze doznawałem uczucia (a może tylko to sobie wmawiałem?), że wokół Isabelli roztacza się aura niezwyklej czystości. Ale czy tak było naprawdę? Gabriel, przypominałem sobie, co najmniej dwa razy napomykał o jej ustach. Popatrzyłem na nie teraz. Nie pomalowane, naturalnie czerwone, dolna warga pełna prawie jak u Habsburgów, tak, to były zmysłowe, to były namiętne usta.

Podobno nie pozostała Gabrielowi dłużna. Podobno zareagowała na jego „zaloty”. Czy obudziły się w niej zmysły? Czy zauroczyła chwila? A może zrobiła to w pełni świadomie?

Isabella zadała mi kolejne pytanie. Zapytała mnie wprost, czy lubię majora Gabriela.

Zwykle długo bym się zastanawiał nad stanem swoich uczuć, lecz nie dzisiaj. Dzisiaj z moich ust padło bezkompromisowe „nie”.

Isabella powiedziała zamyślona:

— Pani Carslake również go nie lubi.

Nie podobało mi się, i to bardzo, stawianie mnie i pani Carslake w jednym szeregu. Teraz ja zapytałem:

— A pani, Isabello?

Milczała długo. Kiedy wreszcie przemówiła, zrozumiałem, że jej słowom niełatwo było przebić się poprzez głębokie zakłopotanie.

— Nie znam go... Nic o nim nie wiem. To okropne, kiedy nawet nie można ze sobą porozmawiać.

Nie bardzo wiedziałem, co ma na myśli, ponieważ w czasach, kiedy pociągały mnie kobiety, wzajemne zrozumienie stanowiło pierwszą przynętę dla obu zainteresowanych stron; przeświadczenie (czasami zresztą z gruntu fałszywe) o szczególnej wspólnocie myśli, odkrywanie

rzeczy, które lubią oboje, i tych, których nie lubią, dyskusje o teatrze, książkach, etyce, o wzajemnych sympatiach i wzajemnych antypatiach. Poczucie przyjaznego koleżeństwa zawsze leżało u podstaw tego, co dość często nie było żadnym koleżeństwem, lecz jedynie zakamuflowanym pociągiem płciowym.

Gabriel, jeśli wierzyć Teresie, pociągał kobiety. Być może pociągał i Isabellę, lecz jeśli tak, to jedynie za sprawą powierzchownego męskiego czaru; w ich wzajemnym stosunku nie było nic ze słodkiego lukru pozornego zjedwania dusz. Pociągał ją, bo był inny, nietutejszy, obcy. Lecz czy rzeczywiście uważała go za atrakcyjnego? A może urzekają ją zaloty tego mężczyzny a nie on sam?

No cóż, były to wyłącznie spekulacje myślowe. A Isabella nie oddawała się rozmyślaniom. Jakikolwiek żywiła uczucia do Gabriela, z pewnością ich nie analizowała. Choć, jak przypuszczam, mogła się im biernie poddać i potraktować jako jeden ze splotów, z jakich tkana gobelin swego życia.

I tu chyba dotknąłem sedna sprawy. Chyba zrozumiałem, co wywołuje w Gabrielu niemal maniacką furję. Przez ułamek sekundy byłem bliski współczucia dla tego człowieka.

Wtedy Isabella się odezwała. Zapytała mnie, jak zwykle poważnym głosem, czy wiem, dlaczego czerwone róże wstawione do wazonu tak prędko tracą świeżość. Przedyskutowaliśmy ten problem, po czym okazałem uprzejme zainteresowanie jej ulubionymi kwiatami. Okazało się, że są to czerwone róże i ciemnobrunatne laki, i mięsiste, jak je nazwała, blade, fiołkoworóżowe lewkonie.

Zdawało mi się, że jest to dość dziwny zestaw.

— Dlaczego lubi pani te, a nie inne? Odpowiedziała, że nie wie.

— Ma pani leniwy umysł, Isabello — rzekłem na to. — Wie pani doskonale, tylko nie chce się jej zmusić do myślenia.

— Tak pan sądzi? Naprawdę? W takim razie pomyślę.

Siedziała wyprostowana i poważna. Myślała...

(Potem, ilekroć przypominałem sobie Isabellę, widziałem ją zawsze taką i zawsze taką będę widział, do końca świata: oto siedzi w słońcu na rzeźbionej kamiennej ławce — dumnie uniesiona głowa, długie wąskie dłonie złożone nieruchomo na podołku — i z powagą na twarzy myśli o kwiatach.)

W końcu przemówiła:

— Chyba dlatego, że one wszystkie wyglądają tak, jakby się je chciało dotykać... miękkie... jak aksamit... I dlatego, że ładnie pachną. Róże są trudne w uprawie. Nieładnie się krzewią. Każda róża chce być sama, sama dla siebie, najchętniej w wazonie, gdzie tak pięknie wygląda. Niestety... tylko przez krótką chwilę. Potem gubi płatki i umiera. Aspiryna, przypalanie łądyżek i temu podobne zabiegi pomagają innym, ale nie czerwonym. Nic nie jest w stanie przedłużyć życia dużych, ciemnoczerwonych róż. Żal mi ich. Żal mi, że muszą umierać.

Była to najdłuższa mowa, jaką wygłosiła Isabella w mojej obecności. No cóż, jak widać, bardziej interesowała ją rozmowa o różach niż o Gabrielu.

A więc, jak już powiedziałem, zdarzyło mi się przeżyć chwilę, która miała na zawsze utkwąć w mej pamięci. Cóż, nic dziwnego; to był punkt kulminacyjny naszej przyjaźni...

Z miejsca, w którym umieszczono mój fotel, miałem widok na biegnącą przez pola ścieżkę z zamku St Loo. Tą ścieżką zbliżała się postać w mundurze polowym i w berecie. Ku mojemu zdziwieniu serce skoczyło mi do gardła: wiedziałem, że lord St Loo wrócił do domu.

Rozdział osiemnasty

Czasami doświadcza się uczucia nużącej powtarzalności pewnych zdarzeń. Właśnie tak działo się ze mną, kiedy obserwowałem zbliżającego się ku nam młodego lorda St Loo. Odnosiłem wrażenie, jakbym wciąż i wciąż leżał tutaj, bezradny, niezdolny do wykonania ruchu i przyglądał się idącemu przez pole Rupertowi St Loo... To się już kiedyś zdarzyło, to się znów mogło zdarzyć... to mogło się zdarzać przez całą wieczność.

Isabello, powiedziało moje serce, to jest pożegnanie. Twój los upomniał się o ciebie.

Raz jeszcze otoczyła mnie atmosfera baśni, złudzenia i nierealności. Miałem jeszcze tylko towarzyszyć typowemu zakończeniu typowej historii.

Westchnąłem lekko i popatrzyłem na Isabellę. Jeszcze nie wiedziała, że jej przeznaczenie jest tuż — — tuż; wzrok miała skierowany w dół, na swe długie, wąskie, białe dłonie. Jeszcze myślała o różach — albo, być może, o ciemnobrunatnych lakach...

— Isabello — powiedziałem łagodnie — ktoś nadchodzi...

Uniosła wzrok, bez pośpiechu, bez większego zainteresowania. Odwróciła głowę. Zesztywniała, po czym jej ciałem wstrząsnął lekki dreszcz.

— Rupert... — szepnęła — Rupert...

To, oczywiście, mógł nie być Rupert. Mogliśmy się oboje mylić. Ale to był Rupert.

Z lekkim wahaniem minął furtkę i wszedł na stopnie tarasu. Nie wyglądał na zbyt pewnego siebie; Polnorth House należał do obcych, których nie znał z czasów dzieciństwa. Jednak ktoś w zamku pewnie mu powiedział, że tu znajdzie swoją kuzynkę.

Isabella podniosła się z ławki w chwili, w której Rupert znalazł się na tarasie, i ruszyła ku niemu. Przyspieszył kroku.

— Rupercie... — powiedziała miękko, kiedy się spotkali.

— Isabello!

Stanęli naprzeciw siebie, złączywszy dłonie. Rupert przechylił lekko głowę opiekuńczym gestem.

To było doskonałe, absolutnie doskonałe. Scena jak z filmu. Nie wymagająca powtórki... W teatrze mogłaby ścisnąć gardło niejednej podstarzałej romantycznej teatromance. Scena idylliczna — nierzeczywista — szczęśliwe zakończenie baśni. Romans przez duże R.

To było spotkanie chłopca i dziewczyny, którzy myśleli o sobie przez lata, przechowując w

wyobraźni swoje wizerunki, poniekąd iluzoryczne; spotkanie, podczas którego okazało się, że cud iluzji czasami się spełnia...

To było coś, co — jak to się mówi — nie powinno się zdarzyć na jawie. Ale się zdarzyło, tutaj, przede mną.

Wszystko między nimi zostało rozstrzygnięte już w pierwszym momencie. Rupert na dnie duszy wiernie przechowywał myśl o powrocie i poślubieniu Isabelli. Isabella zawsze miała spokojną pewność, że Rupert wróci do domu i poślubi ją i że będą żyli razem w St Loo długo i szczęśliwie... Dla obojga dopełniało się przeznaczenie.

Ich chwila nie trwała długo. Isabella odwróciła się do mnie. Jej twarz błyszczała szczęściem.

— To jest kapitan Norreys — powiedziała. — A to mój kuzyn Rupert.

St Loo podszedł i podał mi rękę, a ja dobrze mu się przyjrzałem. Nadal jestem zdania, że nigdy nie zetknąłem się z nikim przystojniejszym. Nie zamierzam przez to powiedzieć, że Rupert był piękny jak młody bóg. Nie, on po prostu emanował męskością. Pociągła, zbrązowiała od słońca twarz, duże wąsy, ciemnoniebieskie oczy, doskonale osadzona na szerokich ramionach głowa, wąskie biodra i zgrabne nogi. Głos miękki i głęboki, sympatyczny, bez śladu kolonialnego akcentu. Z jego rysów przebijało poczucie humoru, inteligencja, stanowczość i jakaś spokojna wewnętrzna siła.

Przeprosił za tak nieformalną wizytę, lecz właśnie przyleciał do kraju i prosto z lotniska przyjechał samochodem do St Loo. Lady Tressilian powiedziała mu, że Isabella poszła do Polnorth House i że pewnie ją tam zastanie.

Popatrzył na Isabellę roziskrzonym wzrokiem. — Wypiękniałaś, od czasu, kiedy widziałem cię jako uczennicę, Isabello — powiedział. — Przechowywałem w pamięci obraz długich, cienkich jak patyki nóg, dwóch fruujących warkoczy i skupionej, przejętej twarzy.

— Musiałam wyglądać koszmarnie — stwierdziła Isabella.

Lord St Loo wyraził nadzieję, iż wkrótce pozna moją bratową i brata, którego obrazy bardzo sobie ceni. Isabella powiedziała, że Teresa jest u Carslake'ów, i zaofiarowała się pójść do niej z wiadomością o przyjeździe kuzyna. Spytała, czy Rupert nie chciałby przy okazji zobaczyć lokatorów Teresy. Rupert odparł, że nie. Nie pamięta ich, nawet jeśli Carslake'owie mieszkali tutaj, gdy był chłopcem.

— Przypuszczam, że tak czy inaczej będziesz musiał im się przedstawić — zauważyła Isabella. — Byli bardzo podekscytowani, kiedy się mówiło o twoim przyjeździe. Wszyscy byli podekscytowani.

Młody lord St Loo zrobił przestraszoną minę.

— Mam tylko miesiąc urlopu — oznajmił.

— A potem wracasz na Wschód?

— Tak.

— A kiedy skończy się wojna japońska, czy wrócisz tu na stałe?

Rupert pojął wagę pytania. Spoważniał.

— To zależy... — rzekł wolno — od kilku rzeczy...

Zamilkł. Ona milczała również. Chyba oboje myśleli o tym samym. Już zdążyła zapanować między nimi pełna harmonia i zrozumienie.

Potem Isabella udała się na poszukiwania Teresy, a Rupert St Loo usiadł koło mnie. Wreszcie miałem z kim porozmawiać o typowo męskich sprawach. Od kiedy osiadłem w Polnorth House, żyłem otoczony atmosferą kobiecości. St Loo było jednym z tych zakątków kraju, które wojna konsekwentnie omijała i do których docierały jedynie zasłyszane wieści, plotki i pogłoski. Przyjeżdżali tu „wyłącznie żołnierze urlopowani, a tacy zwykle pragną, choćby na krótko, zapomnieć o świecie okopów.

Zamiast w wir wojny, zostałem wciągnięty w świat polityki — a ten świat, w każdym razie przynajmniej w St Loo, był absolutnie sfeminizowany. To był świat, w którym się liczyło wywarte na kimś wrażenie, w którym się ulegało delikatnym perswazjom, w którym trzeba się było podporządkować tysiącom drobnych subtelności, świat, który w połączeniu ze znużoną, jednostajną codziennością tworzył kobiecą rację bytu. To był świat w miniaturze — istniejący na zewnątrz kosmos z rozlewem krwi i przemocą stanowił dla niego jedynie teatralną dekorację, na której tle, na tle wojny światowej jeszcze nie zakończonej, my byliśmy zaangażowani w małomiasteczkowe i głównie prywatne potyczki. To samo pod płaszczykiem szlachetnych haseł działo się w całej Anglii. Demokracja, Wolność, Bezpieczeństwo, Imperium, Nacjonalizacja, Wierność, Nowy Wspaniały Świat, to były słowa— sztandary.

Obecne wybory — a podejrzewałem, że nie mam do czynienia z sytuacją wyjątkową — podporządkowane były personalnym celom, które z natury rzeczy bardziej zagrzewają do boju niż choćby najszczytniejsze słowa i największe nazwiska.

Która strona da mi dom, abym mógł w nim spokojnie założyć rodzinę lub dożywać swoich lat? Która panią sprowadzi zza oceanów mojego chłopca Johnniego, mojego męża Davida? Która strona da mojemu dziecku największą szansę na przyszłość? Która partia powstrzyma świat przed kolejnymi wojnami, by nie odebrano mi i nie zabito męża, a być może i synów?

Nietrudno o gładkie słowa. Ale kto pomoże mi otworzyć na nowo sklep? Kto zbuduje mój dom? Kto da nam wszystkim więcej jedzenia, więcej kuponów na ubrania, więcej ręczników, więcej mydła?

Churchill jest w porządku. To on wygrał dla nas wojnę. To dzięki niemu nie ma tu Niemców. Stawiam na Churchilla.

Wilbraham jest nauczycielem. Edukacja to coś, co wyprowadza dzieci w świat. Laburzyści dadzą

nam więcej domów. Tak mówią. Churchill nie odda nam szybko naszych chłopców. Upaństwowimy kopalnie, a wszyscy będziemy mieli węgiel.

Podoba mi się major Gabriel. To prawdziwy mężczyzna. Był ranny, walczył w każdym zakątku Europy, nie dekwował się w domu przy bezpiecznej robocie. Wie, co czujemy, kiedy nasi chłopcy wciąż nie wracają. Jest tym, którego chcemy; precz z przeklętym belfrem! Patrzcie no tylko! Nauczyciele! Ewakuowani nauczyciele! Tacy to się nie nadają nawet do zmywania naczyń u pani Polwidden. Jedyne, co im dobrze wychodzi, to zadzieranie nosa.

Kim są politycy, mimo wszystko, jeśli nie straganiarzami na targowisku próżności, prześcigającymi się w oferowaniu najlepszego specyfiku na wszystkie choroby? No cóż, patrząc na to z drugiej strony, naiwnej, łatwowiernej publiczności nie trzeba szukać ze świecą.

Taki był świat, w którym się znalazłem, kiedy wróciłem do życia i zacząłem przeżywać je raz jeszcze. Świat, z jakim nigdy przedtem się nie zetknąłem; świat—odkrycie, mój nowy świat.

Najpierw nim lekko pogardzałem. Uznałem go za jeszcze jeden kant, kolejne naciąganie. Ale teraz zacząłem zdawać sobie sprawę na czym ten świat się opiera, ile w nim namiętności i ile bolesnych, nie kończących się nadziei na przetrwanie. Świat kobiety, nie świat mężczyzny. Mężczyzna nadal pozostawał myśliwym — beztroskim obdartusem, często głodnym, wlokącym za sobą kobietę i dziecko. W jego świecie niepotrzebna była polityka; wystarczał refleks, ręka gotowa do zadania ciosu, umiejętność podchodzenia zdobyczy.

Jednak cywilizowany świat jest oparty na ziemi, ziemi, którą uprawia i z której zbiera plony. To jest świat, który wznosi budynki i wypełnia je dobytkiem — macierzyński, płodny świat, w którym utrzymanie się przy życiu jest nieskończenie bardziej skomplikowane i który zna sto sposobów na sukces i tyle samo na klęskę. Kobiety nie widzą gwiazd; one widzą cztery ściany, które je chronią od wiatru, garnki na palenisku i zaróżowione od snu, pyzate twarze sytych dzieci.

Chciałem — usilnie chciałem — uciec z tego kobiecego świata. Robert nie był dla mnie żadną ostoją; był malarzem. Artystą, po matczynemu skupionym nad wydawaniem na świat nowego życia. Gabriel był mężczyzną — z powodzeniem wywijał się niewyobrażalnie gęstej sieci intryg — ale obaj z natury nie żywiliśmy do siebie sympatii.

Dzięki Rupertowi St Loo powróciłem do własnego świata. Świata El–Alamejn i Sycylii, Kairu i Rzymu. Obaj posługiwaliśmy się tym samym językiem, wspólnym narzeczem, odkrywaliśmy wspólnych znajomych. Na powrót stałem się mężczyzną, na powrót odnalazłem swoje miejsce w beztroskim świecie czasu wojny, czasu bliskiej śmierci, czasu otuchy i ziemskich przyjemności.

Rupert St Loo spodobał mi się ogromnie. Wyglądał na pierwszorzędnego oficera, a przy tym miał wyjątkowo pociągającą osobowość. Wrażliwy, o łagodnym usposobieniu i żywej inteligencji, należał do ludzi, którzy byliby w stanie położyć fundamenty pod nowy świat. Oto miałem do czynienia z mężczyzną z dobrymi tradycjami, a jednocześnie z umysłem otwartym na nową rzeczywistość.

Niebawem dołączyła do nas Teresa z Robertem i wytłumaczyła, na czym polega istota naszego

zaangażowania w gorączkę przedwyborczą. Rupert przyznał się, że nie ma w sobie żyłki polityka. W tym momencie nadeszła wylewna pani Carslake, ociekający lepką serdecznością i od progu zachwycony spotkaniem z lordem St Loo kapitan Carslake, a wraz z nimi nasz kandydat, major Gabriel.

Rupert St Loo i Gabriel wymienili uprzejme słowa powitania i chwilę rozmawiali o kampanii; Rupert życzył majorowi szczęścia. Stali obaj w pełnym słońcu i pewnie dlatego rzucił mi się w oczy kontrast, wyrazisty, okrutny kontrast między nimi. Nie chodziło tylko o urodę Ruperta i brzydotę Gabriela; chodziło o coś istotniejszego. Rupert St Loo był zrównoważony i pewny siebie. Cechowała go wrodzona uprzejmość i dobre maniery. Czuło się, że jest to mężczyzna nieskończenie prawy. Chiński kupiec, jeśli odwołałbym się do takiego porównania, nie wahałby się powierzyć mu towaru bez zapłaty z góry — i nie omyliłby się w swoich rachubach. Gabriel prezentował się nieciekawie na jego tle — był nerwowy, zbyt apodyktyczny, rozstawiał szeroko nogi, wiercił się niespokojnie. Wyglądał, biedaczysko, mizernie i pospolicie, gorzej, wyglądał na człowieka, który kupczy swoją uczciwością. Był niby pies o wątpliwym rodowodzie, który radzi sobie całkiem nieźle, dopóki nie zaprezentuje się go na wystawie psów rasowych.

Mruknałem coś na ten temat cło stojącego obok mnie Roberta. Ten pojął, o co mi chodzi i spojrzał uważnie na obu mężczyzn. Gabriel nadal przestępował niespokojnie z nogi na nogę. Rozmawiając z Rupertem, musiał unosić wzrok ku górze, a wątpię, by mu się to podobało.

Był jeszcze ktoś inny, kto ich obserwował — Isabella. Przez jakiś czas błdziła spojrzeniem od jednego do drugiego, lecz ostatecznie skupiła całą uwagę na kuzynie. Z rozchylonymi wargami, lekko zarumieniona, z dumnie odrzuconą do tyłu głową, przedstawiała sobą przyjemny widok. Robert obdarzył ją jednym krótkim spojrzeniem. Wpatrywał się uważnie w twarz młodego lorda.

Kiedy wszyscy weszli do środka, żeby się czegoś napić, zostawiając mnie na tarasie tylko z Robertem, zapytałem go, co myśli o Rupercie St Loo. Dał mi dziwną odpowiedź:

— Powiedziałbym, że przy jego narodzinach nie było ani jednej złej wróżki.

Rozdział dziewiętnasty

No cóż, Rupertowi i Isabelli nie trzeba było wiele czasu na powzięcie decyzji. Według mnie, wszystko zostało rozstrzygnięte już w momencie ich pierwszego spotkania na tarasie, przy moim fotelu. Oboje, jak myślę, odetchnęli z ulgą, przekonawszy się, że od lat potajemnie pieszczone w sercach marzenie w momencie próby nie obróciło się wniwecz. Ponieważ także Rupert, jak mi to wyznał kilka dni później, snuł podobne plany.

Jego i mnie połączyły prawdziwe zażyłe stosunki. On również cieszył się z męskiego towarzystwa, zwłaszcza że atmosfera w zamku była duszna od kobiecej adoracji. Trzy stare damy nie widziały poza nim świata i bynajmniej się z tym nie kryły. Nawet lady St Loo nieco się wyżyła zwykłej sobie powściągliwości.

Tak więc Rupert lubił przychodzić do mnie i lubił ze mną rozmawiać.

— Tak sobie myślę — powiedział ni stąd, ni zowąd któregoś dnia — że oszalałem na punkcie Isabelli. Mów, co chcesz, ale to dziwne: powziąć zamiar poślubienia kogoś, kto jest jeszcze dzieckiem i to chudym, i wytrwać w tym zamiarze przez szereg lat. Powiedziałem, że znam podobne przypadki. — Jak przypuszczam, sedno sprawy tkwi w tym — mówił zamyślony — że Isabella i ja, że my oboje... Widzisz, zawsze czułem, że ona jest częścią mnie, oderwaną, ale moją, i że przyjdzie dzień, kiedy ta część połączy się ze mną w jedną całość. Zabawne. To dziwna dziewczyna. — Palił przez kilka chwil w milczeniu, a potem rzekł: — Wiesz, chyba najbardziej lubię w Isabelli ten jej zupełny brak poczucia humoru.

— Naprawdę go nie ma?

— Ani odrobiny. To jest cudowne... To mnie uspokaja, wycisza. Zawsze podejrzewałem, że poczucie humoru jest jedynie salonowym wybiegiem, jaki my, ludzie cywilizowani, wymyśliliśmy sobie jako swego rodzaju odtrutkę na rozczarowanie. Świadomie doszukujemy się w rzeczach i czynach czegoś zabawnego, aby tylko nie przyznać się, że nie spełniają one naszych oczekiwań.

Chyba coś w tym jest, pomyślałem, uśmiechając się krzywo... Tak, Rupert St Loo chyba się nie myli. Zapatrzył się na zamek, a potem wyrzucił z siebie jednym tchem:

— Kocham to miejsce. Zawsze je kochałem, chociaż dobrze się stało, że aż do czasu przyjazdu do Eton wychowywałem się w Nowej Zelandii. To wyrobiło we mnie niezależność sądu. Mogę patrzeć na nie, na to miejsce, z zewnątrz równie dobrze, jak utożsamiać się z nim. Przyjeżdżać tu z Eton na wakacje... wiedzieć, że ono należy do mnie, że pewnego dnia będę w nim mieszkał... postrzegać je jako coś, co zawsze chciałem mieć... odnosić wrażenie — od pierwszego razu, kiedy je ujrzałem — niesamowite wrażenie, że przekraczam rodzinne progi. A Isabella zawsze była częścią tego miejsca. I wtedy, i zawsze miałem pewność, że pobierzemy się i spędzimy tu resztę naszego ziemskiego żywota. — Zacisnął szczęki. — I spędzimy! Mimo podatków, kosztów i remontów i na przekór groźbie nacjonalizacji. To jest nasz dom, Isabelli i mój.

Oficjalne zaręczyny odbyły się piątego dnia po powrocie Ruperta.

To lady Tressilian przyniosła nam tę wiadomość. Mają być ogłoszone w „The Times” jutro lub pojutrze, powiedziała, ale zależało jej na tym, żebyśmy pierwsi o tym usłyszeli. No a ona jest tak bardzo, bardzo szczęśliwa!

Jej dobra, okrągła twarz promieniowała sentymentalną radością. Oboje, Teresa i ja, czuliśmy się wzruszeni jej szczęściem. Najwyraźniej starej damie los poskąpił pewnych przywilejów. W tak radosnej chwili zapomniała o matkowaniu mojej skromnej osobie, co sprawiło, że cieszyłem się z jej towarzystwa o wiele bardziej niż zazwyczaj. Po raz pierwszy nie przyniosła mi żadnych broszur i nawet nie usiłowała dodawać mi otuchy. To było oczywiste, że Isabella i Rupert całkowicie zaprzętały jej myśli. Postawy dwóch pozostałych starych dam były nieco odmienne. Pani Bigham Charteris zdwoiła energię i animusz. Zabrała Ruperta na bardzo długi spacer wokół posiadłości, przedstawiła go dzierżawcom i wyłożyła dokładnie, jakie naprawy zdecydowanie muszą być wykonane, a co może czy musi poczekać na lepsze czasy.

— Nie przejmuj się, Amos Polflexen zawsze gdera. Dwa lata temu miał odnawiane całe mieszkanie. Ale coś trzeba zrobić z kominem Ellen Heath. Ellen znosi niewygody w milczeniu, jest bardzo cierpliwa, lecz nie można zapominać, że Heathowie są naszymi dzierżawcami od trzystu lat.

Jeśli chodzi o lady St Loo, byłem zdezorientowany. Nie rozumiałem, co się z nią dzieje. Aż pewnego dnia znalazłem klucz do zagadki. Lady St Loo triumfowała. To był triumf, choć nader dziwny; może raczej rodzaj uniesienia, niby po wygranej bitwie z niewidzialnym i nie istniejącym wrogiem.

— Teraz wszystko się dobrze ułoży — powiedziała do mnie i westchnęła głęboko.

Mógłbym się założyć, że usłyszałem nieme zawołanie: „Panie, twoja służebnica może odejść w pokój...” Czyżbym miał do czynienia z kimś, kto żył w ciągłym, choć skrętnie skrywanym przed światem strachu, a teraz wie, że ma ten strach za sobą?

No cóż, przypuszczam, że szansę na powrót młodego lorda St Loo i na jego ożenek z kuzynką, której nie widział przez osiem lat, były znikome. O wiele bardziej prawdopodobne było to, że podczas wojny poślubi jakąś cudzoziemkę — wojna sprzyja szybkiemu kojarzeniu małżeństw. Tak, lady St Loo rzeczywiście mogła nie mieć wielkich nadziei... A jednak Rupert wrócił, a Isabella na niego czekała. Wszystko układało się dobrze.

Zapytałem Teresę, co o tym sądzi.

— To fantastyczna para — odpowiedziała.

— Wprost stworzona dla siebie. Tak mówią na weselach starzy służący, ale tym razem to prawda.

— Nie do wiary, a jednak prawda... Czy nie zdaje ci się czasami, Hugh, że jesteś teraz bardziej ożywiony?

Rozwahałem przez kilka chwil, co mam jej odpowiedzieć. Dobrze wiedziałem, o czym myśli.

— Nic, co dzieje się na zamku St Loo, nie jest realne — rzekłem wymijająco.

Byłem zmuszony do wysłuchania opinii Johna Gabriela. Ten jak zwykle nie poskąpił mi szczerości, toteż nietrudno przyszło mi się zorientować, że nie lubi lorda St Loo. To było całkiem naturalne, zważywszy, że Rupert St Loo niewątpliwie go ubiegł.

Całe miasteczko było poruszone przyjazdem prawowitego właściciela zamku. Rdzenni mieszkańcy szczycili się kilkusetletnim tytułem młodego lorda i pamiętali jego ojca, przybysze natomiast, jak to bywa w takich sytuacjach, okazali się zwykłymi snobami.

— Odrażające stado baranów — podsumował jednych i drugich Gabriel. — To zdumiewające, jak Anglik kocha się w tytułach.

— Proszę nie nazywać Kornwalijczyka Anglikiem — zaprotestowałem. — Jeszcze się pan tego nie nauczył?

— Och, zwykłe przejęzyczenie. Ale czyż nie mam racji? I jeden, i drugi albo się płaszczy, albo popada w inną skrajność, i mówi, co za farsa, te wszystkie tytuły i dostaje szału. Czy w obu wypadkach nie mamy do czynienia ze zwykłym snobizmem?

— A gdzie lokują się pańskie uczucia? — zapytałem.

Gabriel czym prędzej obdarzył mnie szerokim uśmiechem. Lubił przedstawiać się w złym świetle.

— Jestem snobem do szpiku kości — powiedział. — Najbardziej na świecie pragnąłbym urodzić się jako Rupert St Loo.

— Zadziwia mnie pan, przyznaję.

— Jest parę takich rzeczy, z którymi człowiek pragnąłby się urodzić. Ja, na przykład, oddałbym wszystko, aby mieć jego nogi — powiedział Gabriel, błędząc gdzieś myślami.

Pamiętałem dobrze, co powiedziała lady Tressilian na pierwszym mityngu wyborczym Gabriela; jego spostrzegawczość zaimponowała mi, doprawdy. Zapytałem go, czy Rupert St Loo go ubiegł.

Gabriel podszedł do sprawy merytorycznie, nie okazując po sobie cienia zdenerwowania. Nie, powiedział, on uważa, że wszystko jest w porządku, ponieważ lord St Loo nie jest jego oponentem politycznym. Uważa, że przyjazd lorda to dodatkowy element propagandy na rzecz Partii Konserwatywnej.

— Chociaż śmiem twierdzić, że gdyby on startował w wyborach, to znaczy, gdyby mógł startować (a nie może, będąc członkiem Izby Lordów), wybrałby prawdopodobnie laburzystów.

— Ależ skąd — obruszyłem się. — Nie jako właściciel ziemski.

— Oczywiście, nie podobałby mu się projekt nacjonalizacji majątków ziemskich, to jasne,

Norreys, ale w dzisiejszych czasach wszystko się zmienia. Farmerzy i solidna klasa robotnicza są zagorzałymi konserwatystami, a młodzi ludzie z intelektem, ze stopniami naukowymi i z kupą forsy popierają laburzystów, głównie dlatego, jak przypuszczam, że nie mają zielonego pojęcia ani o życiu z pracy rąk, ani o tym, czego tak naprawdę chce robotnik.

— A czegoż to tak naprawdę chce? — zapytałem po to tylko, aby raz jeszcze usłyszeć jedną z wielu znanych mi już odpowiedzi Gabriela.

— On chce, aby w kraju był dobrobyt, bo wówczas i jemu będzie się dobrze powodziło. Robotnik myśli, że ten dobrobyt i jemu, i krajowi zapewnią konserwatyści, ponieważ to oni znają rzeczywistą wartość pieniądza; i myśli rozsądnie. Powiedziałbym, że lord St Loo jest prawdziwie staroświeckim liberałem, a oczywiście, nikt takiego dzisiaj nie potrzebuje. Nie, nie potrzebuje, Norreys, szkoda pańskiego gadania. Lepiej niech pan zaczeka na rezultat wyborów. Zredukujemy liberałów, potrzebne będzie szkło powiększające, żeby jakiegoś odnaleźć w tłumie. Nikomu nie podobają się ich hasła, naprawdę, to znaczy, nikt nie lubi drogi pośredniej. Droga pośrednia to czyste mydlenie oczu.

— A czy pan postrzega Ruperta St Loo jako orędownika drogi pośredniej?

— Tak. To umiarkowany człowiek — trzyma ze starym i spogląda ku nowemu — a tak naprawdę, to z niego ani ryba, ani mięso, ani dobry wędzony śledź. Rupert St Loo to piernik, i to wszystko!

— Co takiego?!

— Słyszał pan, co powiedziałem. St Loo to piernik! Pan na zamku z piernika! — Parsknął ze złości. — Piernikowe wesele!

— I piernikowa narzeczona?

— Nie. Ona jest w porządku... Ona po prostu zabłądziła, jak Jaś i Małgosia. Zabłądziła i trafiła do domku z piernika. Skusiła się na pierniczki. Chciała skubnąć jednego i zjeść. Pierniki są przecież jadalne.

— Nie bardzo lubi pan Ruperta St Loo, czyż nie?

— A powinienem? Jeśli już przy tym jesteśmy, on nie lubi mnie.

Zastanawiałem się przez chwilę. Nie, nie wydawało mi się, by Rupert St Loo nie lubił Johna Gabriela.

— No cóż, będzie mnie tu miał — powiedział Gabriel. — Bo ja tu będę; będę członkiem parlamentu z jego okręgu. Od czasu do czasu będzie musiał zapraszać mnie na obiad i to przy moim boku będzie zasiadał na wiecach.

— Jest pan bardzo pewny siebie, Gabriel. Do wygranej jeszcze trochę czasu.

— Powtarzam to panu raz za razem, że sprawa jest oczywista. Wygram. Nie mam innej możliwości. Dokonuję pewnego eksperymentu. Jeśli się nie uda, zszargam swoje nazwisko, a sam

będę wykończony. Nie mogę wrócić do żołnierki. Widzi pan, nie jestem żołnierzem zawodowym, przydaję się jedynie na froncie. Kiedy skończy się wojna z Japonią, ja też się skończę. Zabraknie zajęcia dla Otella.

— Otello nigdy nie był dla mnie wiarygodnym charakterem.

— Oczywiście. Zazdrość nigdy nie jest wiarygodna. — Powiem inaczej: Otello nie wzbudza mojego współczucia. Trudno go żałować. To zwykły głupiec.

— To prawda — powiedział Gabriel. — Trudno go żałować. Żałować tak, jak się żałuje Jaga.

— Żałować Jaga? Doprawdy, Gabriel, ma pan dziwne upodobania.

Spojrzał na mnie spod oka.

— Nie — powiedział. — Na nic by się nie zdały moje tłumaczenia. Pan i tak nic by nie zrozumiał.

Podniósł się i zaczął krążyć gwałtownie tu i tam. Przesunął odrobinę jakiś przedmiot na biurku. Potem drugi. Spostrzegłem z pewnym zdumieniem, że działa pod wpływem głębokich, niewypowiedzianych emocji.

— Rozumiem Jaga — powiedział. — I rozumiałbym nawet wówczas, gdyby biedaczysko nie powiedział nic innego poza: „Wiecie już dosyć, nie pytajcie więcej, Odtąd nie powiem ani słowa”.

Stanął ze mną twarzą w twarz.

— Faceci tacy jak pan, Norreys, faceci, którzy są pogodzeni ze sobą przez całe życie, którym dane było dorosnąć bez kiwnięcia palcem w bucie (że się tak wyrażę), co, do diabła, tacy faceci mogą wiedzieć o Jagu i jemu podobnych — o mężczyznach z góry skazanych na przegraną, o mężczyznach, z którymi się nikt nie liczy? Mój Boże, gdybym kiedykolwiek wystawiał Szekspira, poszukałbym Jaga na ulicy, dostałbym aktora z prawdziwego zdarzenia.. Mój aktor poruszyłby cię do bebeczków, Norreys! Niechże pan sobie wyobrazi, co to znaczy urodzić się tchórzem, co to znaczy kłamać i oszukiwać, ach, do diabła z tym, co to znaczy kochać pieniądze tak bardzo, że człowiek się budzi, je, śpi i całuje żonę, a w głowie huczy mu jedno słowo: forsa. A przy tym cały czas mieć świadomość, kim się jest.

To piekło na ziemi — ciągnął — mieć przy narodzinach tylko jedną dobrą wrózkę pośród wielu złych. Bo kiedy reszta zgrai zamienia człowieka w śmierdzącego skunksa, ta jedna baśniowa zjawa wymachuje czarodziejską różdżką i wygrywa na flecie, przechwalając się: „Dałam mu dar widzenia i dar pojmowania...” „Kochajmy Pana za jego dary...” Jakież to przeklęty głupiec wypowiedział te słowa? Założyłbym się, że nikt inny, jak tylko Wordsworth, ten cholerny piewca natury, który żył w przepychu i pierwiosnki nie były mu potrzebne do szczęścia.

Mówię panu, Norreys, powoli zaczyna się nienawidzić Boga. Tak, nienawidzić, bo okazuje się, że uroki świata nie są dla ciebie, bo nigdy nie staniesz się tym, kim chciałbyś być, nawet za cenę własnej duszy. Człowiek ceniący sobie odwagę często ucieka od nadchodzącego niebezpieczeństwa. Widziałem to, nie raz i nie dwa. Czy sądzi pan, że można być tym, kim się chce? Że ma się wybór?

Człowiek jest taki, jakim się rodzi. Czy sądzi pan, że głupiec, który modli się do pieniędzy, chce się modlić do pieniędzy? Czy uważa pan, że rozpustnik, który ulega własnym zmysłom, chce ulegać własnym zmysłom? A ten, który ucieka, ucieka z własnej woli? Człowiek, któremu zazdrościsz (duszą i ciałem), Norreys, nie jest ulepiony z lepszej gliny. Człowiek, któremu zazdrościsz, najzwyczajniej w świecie jest od ciebie lepszy.

Jeśli osiągniesz dno, mój przyjacielu, nienawidzisz każdej ludzkiej istoty, która jest wyniesiona do gwiazd. Chcesz ściągnąć ją na dół... na dół... tam, gdzie tarzasz się we własnym łajnie... Szkoda Jaga, ot co. Byłby w porządku, gdyby nie spotkał Otella. Robiłby po cichu różne numery i wiodłoby mu się całkiem nieźle. Dzisiaj sprzedawałby frajerom z „Ritza” akcje nie istniejących kopalni złota.

Taki przymilny facet jak on zawsze potrafi nabrać prostego żołnierza. Nic łatwiejszego, niż nabierać wojskowych. Im wyższa szarża, tym więcej głupoty i naiwności w interesach. To wojskowi, nikt inny, skupują bezwartościowe akcje i angażują się w poszukiwania zatopionych galeonów z hiszpańskim złotem albo inwestują w farmy z drobiem, który zdycha. Wojskowi mają klapki na oczach. Otello był jednym z tych naiwniaków, którym dobry artysta potrafi wcisnąć każdą historyjkę, najmniej wiarogodną, a Jago był dobrym artystą. Trzeba umieć czytać tę sztukę, trzeba czytać między wierszami; przecież to jasne jak słońce, że Jago przywłaszczył sobie pieniądze pułku. Otello w to nie wierzy — och nie, nie ten uczciwy przyglup, Jago — drogiemu przyjacielowi po prostu pomieszał się rozum, lecz mimo to bierze stronę Kasja i ustanawia go zwierchnikiem Jaga. Wyobraź sobie, Norreys! Kasja, to liczydło! Tego księgowego! Przyzwoity, uczciwy gość ten Jago (tak myślał Otello), lecz nie dość bystry, by go awansować.

Pamięta pan pełne bufonady gadanie Jaga o własnym męstwie na polu bitewnym? To bzdury, Norreys. Brednie wyssane z palca. Zwykłe przechwalanki w pubie, w wykonaniu faceta, który nigdy nie był na linii frontu. Szelmostwa Falstaffa, tylko że tym razem mamy do czynienia z tragedią, a nie z komedią. Jago, biedaczysko, chciał być Otellem. Chciał być dzielnym żołnierzem i prawym człowiekiem, a nie mógł, nie mógł w sposób tak oczywisty, jak garbus nie może zrzucić z siebie garbu. Chciał imponować kobietom, a kobiety miały go za nic. Ta dobroduszna flądra, ta jego żona, pogardzała nim jako mężczyzną. Aż się paliła, by ‘wskoczyć do cudzego łóżka. Idę o zakład, że wszystkie myślały tylko o tym, jak by wskoczyć do łóżka Otella! Powiem panu, Norreys, widziałem na własne oczy, co dzieje się z mężczyzną, którego zhańbiła żona. Czysta patologia, proszę mi wierzyć. Szekspir to wiedział. Jago nie może otworzyć ust, by nie błuznać jadem pod adresem kobiet. Tylko że nikt nie zauważa, że ten mężczyzna cierpi! Mój Boże, Norreys, materialna zazdrość, zawiść wywołana czymś sukcesem, majątkiem, bogactwem jest niczym, niczym w porównaniu z zazdrością duchową! Ta ostatnia jest jak witriol, zżera twoje tkanki, niszczy cię. Szukasz ucieczki w Bogu, lecz nienawidzisz go za to, i nie spocznesz, dopóki go nie zniszczysz, dopóki nie strącisz go na dół i nie podepczesz... Tak, Jago cierpiał, może być pan tego pewien...

Powiem więcej. Szekspir to wszystko wiedział i w końcu żał mu się zrobiło nieszczęśnika. Przypuszczam, że pewnego dnia zanurzył gęsie pióro w atramencie czy w czymś, czego się wtedy używało, i zabrał się do kreślenia postaci na wskroś zepsutej kanalii. Ale żeby temu podołać, musiał być z Jagiem od początku do końca. Musiał mu towarzyszyć krok w krok, schodzić z nim na dno ludzkiej nędzy, musiał czuć to, co on czuł. To dlatego, kiedy nadchodzi czas zapłaty i kiedy to Jago ma płacić, Szekspir oszczędza jego dumę. Pozwala mu zatrzymać jedyną rzecz, jaka mu została —

niedomówienie. Szekspir sam znalazł się pośród martwych za życia mężczyzn. Wiedział, że jeśli ktoś przeżył piekło, nie lubi o tym mówić... — Gabriel obrócił się gwałtownie. Jego szpetna twarz była wykrzywiona; w oczach pojawił się błysk osobliwej szczerości. — A wie pan, Norreys, nie umiem wierzyć w Boga. W Boga Ojca, który ulepił z gliny zwierzęta i kwiaty, w Boga, który nas kocha i który nas bierze w opiekę, w Boga, stwórcy świata. Nie, nie wierzę w Boga. Lecz czasami — nic na to nie poradzę — wierzę w Chrystusa... Wierzę, bo Chrystus zszedł do piekieł... Aż tam... Tak wielką nosił w sobie miłość... To on obiecał raj skruszonemu łotrowi. A co z tym drugim? Z tym, który przeklinał i który obrzucał go obelgami? Chrystus zszedł z nim do piekieł. Być może potem... — Gabriel zadrżał. Otrząsnął się. W brzydkiej twarzy płonęły blaskiem piękne oczy. — Za dużo mówię — powiedział. — Żegnam.

Wyszedł nagle.

Ciekawe, pomyślałem, czy mówił o Szekspirze, czy o sobie samym. Chyba jednak o sobie, przynajmniej trochę...

Rozdział dwudziesty

Gabriel był pewien wyniku wyborów. Twierdził, że nie przewiduje niczego, co mogłoby go zmienić.

Tym czymś nieprzewidzianym okazała się dziewczyna, Poppy Narracott, barmanka w „Herbie przemytników” w Greatwithiel. John Gabriel nigdy jej nie widział ani nawet nie wiedział o jej istnieniu. A jednak to Poppy Narracott wprawiała w ruch wydarzenia, które mogły zaprzepaścić jego szansę wyborcze.

Otóż Poppy Narracott utrzymywała bardzo zażyłe stosunki z Jamesem Burtem. Lecz James Burt, kiedy dobrze sobie popił, był brutalny — sadystycznie brutalny. Nic zatem dziwnego, że po jakimś czasie Poppy miała wszystkiego dość i kategorycznie odmówiła dalszych schadzek.

To dlatego pewnej nocy James Burt wtoczył się do domu we wściekłym humorze i całą furję i żal do Poppy za zlekceważenie jego namiętnych uczuć postanowił wyładować na nieszczęsnej żonie. Zachowywał się jak ktoś, kto postradał rozum i Milly Burt, czemu nie można się dziwić, straciła kompletnie głowę. Pomyślała, że jeszcze trochę, a Jim ją zabije.

Wyrwawszy mu się z rąk, wybiegła przez frontowe drzwi na ulicę. Nie miała pojęcia, dokąd czy do kogo się udać. Szukanie ratunku na posterunku policji nigdy nie przysłoby jej do głowy, a w pobliżu nie było żadnych sąsiadów, tylko pozamykane na noc sklepy. To instynkt, nic innego, prowadził jej pospieszne kroki i skierował ją do mężczyzny, którego kochała — tego, który był dla niej miły i uprzejmy. Nie myślała, że może wywołać skandal, nie miała czasu na myślenie; była przerażona i biegła do Johna Gabriela. Była jak ścigane zwierzę, które szuka bezpiecznego schronienia.

Wpadła zadyszana, z rozwianymi włosami do „Królewskich herbów”, czując na karku oddech dyszącego okrutną zemstą męża. Tak się złożyło, że Gabriel był w hallu.

Jeśli o mnie chodzi, nie sadzę, aby mógł zrobić coś ponad to, co zrobił. Milly była kobietą, która mu się podobała, współczuł jej, a jej pijany mąż przedstawiał sobą realne zagrożenie. Kiedy James Burt wpadł na niego z wrzaskiem i przekleństwami, bez ogródek zarzucił mu utrzymywanie z jego żoną intymnych stosunków i zażądał, by zostawił ją w spokoju, Gabriel wysłał go cło wszystkich diabłów, dodając, że niewart jest żadnej żony i że on, John Gabriel, zamierza dopilnować, by tej nie stała się żadna krzywda.

James Burt runął na Gabriela jak szarżujący byk, a Gabriel, niewiele myśląc, znokautował go. Po całej awanturze wynajął pokój dla pani Burt i poradził, by się w nim dobrze zamknęła. Prawdopodobnie nie mogłaby teraz wrócić cło domu, powiedział, a także zapewnił, że rano wszystko się ułoży.

Następnego ranka w St Loo głośno było o całym zajściu. Jim Burt „poznał wreszcie prawdę” o

swojej żonie i majorze Gabrielu. A Gabriel i pani Burt nadal przebywali razem w hotelu.

Proszę sobie wyobrazić skutki takiej awantury tuż przed wyborami. Tak, głosowanie miało się odbyć już za dwa dni.

— On jest skończony — powtarzał raz za razem Carslake. Chodził tam i z powrotem po moim salonie. — My jesteśmy skończeni. Wdeptani w ziemię. Na pewno wygra Wilbraham. To katastrofa. To tragedia. Nigdy nie lubiłem faceta. Nieokrzesany prostak. Wiedziałem, że zawiedzie w krytycznej chwili.

Pani Carslake lamentowała w dystyngowany sposób.

— Oto jak się wychodzi na kandydacie, który nie jest dżentelmenem.

Mój brat rzadko uczestniczył w naszych politycznych dyskusjach. A jeśli tak, to ograniczał się na ogół do palenia fajki w zbożnym skupieniu. Tym razem wyjął fajkę z ust i przemówił:

— Kłopot w tym, że Gabriel zachował się jak dżentelmen.

Potraktowałem tę uwagę jako ironiczne stwierdzenie faktu, iż rażące odstępstwa Gabriela od akceptowanych dżentelmeńskich norm jedynie wzmacniają jego pozycję, podczas gdy odosobniony akt donkiszoterskiej rycerskości może go doprowadzić do upadku.

Niebawem pojawił się Gabriel we własnej osobie. Wcale nie miał skruszonej miny.

— I po co to całe zamieszanie, Carslake — rzucił od progu. — Niby jak miałem się zachować?

Carslake zapytał, gdzie jest pani Burt. W hotelu, powiedział Gabriel. Nadal w hotelu. Załatwił jej w nocy pokój, bo niby dokąd miała pójść. Zresztą, clodał, było zbyt późno. Okręcił się na pięcie w stronę Teresy, którą chyba uważał za jedyną w tym zespole osobę chodzącą po ziemi.

— Czyż nie mam racji?

Teresa odpowiedziała, że tak, że z pewnością było zbyt późno.

— Noc jest nocą — rzekł Gabriel. — A nocnymi sprawami interesuje się swoisty gatunek ludzi.

— Doprawdy, majorze Gabriel... — Carslake pryskał śliną. Był dogłębnie wstrząśnięty.

— Boże, jakie pan ma sprośne myśli — przerwał mu Gabriel. — Nie spędziłem z nią nocy, jeśli o to panu chodzi.

On wie, powiedział, że ta noc w hotelu zajmuje ludzkie umysły: ta noc, no i scena, jaką urządził Burt, i to wszystko, co wykrzykiwał o swojej żonie i o nim.

— A gdyby tak pani Burt gdzieś zniknęła — powiedział Carslake. — Gdziekolwiek. Gdyby ją gdzieś po prostu wyprawić. Być może... — Przez chwilę był pełen nadziei, lecz w końcu potrząsnął

głową. — Choć wyglądałoby to podejrzanie — stwierdził. — Bardzo podejrzanie...

— Dlaczego nie ma pan na względzie dobra samej pani Burt? — zapytał Gabriel.

— Ach, to nieistotna strona zagadnienia— odparł wyniośle Carslake. — Przede wszystkim musimy znaleźć jakiś sposób na wyciągnięcie pana z tego dołka.

— No właśnie — powiedział Gabriel. — Pani Burt się nie liczy, tak? Bo i któż to jest ta pani Burt? Nikt szczególny, prawda? Nieszczęsna, skromna dziewczyna, tyranizowana, źle traktowana, na pół przytomna ze strachu. Dziewczyna, która ani nie ma gdzie się podziać, ani nie ma pieniędzy. — Podniósł głos. — W takim razie coś panu powiem, Carslake. Nie podoba mi się pańska postawa. Pan powinien wiedzieć, że pani Burt to też człowiek. Dla pańskiej przeklętej maszyny politycznej nie liczy się nikt i nic poza wyborami. Przez takich jak pan polityka gnije od środka. Dwadzieścia lat temu konserwatysta Baldwin powiedział: „Gdybym mówił prawdę, przegrałbym wybory”. W porządku, ja nie jestem panem Baldwinem, ja nie jestem nikim szczególnym. I cóż słyszę od pana? Że zachowuję się jak zwykły człowiek, a więc przegram wybory? Może się pan wypchać tymi swoimi przeklętymi wyborami! To prawda, najpierw jestem zwykłym człowiekiem, a dopiero potem politykiem. Nigdy nie powiedziałem temu biednemu dziecku ani jednego słowa, którego nie powinienem powiedzieć. Nie uwiodłem pani Burt. Było mi jej cholernie żal, to wszystko. Ostatniej nocy tylko dlatego przyszła do mnie, że nie miała nikogo innego, do kogo mogłaby się zwrócić. Tak, została ze mną. Tak, zadbałem o nią. A teraz do diabła z całym St Loo i z parlamentem, i z całym tym przeklętym interesem.

— Majorze Gabriel. — Usłyszeliśmy piskliwy, udręczony głos pani Carslake. — Pan nie może tego zrobić! Załóżmy, że Burt się z nią rozwiedzie. I co wówczas?

— Wówczas ja się z nią ożenię.

— Pan nie może nas tak poniżyć, Gabriel. Pan nie może popisywać się tak jawnym skandalem — powiedział Carslake ze złością.

— Nie mogę, Carslake? Niechże pan zatem posłucha. Oczy Gabriela były najwścieklejszą rzeczą, jaką

kiedykolwiek widziałem. A on sam nigdy tak mi się nie podobał, jak w tamtej chwili.

— Pan mnie nie zastraszy. Jeśli gromada jakichś tępych wyborców chce mieć prawo do maltretowania własnej żony, do doprowadzania jej do utraty zmysłów i do obrzucania plugawymi, bezpodstawnymi oskarżeniami, to niech głosuje na Wilbrahama. Lecz jeśli nasi wyborcy opowiadają się za zwykłą chrześcijańską przyzwoitością, to zagłosują na mnie.

— Nie zagłosują, majorze Gabriel — powiedziała Teresa, wzdychając.

Gabriel popatrzył na nią i twarz mu złagodniała.

— Ma pani rację. Nie zagłosują. Robert jeszcze raz wyjął fajkę z ust.

— Banda idiotów — rzucił nieoczekiwanie.

— Oczywiście, panie Norreys, my wiemy, że pan jest komunistą — powiedziała z przekąsem pani Carslake.

Nie miałem pojęcia, o co jej chodziło. Wtedy otworzyły się drzwi na taras i w tę kipieli goryczy wkroczyła Isabella Charteris. Była spokojna, poważna, opanowana. Przyszła coś powiedzieć, więc zamierzała to zrobić. Nie zwracając uwagi na całe towarzystwo, podeszła wprost do Gabriela i odezwała się poufnym tonem.

— Myślę, że wszystko będzie dobrze. Gabriel utkwiał w niej wzrok. Wszyscy utkwiliśmy w niej wzrok.

— Z panią Burt, oczywiście.

Nie widać było po niej żadnego skrępowania. Wręcz przeciwnie. Wydawała się dziecinnie dumna. — Jest w zamku — mówiła dalej.

— W zamku? — powtórzył za nią Carslake, nie wierząc własnym uszom.

— Tak. Gdy tylko usłyszeliśmy, co się wydarzyło, pomyślałam, że tak będzie najlepiej. Rozmawiałam z ciocią Adelaide i ona się zgodziła. Pojechaliśmy prosto do „Królewskich herbów”.

To było, jak stwierdziłem później, zdecydowanie królewskie posunięcie, jedyny możliwy w tej sytuacji kontratak. Isabella raz jeszcze wykazała się przytomnością umysłu.

Stara lady St Loo, jak już powiedziałem, wywierała na miasteczko przemożny wpływ. Gdyby wzorcowy zegar w Greenwich był miarą moralności, a nie czasu, mogłaby go z powodzeniem zastąpić. Ludzie, jak to ludzie, pokpiwali sobie od czasu do czasu, nazywając ją staroświeckim przeżytkiem i reakcjonistką, co nie znaczy, że nie darzyli jej szacunkiem lub że odważyliby się potępić kogoś, kto cieszył się jej aprobatą.

Zajechała uroczyście pod hotel wiekowym daimlerem, z Isabellą u boku. Niezłomna postać, lady St Loo we własnej osobie, wmaszerowała pod „Królewskie herby” i zapytała o panią Burt. Skurczona ze strachu, z zaczerwienionymi od płaczu oczami Milly natychmiast zeszła na dół i została przyjęta tak, jakby za chwilę miała być pasowana na rycerza. Lady St Loo nie owijała słów w bawełnę ani nie zniżyła głosu.

— Moja droga — huknęła. — Jest mi bardziej przykro, niż to potrafię wyrazić, kiedy słyszę, przez co przeszedłeś. Major Gabriel powinien przyprowadzić cię do nas minionej nocy, lecz, jak przypuszczam, przez „wrodzoną delikatność nie chciał nas niepokoić o tak późnej porze.

— Ja... on... pani jest bardzo uprzejma.

— Zbierz swoje rzeczy, moja droga. Zabieram cię ze sobą.

Milly Burt zaczerwieniła się i szepnęła, że nie ma... doprawdy... żadnej rzeczy...

— Jestem głupia — powiedziała lady St Loo. — To zrozumiałe. Zatrzymamy się zatem przy twoim domu i zabierzemy je.

— Ale... — Milly jeszcze bardziej się skurczyła. — Wsiadaj do samochodu. Zatrzymamy się przy twoim domu i zabierzemy je.

Milly ustąpiła w obliczu tak niepospolitego autorytetu i trzy kobiety wsiadły do daimlera. Kawałek dalej, przy Fore Street, samochód zatrzymał się.

Lady St Loo była skrupulatna w wypełnianiu swojej misji. Wsiadła z Milly i razem z nią weszła do domu Burtów. James Burt, z oczami nabiegłymi krwią, wychylił się ze swego gabinetu gotów wybuchnąć wściekłą tyradą. Powstrzymało go jednak spojrzenie lady St Loo.

— Spakuj najpotrzebniejsze rzeczy, kochanie — powiedziała lady.

Milly czym prędzej czmychnęła na schody, a stara dama zwróciła się do Jamesa Burta:

— Zachował się pan haniebnie wobec własnej żony — powiedziała. — Całkiem haniebnie. Kłopot polega na tym, Burt, że pije pan za dużo. Nie sposób powiedzieć, by był pan miłym człowiekiem. Poradzę pańskiej żonie, aby w przyszłości nie miała z panem nim wspólnego. To, co pan o niej rozpowiada, jest kłamstwem, sam pan o tym wie. Czyż nie mam racji?

Srogie starcze oczy zahipnotyzowały niespokojnie wiercącego się mężczyznę.

— Czy ja wiem... to znaczy... jeśli pani tak mówi...

— Pan wie, że to zwykle kłamstwa.

— W porządku... w porządku... Ubiegłej nocy straciłem nad sobą panowanie.

— Raczy pan powiedzieć ludziom, że to były kłamstwa. W przeciwnym wypadku poradzę majorowi Gabrielowi, aby wytoczył panu proces. Ach, jest pani, pani Burt.

Milly Burt schodziła po schodach z małą walizką. Lady St Loo wzięła ją pod rękę i skierowała się ku drzwiom.

— Zaraz, zaraz, dokąd to idzie Milly? — zapytał jej mąż.

— Idzie ze mną do zamku — oznajmiła lady St Loo i dodała wojowniczo: — Chciał pan coś powiedzieć, panie Burt?

Burt pokręcił niepewnie głową.

— Radzę panu, panie Burt, wziąć się za siebie, nim będzie za późno. Przestać pić. Zająć się swoim zawodem. Przecież niezły z pana fachowiec. Jeśli dalej tak pójdzie jak teraz, mamie pan skończy. Weź się w garść, człowieku. To nietrudne, trzeba tylko spróbować. No i więcej powściągliwości w języku.

Potem obie z Milly wsiadły do samochodu. Milly usiadła obok lady St Loo, a Isabella naprzeciw. Nim skręciły do zamku, przejechały główną ulicą, objechały przystań i rynek. Trudno byłoby znaleźć w St Loo człowieka, który ich nie widział. To było naprawdę królewskie posunięcie.

Tego wieczoru ludzie mówili: „Na pewno wszystko jest w porządku, inaczej lady St Loo nie zabrałyby jej do siebie”.

Byli jednak i tacy, którzy obstawali przy tym, że nie ma dymu bez ognia, bo niby dlaczego Milly Burt wybiegła nocą z domu, dlaczego do majora Gabriela i że oczywiście lady St Loo popiera majora i łagodzi całą sprawę tylko z powodów politycznych.

Cóż, ci ostatni stanowili mniejszość. Ludzie liczą się z kimś, kto ma charakter. Lady St Loo miała charakter. Miała także opinię osoby absolutnie prawej. Jeśli Milly Burt przyjęto do zamku, jeśli lady St Loo siedziała u jej boku, to Milly Burt jest w porządku. Lady St Loo nie poręczyłaby za kogoś, kto nie jest wart zaufania. Nie stara lady St Loo. Przecież ona zawsze jest taka zasadnicza!

Isabella nakreśliła przed nami zaledwie zarys tych wydarzeń. Przyszła z zamku tuż po tym, jak umieszczono w nim Milly.

Kiedy Carslake pojął znaczenie jej słów, jego ponura twarz pojaśniała. Poklepał się po udach.

— Mój Boże — rzekł — mam nadzieję, że sztuczka się uda. Stara lady jest bystra. Bystra, i to jak. To sprytny pomysł.

Za ten spryt i bystrość należało jednak chwalić Isabellę. Byłem zdumiony, jak prędko potrafiła opanować całą sytuację.

— Natychmiast zabieram się do pracy — oznajmił Carslake. — Musimy iść za ciosem. Chodź, Janet. Majorze Gabriel...

— Przyjdę za chwilę — odparł Gabriel.

Kiedy Carslake'owie wyszli, Gabriel zwrócił się do Isabelli.

— Dlaczego pani tak postąpiła?

— Ależ... — Zmieszła się. — Myślałam o wyborach...

— To znaczy, że pani... że pani naprawdę zależy, by wygrali konserwatyści?

Spojrzała na niego zdziwiona.

— Nie, zależy mi, żeby pan wygrał.

— Ja?

— Tak. Chyba bardzo pan tego chce. Czyżbym się myliła?

Gabriela nieoczekiwanie opuściła zwykłą pewność siebie. Odwrócił twarz od Isabelli. Powiedział, bardziej do siebie niż do niej czy do kogoś z nas:

— Czy ja wiem...

Rozdział dwudziesty pierwszy

Jak już wspomniałem wcześniej, to nie jest szczegółowe sprawozdanie z kampanii politycznej. Tkwiłem poza głównym nurtem, w cichym zakolu mojego salonu i docierało do mnie jedynie echo tego, co się działo w miasteczku. A jednak doskonale wyczuwałem narastanie pospiesznej nerwowości, której ulegli wszyscy poza mną.

Od wyborów dzieliły nas dwa ostatnie szalone dni. W ciągu tych dwóch dni Gabriel dwa razy pokrępał się u mnie alkoholem. Był zachrypnięty od licznych przemówień na świeżym powietrzu, ledwo trzymał się na nogach, a mimo to jego witalność nie słabła. Za każdym razem mówił niewiele; widocznie oszczędzał i głos, i energię.

Opróżnił szklankę i mruknął z cicha:

— To piekło, nie życie! Bałamuci się ludzi opowiadaniem cholernych głupstw. Choć z drugiej strony ludzie w pełni sobie na to zasługują.

Teresa większość czasu spędziła na prowadzeniu samochodów.

Rankiem w dniu głosowania na Atlantyku rozszalał się sztorm. Wył wiatr i deszcz bębnił o szyby.

Isabella wstąpiła do mnie wcześniej, zaraz po śniadaniu. Ubrana była w płaszcz przeciwdeszczowy, jej włosy były wilgotne, a oczy błyszczące. Do płaszcza miała przypiętą imponujących rozmiarów, błękitną rozetkę.

— Przez cały dzień będę woziła ludzi do urn. Podsunęłam pani Burt myśl, że mogłaby przyjść i posiedzieć z panem. Co pan na to? W przeciwnym razie będzie pan skazany na samotność aż do wieczora.

Cóż, prawdę mówiąc, cieszyła mnie perspektywa dnia spędzonego tylko z książkami. Ostatnio aż nazbyt wiele osób dotrzymywało mi towarzystwa.

Zainteresowanie Isabelli moją samotnością było zupełnie do niej niepodobne. Pomyślałby kto, że ta dziewczyna zaczyna wchodzić w rolę swojej opiekuńczej ciotki Agnes.

— Zdaje się, że miłość działa na panią kojąco — powiedziałem zgryźliwie. — A może to pomysł lady Tressilhan?

Isabella uśmiechnęła się.

— Ciotka Agnes sama chciała posiedzieć z panem. Uważała, że może się pan czuć osamotniony, a także — jak to nazwała — wyrzucony poza nawias.

Popatrzyła na mnie badawczo. Tak, miałem rację, pomyślałem, Isabelli nie przysłoby nic takiego

do głowy.

— A pani tak nie uważa?

— No cóż, jest pan poza nawiasem — przyznała z właściwą sobie szczerością.

— Absolutna prawda.

— Nie chciałam sprawić panu przykrości. Sądzę jedynie, że wizyta ciotki Agnes i jej współczucie nic tu nie poprawi. W ten sposób zresztą i ona znalazłaby się „poza nawiasem”.

— Ma pani rację. Byłoby to dla niej przykre doświadczenie, zważywszy, że uwielbia płynąć z głównym nurtem.

— Pani Burt natomiast, tak czy inaczej, musi trzymać się z boku. No i pomyślałam sobie, że mógłby pan z nią porozmawiać.

— Porozmawiać? Z nią?

— Tak. — Na białym czole Isabelli pojawiły się delikatne zmarszczki. — Widzi pan, ja nie jestem dobra do rozmowy. Do słuchania zresztą też. A ona mówi i mówi.

— Pani Burt?

— Tak. I chyba bez sensu, choć trudno mi ocenić. Może pan to potrafi.

— A o czym to ona tak mówi i mówi?

Isabella przysiadła na poręczy fotela. Zaczęła zdawać relację wolno, ściągając brwi niby podróżnik opisujący zagadkowe zwyczaje dzikiego plemienia.

— O tym, co się zdarzyło. O ucieczce do majora Gabriela. O tym, że czuje się wszystkiemu winna. Że będzie oskarżana o przegrane wybory. Że była nieostrożna. Że powinna przewidzieć taki obrót sprawy. Że gdyby była miłsza dla Jamesa Burta i starała się go lepiej zrozumieć, może tyle by nie pił. Że nie śpi w nocy, rozważając, dlaczego postąpiła tak, a nie inaczej. Że jeśli zaszkodzi karierze majora Gabriela, nie wybaczy sobie do końca życia. Że poza nią nikt tu nie jest winien. Że zawsze i wszystko jest wyłącznie jej winą.

Isabella zamilkła i popatrzyła na mnie. Proszę, zdawała się mówić, oto wyłożyłam jak na talerz coś, co jest dla mnie całkiem niezrozumiałe.

Wróciło do mnie, niby odległe echo, wspomnienie Jennifer ściągającej swoje wspaniałe brwi i wielkodusznie przyjmującej na siebie winę za czyny innych. Kiedyś uważałem to za jedną z bardziej sympatycznych cech jej charakteru. Teraz, kiedy Milly Burt przyjmowała podobną postawę, taki pogląd stawał się nad wyraz irytujący. A więc, stwierdziłem w duchu cynicznie, inną miarką mierzy się postępki jakiejś miłej kobietki, a inną postępki kogoś, kogo się kocha.

— No cóż — powiedziałem zamyślony — może ona rzeczywiście czuje tak, jak mówi. Zgodzi się pani ze mną, Isabella?

Isabella poprzestała na jednej ze swych monosylabowych, stanowczych odpowiedzi: — Nie.

— Ale dlaczego nie? Proszę mi to wytłumaczyć.

— Przecież nie wiem, jak było naprawdę — powiedziała z wyrzutem. Pomyślała chwilę, ściągnęła brwi i zaczęła niezdecydowanie: — Albo się to wszystko mogło zdarzyć, albo nie. Być może martwi się pan przed czasem...

Isabella tamtego dnia wciąż mnie zaskakiwała. Mówiła dalej:

— Cóż, ze zmartwieniem to jest tak jak z wdepnięciem w krowi placek. Spaceruje się po polach i wchodzi w sam środek krowiego placka. No więc, uważam, że nie ma sensu rozprawiać o tym do końca spaceru, żałować, że się w coś wdepnęło, że nie poszło się inną drogą, mówić, że to dlatego, że nie patrzy się pod nogi, a także, że zawsze robi się same głupstwa. Stało się, krowi placek jest na twoim pantoflu, nie można go się pozbyć, lecz to nie znaczy, że należy o nim ciągle myśleć! Wokół jest pole i niebo, i żywopłot, a u swego boku ma się kogoś, z kim się spaceruje. O krowim placku wystarczy pomyśleć, kiedy wróci się do domu, i kiedy trzeba będzie wyczyścić pantofel. Wtedy tak, oczywiście...

Samooskarżanie się jest wdzięcznym tematem do rozmyślań. Zdążyłem już zauważyć, że Milly Burt oskarżała siebie nad wyraz ochoczo. Jednak nadal nie wiedziałem, dlaczego jedni ludzie mają ku temu skłonności, a inni nie. Teresa kiedyś dała mi do zrozumienia, że ludzie tacy jak ja, którzy nieustannie usiłują dodawać ducha innym i którzy starają się prostować cudze ścieżki, wcale nie są tak użyteczni, jak im się wydaje. Ale to wciąż jeszcze nie dotyczyło kwestii, dlaczego istoty ludzkie cieszą się wyolbrzymianiem swojej odpowiedzialności za bieg wydarzeń.

— No więc, chyba zechce pan z nią porozmawiać? — zapytała Isabella z nadzieją w głosie.

— A przypuścimy, że Milly Burt lubi, hm... lubi się oskarżać — rzekłem.

— Nie sądzę. On by tego nie zniósł. Myślę o majorze Gabrielu. Ciągłe zapewnianie kogoś, że „wszystko jest w porządku, musi być bardzo męczące.

Tak, przytaknąłem w duchu, niewątpliwie tak. Wszak miałem własne doświadczenia... Jennifer była nadzwyczaj męczącą istotą... Jednak Jennifer miała śliczne, falujące, czarnogranatowe włosy, wielkie, smutne, szare oczy i najcudowniejszy i najśmieszniejszy na świecie nosek...

Może Gabriel zasmakował w kasztanowych włosach i w łagodnych oczach Milly i zapewnianie jej, że wszystko jest w porządku, przychodziło mu całkiem łatwo.

— Czy pani Burt ma jakieś plany?

— Tak. Babka znalazła jej posadę damy do towarzystwa w Sussex, u znajomej rodziny. Nieźle sobie zarobi, a przy tym nie napracuje się wiele. Jest stamtąd dobre połączenie kolejowe z

Londynem, więc będzie mogła spotykać się z przyjaciółmi.

Kogo, zastanawiałem się, Isabella ma na myśli, mówiąc o przyjaciółach? Majora Johna Gabriela? Milly była zakochana w Gabrielu. Ciekawe, zastanawiałem się dalej, czy on w niej też, choćby trochę. Skłonny byłem uważać, że tak.

— Mogłaby się rozwieść z mężem — ciągnęła Isabella. — Ale rozwód dużo kosztuje. — Podniosła się. — Muszę już iść. Porozmawia pan z nią, prawda? — Przystanęła przy drzwiach. — Rupert i ja pobieramy się za tydzień — powiedziała miękko. — Czy możemy się spodziewać pana w kościele? Skauci po— pchają pański wózek, oby tylko była ładna pogoda.

— Chciałaby pani, żebym przyszedł?

— Tak, bardzo bym chciała.

— A zatem przyjdę.

— Dziękuję. Spędzimy ze sobą tydzień, a potem Rupert wróci do Birmy. Mam nadzieję, że wojna nie potrwa już długo.

— Jest pani szczęśliwa, Isabello? — spytałem cicho. Skinęła głową potakująco.

— Wydaje się niemal straszne, kiedy coś, o czym się myśli przez lata, wreszcie się spełnia... O Rupercie myślałam zawsze, ale było to po trochu bujanie w obłokach... — Popatrzyła na mnie. — Trudno mi uwierzyć w realność tego, co się stało. Wciąż boję się chwili przebudzenia, boję się, że tylko śniłam... — Dodała prawie szeptem: — Mieć wszystko... Ruper— ta... St Loo... spełnione marzenia... — Nagle poderwała się jak ptak do lotu. — Nie powinnam siedzieć tak długo — krzyknęła. — Dali mi tylko dwadzieścia minut na filiżankę herbaty!

A więc byłem dla Isabelli filiżanką herbaty. Milly Burt przyszła do mnie po południu. Najpierw zmagająca się z gumowym płaszczem i z kapturem, i z kaloszami, potem wygładziła odrzucone do tyłu lśniące włosy, ukradkiem przypudrowała nos, aż wreszcie usiadła. Rzeczywiście była i bardzo ładna, i bardzo miła. Nie dało się nie lubić Milly Burt, nawet gdyby się chciało, a ja naturalnie nie chciałem.

— Mam nadzieję, że nie czuje się pan straszliwie opuszczony? — powiedziała. — Dostał pan lunch? Wszystko w porządku?

Zapewniłem ją, że moje życiowe przyjemności zostały w pełni zaspokojone.

— A poza tym — dodałem — niebawem wypijemy po filiżance herbaty.

— To będzie bardzo miłe. — Poruszyła się niespokojnie. — Och, kapitanie Norreys, pan naprawdę uważa, że on wygra?

— Za wcześnie o tym mówić.

— Och, chodzi mi tylko o pańską opinię. — Jestem pewien, że ma spore szansę — powiedziałem uspokajająco.

— Wygrana byłaby pewna, gdyby nie ja! Jak mogłam być tak głupia, tak niegodziwa. Och, kapitanie Norreys, nie mogę przestać o tym myśleć. Obwiniam siebie strasznie, ale to naprawdę strasznie.

A więc jednak.

— Ja na pani miejscu przestałbym się zadręczać — poradziłem.

— Jakżebym mogła? — Ogromne, rzewne oczy rozwarły się szeroko.

— To wcale nietrudne. Wystarczy ćwiczyć silną wolę i panować nad sobą.

Milly popatrzyła na mnie sceptycznie. Nieomal z dezaprobatą.

— Nie sądzę, bym mogła sobie pozwolić na niefrasobliwość. Zwłaszcza kiedy wszystkiemu jestem winna.

— Moja droga dziewczyno, twoje zale nie pomogą Gabrielowi wejść do parlamentu.

— No... nie, oczywiście... Ale jeśli złamię mu karierę, nigdy sobie tego nie wybaczę.

Skąd ja to znałem... Ileż to godzin spędziliśmy z Jennifer na podobnych dyskusjach. Tyle że teraz, wolny od osobistych odniesień i dawnego romantyzmu, potrafiłem zachować zimną krew. A to stawiało problem w całkiem innym świetle. Lubiłem Milly Burt, ale uważałem, że wpada w przesadę.

— Na litość boską — zawołałem — proszę nie robić takiego hałasu wokół całej sprawy! Choćby przez wzgląd na Gabriela, jeśli nie na siebie samą.

— Powoduję się wyłącznie dobrem majora Gabriela.

— Czyżby pani sądziła, że ten biedak mało dźwiga na swoich barkach? Że potrzebne mu cudze łyzy i wyrzuty sumienia?

— Ale jeśli przegra wybory...

— Jeśli przegra wybory (których jeszcze nie przegrał), i jeśli to pani przyczyni się do takiego rezultatu (a nie sposób przewidzieć żadnego), czyż nie będzie to dla niego wystarczająco przykre? Czy czyjeś wyrzuty sumienia nie pogorszą sprawy?

Trochę zbiłem ją z tropu, choć nie do końca.

— Ale ja chcę wynagrodzić wyrządzone zło — obstawała przy swoim.

— To nie takie proste. Chyba że udałoby się pani przekonać Gabriela, że przegrana w wyborach może stanowić dla niego wspianą okazję do zmierzenia się z życiem z jego innej, ciekawszej strony.

Milly Burt spłoszyła się.

— Och — szepnęła — nie wydaje mi się, bym potrafiła to zrobić.

Miała rację. Do tego potrzebna by była kobieta zaradna i bez skrupułów. Teresa, gdyby los wyznaczył jej rolę pocieszycielki Johna Gabriela, na pewno świetnie by ją odegrała. Teresy metodą na życie jest ciągły atak. Milly Burt była natomiast, co do tego nie miałem żadnych wątpliwości, malowniczym wyobrażeniem ciągłej porażki. Może jednak John Gabriel lubił zbierać rozbite skorupki i sklejać je na nowo w jedną całość. Kiedyś sam to lubiłem.

— Pani go bardzo lubi, prawda? — zapytałem. Brązowe oczy napełniły się łzami.

— Och, tak... tak, istotnie. On jest... to znaczy, chcę powiedzieć, że jeszcze nigdy nie spotkałam kogoś mu podobnego.

Mnie też się to nie udało, a mimo to major Gabriel nie wywoływał we mnie żadnych czułych wzruszeń.

— Zrobiłabym dla niego wszystko, kapitanie Norreys. Naprawdę.

— Samo to, że się pani nim przejmuje, znaczy wiele. Reszta niech zostanie tak, jak jest.

Kto powiedział: „Kochaj je, lecz zostaw samym sobie”? Jakiś psycholog w poradniku dla matek? W tej radzie kryło się dużo mądrości i to nie tylko w odniesieniu do dzieci. Ale czy rzeczywiście potrafimy zostawić kogoś samemu sobie? Może naszych wrogów, choć również z pewnym wysiłkiem. Lecz tych, których kochamy...?

Poniechałem tego, co się nazywa jałowym myśleniem, zadzwoniłem i poprosiłem o herbatę.

Przy herbacie zapamiętałem rozprawiłem o filmach, które oglądałem rok temu. Milly lubiła kino i w drodze rewanżu wprowadziła mnie w świat ostatnich arcydzieł. Czas upływał nam całkiem przyjemnie, toteż przyznaję: rozstałem się z Milly z niemałym żalem.

Nasi frontowcy wracali do domu o różnych godzinach. Byli znużeni, a ich nastroje wahały się między optymizmem a rozpaczą. Jedynie Robertowi udało się zachować zwykłą pogodę i równowagę ducha. Znalazł on w wyeksploatowanym kamieniołomie przewrócony buk i to było dokładnie to, za czym jego dusza od dawna tęskniła. A poza tym zjadł niezwykle dobry lunch w jakimś małym przydrożnym barze. Sprawy dotyczące malowania i jedzenia zawsze stanowiły główny temat rozmów mojego brata. Zresztą wcale nie najgorszy.

Rozdział dwudziesty drugi

Następnego dnia późnym wieczorem Teresa wpadła do pokoju, odgarnęła ze zmęczonej twarzy kosmyk ciemnych włosów i powiedziała:

— W porządku, wygrał!

— Z jaką przewagą? — spytałem.

— Dwieście czternaście głosów. Gwizdnąłem.

— Zatem ledwo, ledwo.

— Tak, Carslake myśli, że gdyby nie ta cała afera z Milly, przeszedłby okrągłym tysiącem. Albo i lepiej.

— Carslake nie ma pojęcia o czym mówi. I to jak mało kto.

— W całym kraju jest okropne przesunięcie na lewo. Wszędzie wygrywają laburzyści. Nasze zwycięstwo będzie dla konserwatystów jednym z nielicznych.

— Gabriel miał rację — przyznałem. — Przepowiedział to, pamiętasz.

— Rzeczywiście. Jego sądy są niesamowite.

— W porządku — powiedziałem. — Mała Milly Burt pójdzie tej nocy do łóżka szczęśliwa. Nie zatarła żadnego trybu w wyborczej machinie. Jaka to będzie dla niej ulga.

— Czy na pewno?

— Co cię ugryzło, Tereso? — zachnąłem się. — To małe stworzenie jest bez reszty oddane Gabrielowi.

— Wiem, dobrze wiem. — Dodała zamyślona: — Zresztą oni pasują do siebie. Myślę, że Gabriel mógłby być z nią dość szczęśliwy, to znaczy, jeśli w ogóle chce być szczęśliwy. Niektórzy ludzie nie chcą.

— Nigdy nie zauważyłem, by John Gabriel kierował się w życiu przesadną ascezą. Powiedziałbym raczej, że nie obchodzi go prawie nic poza urządzeniem się i zgarnięciem pod siebie tak dużo, jak się da. Tak czy inaczej, zamierza poślubić grubszą forszę. Sam mi to powiedział. Spodziewam się, że swego dopnie. On jest wyraźnie nastawiony na sukces, na niewyszukane formy sukcesu. Jeśli chodzi o Milly, to zdaje się, że los obsadził ją w roli ofiary. No, Tereso, zgaduję, co mi powiesz: Milly to odpowiada, prawda?

— Nie, oczywiście, że nie. Ale trzeba mieć prawdziwie silny charakter, Hugh, by powiedzieć: „Zrobiłem z siebie kompletnego osła”, i z uśmiechem na ustach iść dalej. Ludzie słabi tego nie potrafią. Ludzie słabi postrzegają popełnione przez siebie błędy nie jako zwykłą nieporadność, lecz jako oczywistą winę; grzech, za który nie ma wybaczenia. Nie — wierzę w diabła — dodała szorstko. — Całe zło, i to na ogół w dobrych intencjach, sprowadzają na świat ludzie słabi. Przy tym jawi się im ono w cudownie romantycznym świetle. Boję się ich. Ludzie słabi są niebezpieczni. Są jak porzucone okręty, które dryfują w ciemnościach i rozbijają inne, zdatne do żeglugi.

Gabriel przyszedł do mnie dopiero następnego dnia. Był wyczerpany i bez właściwej sobie żywotności. Z trudem rozpoznawałem w nim mężczyznę sprzed dwóch dni.

— Powyborczy kac?

Jęknął głucho.

— Pan to powiedział. Okazuje się, że sukces może przyprawić o mdłości. Gdzie jest najlepsze sherry?

Powiedziałem mu, a wtedy on napełnił dwa kieliszki.

— Nie przypuszczam, by Wilbraham był szczególnie dumny z przegranej — zauważyłem.

Gabriel uśmiechnął się blado.

— Nie, na pewno nie. Biedak bierze siebie i całą politykę całkiem poważnie. Chyba nieco zbyt poważnie. Szkoda, że jest tak bezbarwny.

— Przypuszczam, że padły między wami wszystkie odpowiednie na taką okazję słowa: o czystej sportowej walce, o uczciwym współzawodnictwie i tak dalej?

Znów się uśmiechnął.

— Och, poćwiczyliśmy te rzeczy nieźle. Carslake świadkiem. Ależ z niego osioł! Zna swoją robotę na pamięć, ale w tym co robi nie ma ani krzty polotu.

Podniosłem swój kieliszek sherry.

— No dobrze — powiedziałem. — Oto ma pan w garści klucz do dalszej kariery; stoi pan na linii startu.

— Tak — przytaknął bez entuzjazmu. — Stoję na linii startu.

— Nie widać po panu szalonego uniesienia.

— Och, to po prostu powyborczy kac, że powtórzę za panem. To, że się kogoś pokonało, — wcale nie podnosi człowieka na duchu. Wręcz przeciwnie. Ale cóż, przede mną jeszcze sporo innych batalii. Proszę uważnie obserwować drogę, jaką będę się przebijał na scenę publiczną.

— Laburzyści szli prawie jak burza.

— Wiem. To wspaniale.

— Doprawdy, Gabriel. Dziwne to słowa w ustach świeżo upieczonego torysowskiego posła.

— Do diabła z posłem! Teraz liczę się ja. Kto znów postawi na nogi Partię Konserwatywną? Winston to niezrównany harcownik czasów wojny, ciężkich czasów, lecz za stary na to, by poradzić sobie z pokojem. Pokój bywa podstępny. Eden to sympatyczny mówiący półgębkiem angielski dżentelmen... — Ciągnął dalej, po kolei wymieniając powszechnie znane nazwiska torysów. — Nie mają twórczych idei. Będą pobekiwać przeciwko nacjonalizacji i wznosić toasty za błędy socjalistów. (A mówię ci, człowieku, socjaliści będą popełniać błędy! Przecież to stado baranów. To zagorzali orędownicy związków zawodowych i nieodpowiedzialni teoretycy z Oksfordu). Nasi z kolei będą się chwycić wyświechtanych parlamentarnych sztuczek niby żalosne stare psy na targu. Najpierw będą się obszczekiwać, a potem staną na zadnich nogach i ruszą do niemrawego tańca.

— A gdzie w tak sugestywnie odmalowanym wizerunku opozycji będzie miejsce dla Johna Gabriela?

— Nie ląduje się w Normandii, dopóki nie dopracuje się ostatniego szczegółu. A zatem zostawmy sprawy własnemu biegowi. Stawiam na młodych, na ludzi z nowymi pomysłami, którzy z natury są „przeciw rządowi”. Wystarczy sprzedać im jakąś ideę...

— Ciekawe jaką.

Gabriel obrzucił mnie gniewnym spojrzeniem.

— Pan zawsze i we wszystkim doszukuje się zła. Do diabła! Nie ma najmniejszego znaczenia jaką! Mógłbym na poczekaniu wymyślić pół tuzina takich czy innych. Do rozbudzenia w ludziach zainteresowania polityką wystarczą dwie rzeczy. Jedna to włożyć im coś do kieszeni. Druga to wmówić, że sprawy toczą się we właściwym kierunku. Ludzie łatwo się nabierają na wzniosłe i mgliste idee, takie które wzbogacają człowieka wewnątrz. Człowiek lubi mieć poczucie, że jest zarówno zwierzęciem szlachetnym, jak i dobrze opłacanym. Idee zbyt praktyczne odstręczają ludzi. Wie pan, co mam na myśli — każdy lubi być humanitarny, ale nie za bardzo i nie wobec kogoś, z kim się styka bezpośrednio. Czy ma pan pojęcie, jak dużo datków napływa dla ofiar trzęsienia ziemi w Turcji czy w Armenii, czy gdziekolwiek indziej? Ale proszę mi wskazać kogoś, kto przyjmie ewakuowane dziecko pod swój dach. Oto natura ludzka.

— Będę śledził pańską karierę z największym zainteresowaniem — zapewniłem.

— Za dwadzieścia lat obrosnę w sadło, będzie mi się nieźle żyło i prawdopodobnie będę postrzegany jako dobroczyńca narodu.

— I to wszystko?

— Co ma znaczyć to pańskie „i to wszystko”?

— Cóż, ciekaw jestem po prostu, czy to pana nie znudzi?

— Och, zawsze można wykręcić jakiś numer, dla zwykłej zabawy.

Zawsze mnie fascynowała absolutna pewność, z jaką Gabriel kreślił linię swojego życia. Zaczynałem wierzyć, że jego prorocтва się spełniają. On umie mieć rację, przyznawałem po cichu. Przepowiedział, że kraj opowie się za laburzystami. Był pewien własnego zwycięstwa. Zatem i jego kariera może potoczyć się z góry wyznaczonym torem, bez żadnych zawirowań.

— A zatem, wszystko idzie dobrze na tym najlepszym ze światów — rzuciłem zdawkowo.

Gabriel zmarszczył gniewnie czoło.

— Że też zawsze musi pan trafić w czułe miejsce, Norreys.

— Powiedziałem coś złego?

— Nie... nic złego. — Zamilkł na chwilę, a potem mówił dalej: — Czy zdarzyło się panu chodzić z kolcem w palcu? Zna pan to irytujące uczucie? Niby nic strasznego, lecz nie da się o nim zapomnieć. Kłuje przy każdym dotknięciu, przeszkadza...

— Kto jest tym kolcem? — spytałem. — Milly Burt? Popatrzył na mnie zdziwiony. Wiedziałem; to nie była Milly Burt.

— Ach, ona jest w porządku — odparł. — Na szczęście nic złego się nie stało. Lubię ją. Mam nadzieję, że spotkamy się kiedyś w Londynie. Byle nie w jakimś rozplotkowanym miejscu. — Nagle, czerwieniejąc na twarzy, wyszarpnął z kieszeni małą paczuszkę. — Chciałbym, żeby rzucił pan na to okiem. Jak pan myśli, czy to jest dobre? Prezent ślubny. Dla Isabelli Charteris. Przypuszczam, że wypada mi coś ofiarować. Więc kiedy się pobierają? W przyszły czwartek? Nie wygłupię się z czymś takim?

Rozwinąłem paczuszkę niezmiernie zaciekawiony. To, co było w środku, kompletnie mnie zaskoczyło. Nigdy bym się nie spodziewał, że John Gabriel wpadnie na pomysł takiego prezentu ślubnego. Była to książeczka z godzinkami. Wybornie iluminowana. Rzecz godna muzeum.

— Nie wiem dokładnie, co to jest — powiedział Gabriel. — W każdym razie coś katolickiego. Sprzed kilkuset lat. Ale czuję, że taka rzecz powinna do niej pasować. Oczywiście, jeśli pan uważa, że to głupie...

— Ależ skąd. Przepiękny prezent. Coś takiego każdy chciałby mieć na własność. To muzealny rarytas — zapewniłem pospiesznie.

— Nie przypuszczam, by ona szczególnie to doceniła. Ale Isabella Charteris i ta książka w pewnym sensie... jeśli pan wie, co mam na myśli...

Kiwnąłem głową. Wiedziałem.

— A poza tym, niech ma coś ode mnie. Nie dlatego, że lubię tę dziewczynę. Nic mi po niej. Harda, zadzierająca nosa sztuka. Dobrze ściągnie cugle jego lordowskiej mości. Życzę jej pociechy z tego zarozumiałego głupca.

— Powiedziałbym, że pańskie określenie w żadnej mierze do niego nie przystaje.

— Zgoda, zgoda. W każdym razie muszę być z nimi w dobrych stosunkach. Jako miejscowy parlamentarzysta będę w zamku podejmowany obiadami, będę chodził na coroczne ogrodowe przyjęcia i całą tę resztę. Przypuszczam, że stara lady St Loo przeprowadzi się wreszcie do Dower House, do tych zbutwiałych ruin w pobliżu kościoła. Przypuszczam, że każdego, kto tam zamieszka, reumatyzm natychmiast wpędzi do grobu. — Wyjął z moich rąk iluminowaną książeczkę i na powrót ją zapakował. — Naprawdę uważa pan, że to dobry prezent? Dałby jej pan coś takiego?

— Wspaniały i niezwykły — zapewniłem go raz jeszcze.

Weszła Teresa. Gabriel powiedział, że właśnie miał zamiar się pożegnać.

— Co mu się stało? — zapytała, kiedy drzwi się za nim zamknęły.

— Reakcja na sukces, jak myślę.

— Chyba nie tylko to.

— Nie mogę się oprzeć wrażeniu — zauważyłem — że byłoby lepiej, gdyby nie przeszedł. Przegrana może by go otrzeźwiła. A tak będzie się puszył przez parę ładnych lat. Ogólnie mówiąc, to kawał paskudnego drania. Nie wątpię jednak, że tak czy inaczej znajdzie się u szczytu kariery. Wdrapie się na wierzchołek tego swojego drzewa.

Sądzę, że to słowo „drzewo” dało Robertowi bodziec do zabrania głosu. Wszedł do pokoju razem z Teresą na swój nie rzucający się w oczy sposób, toteż jak zwykle byliśmy zaskoczeni, kiedy się odezwał.

— Och nie, nie wejdzie. Spojrzeliśmy na niego pytająco.

— Nie wdrapie się na żaden wierzchołek żadnego drzewa. Nie ma szans, powiedziałbym...

Obszedł z ponurą miną pokój i w końcu zapytał nas, dlaczego ktoś zawsze chowa jego szpachelkę.

Rozdział dwudziesty trzeci

Ślub lorda St Loo z Isabellą Charteris miał się odbyć w czwartek. Było bardzo późno, bo jeśli się nie mylę, około pierwszej w nocy, kiedy usłyszałem na tarasie czyjeś kroki.

Nie spałem. To była jedna z tych nocy, które przynosiły ze sobą niezłą porcję bólu. Pomyślałem sobie, że wyobraźnia płata mi figle, gotów byłbym przysiąc, iż były to kroki Isabelli.

A jednak usłyszałem jej głos.

— Czy mogę wejść, Hugh?

Drzwi na taras były uchylone, jak zawsze z wyjątkiem dni sztormowych. Isabella weszła do mojego pokoju, a ja zapaliłem lampkę przy łóżku. Nadal miałem uczucie, że śnię na jawie.

Wydała mi się bardzo wysoka. Miała na sobie długi, ciemny tweedowy płaszcz i ciemnoczerwony szal na włosach. Jej twarz była spokojna, poważna i chyba smutna.

Pora na odwiedzin, bez względu na powód, była tak nietypowa, że moją jedyną reakcją był strach.

Przestałem odnosić wrażenie, że śnię. Wprost przeciwnie. Pomyślałem sobie, że snem było wszystko, co zaszło od powrotu Ruperta St Loo, a ta chwila to nic innego jak przebudzenie.

Przypomniały mi się słowa Isabelli: „Wciąż boję się chwili przebudzenia, boję się, że tylko śniłam...”

I nagle zrozumiałem, że to właśnie nastąpiło. Isabella przestała śnić. Obudziła się.

Przypomniało mi się coś jeszcze. Wspomniałem słowa Roberta, że przy narodzinach Ruperta St Loo nie było ani jednej złej wróżki. Kiedy go później zapytałem, jak to należało rozumieć, odpowiedział mi: „Jeśli byłaby jakaś, nie byłoby twojej opowieści”. Być może dlatego Rupert St Loo wydawał się nie do końca realny, mimo swojej urody, inteligencji i „prawości”.

Wszystko to przemknęło mi przez myśl beładnie w czasie nie dłuższym niż jedna czy dwie sekundy.

— Przyszłam się z panem pożegnać, Hugh — powiedziała Isabella.

Wpatrywałem się w nią tępym wzrokiem.

— Pożegnać?

— Tak. Widzi pan, wyjeżdżam...

— Wyjeżdża pani? Z Rupertem, jak rozumiem?

— Nie. Z Johnem Gabrielem.

To był moment, w którym stałem się świadomy dwoistości umysłu. Połowa mojego mózgu była jak rażona piorunem, nie przyjmowała niczego do wiadomości. To, o czym Isabella mówiła, wydawało się całkiem niewiarygodne. Było tak fantastyczne, że po prostu nie mogło się zdarzyć. Jednak inna część mojego jestestwa wcale nie była zaskoczona. Jakiś wewnętrzny głos zdawał się ze mnie drwić: „Ależ oczywiście, wiedziałeś o tym cały czas...” Oto Isabella, nie odwracając głowy, rozpoznaje na tarasie kroki Johna Gabriela; oto dziwny wyraz jej twarzy, kiedy przychodzi do mnie z dolnego ogrodu, podczas gdy z Długiej Stodoły dobiegają odgłosy muzyki, bo wciąż jeszcze trwa turniej wista; oto sposób, w jaki w jednej chwili zażegnuje kryzys, narosły wokół Milly Burt; oto jej słowa: „Rupert musi przyjechać. Musi przyjechać prędko...”, słowa wypowiedziane z dziwnym napięciem, z przynagleniem...

A zatem Isabella bała się, bała się tego, co ją spotka.

Rozumiałem mgliście mroczny impuls, który popychał ją w stronę Gabriela. Z jakiegoś powodu ten mężczyzna był atrakcyjny dla kobiet. Teresa powiedziała mi to dawno temu...

Czy Isabella go kochała? Miałem wątpliwości. No i nie wyobrażałem sobie, by była szczęśliwa z mężczyzną takim jak Gabriel — mężczyzną, który pożądał jej, ale nie kochał.

Z jego strony był to czysty obłęd: koniec kariery politycznej, obrócenie wniwecz wszelkich ambicji. Nie rozumiałem, dlaczego decydował się na tak szalony krok.

Czy on ją kochał? Chyba nie. Jego uczucie do Isabelli Charteris nazwałbym raczej nienawiścią. Była częścią czegoś (zamek, stara lady St Loo), co upokarzało go, od kiedy się zjawiał w miasteczku. Czyżby tu należało szukać mrocznych przyczyn tego aktu obłędu? Czy John Gabriel mścił się za swoje upokorzenie? Czy skłonny był zrujnować własne życie tylko dlatego, by zniszczyć to, co go poniżało? Czy dla dawnego „chłopczyka z gminu” nadszedł czas odwetu?

To ja kochałem Isabellę. Wreszcie powiedziałem to sobie wyraźnie. Kochałem ją tak bardzo, że byłem szczęśliwy jej szczęściem, tym, które miało się dopełnić na zamku z Rupertem. Przecież bała się jedynie tego, że przeżywa sen, nie jawę...

Co zatem było jawą? John Gabriel? Nie, to, na co się porwała, było szaleństwem. Należało ją powstrzymać. Należało błagać, przekonywać, odwoływać się do rozsądku.

Słowa cisnęły mi się na usta, a jednak pozostały nie wypowiedziane. Do dzisiaj nie wiem, dlaczego. Jedyнным powodem mogło być to, że Isabella była Isabellą.

Nie powiedziałem nic.

Podeszła i pocałowała mnie. To nie był pocałunek dziecka. Jej usta były ustami kobiety. Jej usta były chłodne i świeże. Przylgnęły do moich ze słodyczą i intensywnością, jakiej nigdy nie zapomnę. Było to tak, jakby pocałował mnie kwiat.

Powiedziała „żegnaj” i odeszła przez drzwi tarasu z mego życia, odeszła tam, gdzie czekał na nią John Gabriel.

A ja nie próbowałem jej zatrzymać...

Rozdział dwudziesty czwarty

Wraz z odjazdem z St Loo Johna Gabriela i Isabelli kończy się pierwsza część mojej opowieści. Zdaję sobie sprawę, jak bardzo jest związana z nimi, a jak niewiele ma wspólnego ze mną. Od kiedy oboje zniknęli, zawodzi mnie pamięć, a wszystko, co się wówczas wydarzyło, jest mgliste i pogmatwane.

Nigdy nie interesowałem się politycznym aspektem naszej małomiasteczkowej egzystencji. Dla mnie polityka była jedynie teatralną dekoracją, draperiami, na których tle poruszali się główni aktorzy dramatu. Jednak polityczne reperkusje musiały mieć i rzeczywiście miały — wiem to — całkiem rozległy zasięg.

Gdyby John Gabriel miał jakieś polityczne sumienie, nie zrobiłby tego, co zrobił. Przeraziłaby go perspektywa klęski własnej drużyny. Bo klęska nadeszła, przy czym wzburzenie wśród miejscowej ludności było tak straszliwe, że niewątpliwie zostałby zmuszony do zrezygnowania ze świeżo zdobytego mandatu, gdyby wcześniej nie zrobił tego sam, bez zbędnych słów. Cała afera wielce zdyskredytowała Partię Konserwatywną. Mężczyzna z pewnymi tradycjami i z większym poczuciem honoru, byłby na to ostro wyczulony. John Gabriel, jak sądzę, za nic miał prestiż partii. Uganiał się za własną karierą i zaprzepaścił ją. Tak, rozumiał to, co się stało. Miał rację, przepowiadając kiedyś, że tylko kobieta może mu zmarnować życie; nie przewidział jednak, kto będzie tą kobietą.

John Gabriel z racji swego pochodzenia i charakteru nie był w stanie objąć rozumem szoku i przerażenia, jakie odczuwali ludzie pokroju lady Tressi— lian i pani Bigham Charteris. Lady Tressilian była wychowana w przekonaniu, że czynny udział w wyborach do parlamentu jest szczytną powinnością mężczyzny wobec własnego kraju. Tak to sobie wyobrażał jej ojciec.

Gabriel nie potrafiłby w najmniejszym stopniu pojąć doniosłości takiej postawy. Uważał po prostu, że konserwatystom trafił się niewypał w jego osobie. Postawili na niego i przegrali. Gdyby wszystko potoczyło się normalnie, mieliby swojego czarnego konia. Ale zawsze jest ten jeden procent niepewności.

Dziwne, że osobą, która przyjęła dokładnie taki sam punkt widzenia jak Gabriel, była owdowiała lady St Loo. Zabrała głos w tej sprawie raz, i tylko raz, w salonie w Polnorth House, przy mnie i przy Teresie.

— Nie możemy — powiedziała — uchylać się od przyjęcia na siebie części winy. Zdawaliśmy sobie sprawę, z kim mamy do czynienia. Wysunęliśmy kandydaturę kogoś obcego, kogoś bez korzeni, kogoś, kto nie miał prawdziwych przekonań i był nieuczciwym człowiekiem. Wiedzieliśmy doskonale, że ten mężczyzna jest poszukiwaczem przygód, nikim więcej. Akceptowaliśmy go dlatego, że miał zasługi wojenne, że obdarzony był specyficznym urokiem i że umiał przyciągać masy. Pozwoliliśmy mu, by posłużył się nami, ponieważ zamierzaliśmy posłużyć się nim. Usprawiedliwieniem dla nas miało być to, że rzekomo idziemy z duchem czasu.

Lecz jeśli tradycja konserwatystów opiera się na realizmie i na zdrowym rozsądku — nie należy się od tych pojęć odżegnywać. Powinni reprezentować nas ludzie, jeśli nie genialni, to przynajmniej prawi; tacy, którzy angażują się w sprawy kraju; tacy, którzy są przygotowani do wzięcia na siebie odpowiedzialności za swoich wyborców, a także tacy, którzy nie wstydzą się czy nie krępują nazywać klasą wyższą i akceptują zarówno jej przywileje jak i obowiązki.

Był to głos odchodzącego w przeszłość porządku społecznego. Nie zgadzałem się z nim, ale go szanowałem. Rodziły się nowe idee, zaczynało żyć po nowemu, rozprawiano się z przeszłością... Lecz za przykład tego, co było w niej najlepsze, nadal mogła służyć lady St Loo. Stara dama zajmowała należne sobie miejsce i nie zamierzała z niego ustąpić do śmierci.

Nie rozmawiała z nami o Isabelli. Tu uraza była dotkliwa, sięgała serca. Isabella bowiem, zgodnie z bezkompromisowymi przekonaniem babki, zdradziła własną klasę. Dla Johna Gabriela ta stara pedantka mogła znaleźć wymówkę — był człowiekiem niższego stanu, bez zasad — lecz Isabella poddała twierdzą od środka.

Tak więc lady St Loo nie wspomniała Isabelli ani jednym słowem, zrobiła to natomiast lady Tressilian. Rozmawiała ze mną, ponieważ, jak myślę, nie potrafiłaby w tej sytuacji zawierzyć nikomu innemu, poza tym ja, zgodnie z moim statusem inwalidy, nie liczyłem się. Miała dla mojej bezradności niepoprawnie matczyne uczucia i po części rozmowę ze mną traktowała jak rozmowę z własnym synem, co ją usprawiedliwiała przynajmniej we własnych oczach.

Do Adelaide, powiedziała, nie da się przystąpić. Maude odrzuciła głowę do tyłu i natychmiast wyszła z psami. W ten sposób czułe serce mojej rozmówczynie musiała dalej samotnie dźwigać ciężkie brzemie.

Czułaby się niełojalna, dyskutując o rodzinnych sprawach przy Teresie. Przy mnie nie czuła się zdrajczynią, być może dlatego, iż wiedziała o mojej miłości do Isabelli, Kochała Isabellę, kochała całym sercem i nie mogła przestać o niej myśleć, jak również nic mogła zrozumieć tego, co Isabella zrobiła.

— To jest tak niepodobne do niej, tak bardzo niepodobne, Hugh. Ten mężczyzna na pewno rzucił na nią czary. Przedziwny, bardzo niebezpieczny człowiek. Zawsze tak myślałam. A przecież Isabella zdawała się tak szczęśliwa, tak doskonale szczęśliwa. Ona i Rupert wyglądali na stworzonych dla siebie. Nic z tego nie rozumiem. Ryli szczęśliwi, prawdziwie szczęśliwi. Nie sądzi pan, że byli?

Powiedziałem na wycucie, że tak, owszem, sądzę, że byli. Chciałem dodać, że czasami nie wystarcza samo szczęście, lecz prawdopodobnie lady Tressilian tego by nie rozumiała.

— Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że ten okropny człowiek odciągał ją od nas w jakiś sposób, że działał na nią jak hipnotyzer. Lecz Addie powiada, że nie. Ona uważa, że Isabella nigdy nie zrobiłaby niczego wbrew swojej woli czy nieświadomie. Nie wiem, jak było naprawdę. Niczego nie rozumiem.

Przyznałem w duchu, iż słuszność leży po stronie lady St Loo.

— Czy myśli pan, że się pobrali? I gdzie mogą być? — pytała lady Tressilian.

Zapytałem, czy nie mają od Isabeili żadnej wiadomości, choćby najkrótszej.

— Nie, ani słowa. Jedyne list, który zostawiła, odchodząc. Zaadresowany do Addie. Pisze w nim, iż nie spodziewa się, by Addie jej kiedykolwiek przebaczyła i że prawdopodobnie Addie ma w tym rację. I jeszcze jedno: „Nie widzę sensu w mówieniu, że jest mi przykro z powodu bólu, jaki zapewne sprawię. Gdybym istotnie odczuwała jakąś skruchę, nic zrobiłabym tego, co robię. Być może Rupert mnie zrozumie, ale może i nie. Zawsze będę was wszystkich kochać, nawet jeśli się już nigdy nic zobaczymy”.

Lady Tressilian popatrzyła na mnie oczami pełnymi łez.

— Ten biedny chłopiec, ten biedny, biedny chłopiec. Kochany Rupert. Tak bardzo przypadł nam wszystkim do serca.

— Przypuszczam, że ciężko to przeżył.

Nie widziałem Ruperta od ucieczki Isabelli. Opuścił St Loo następnego dnia. Nie wiem do dziś, dokąd się udał i co robił. Do swojej jednostki w Birmie dołączył dopiero po tygodniu.

Lady Tressilian żałośnie potrząsnęła głową.

— Był tak uprzejmy, tak miły dla nas wszystkich. Nie chciał jednak o tym mówić. Nikt nie chce o tym mówić. — Westchnęła. — Mimo to ja nie mogę przestać” się zastanawiać, gdzie oni są i co robią. Czy się pobrali? I gdzie będą mieszkać?

Lady Tressilian miała typowo kobiecy umysł. To znaczy prosty, praktyczny, zajęty powszednimi sprawami. Już teraz, nawet sobie tego wyraźnie nic uświadamiając, wznosiła w sercu fundament pod przyszłe życie Isabelli: małżeństwo, dom, dzieci. Łatwo wybaczała. No i kochała Isabellę. To, co Isabella zrobiła, było szokujące. Było haniebne. Upokarzało rodzinę. Ale także było romantyczne. A lady Tressilian też była romantyczna.

Jak powiedziałem, moja pamięć o następnych dwóch latach pobytu w St Loo jest mglista. Odbyły się wybory uzupełniające, które (dużą większością głosów) na powrót wprowadziły Wilbrahama do parlamentu. Nawet nie pamiętam, kto był kandydatem Partii Konserwatywnej — zdaje mi się, że jakiś wiejski dżentelmen o nieposzlakowanym życiorysie, lecz bez charyzmy. Polityka, kiedy tylko na jej scenie zabrakło Johna Gabriela, przestała mnie interesować. Zająłem się własnym zdrowiem. Poszedłem do szpitala i poddałem całej serii operacji, które jeśli mi nie zaszkodziły, to i niewiele pomogły. Teresa i Robert nadal przebywali w Polnorth House. Trzy stare damy opuściły zamek St Loo i zamieszkały w małym wiktoriańskim domu z przyjemnym ogrodem. Sam zamek został wynajęty na rok jakimś ludziom z północy Anglii. Osiemnaście miesięcy później Rupert St Loo wrócił do kraju i ożenił się z bogatą Amerykanką. Mieli, jak mi doniosła Teresa, ambitne plany całkowitego odnowienia zamku, czekali tylko na odpowiednie zezwolenia. Wbrew logice nie znosiłem myśli o odnawianiu zamku St Loo.

Gdzie przebywali Gabriel i Isabella i czym on się zajmował — tego nie wiedział nikt.

W 1947 roku Robert doczekał się sukcesu, wystawiając w Londynie swoje kornwalijskie obrazy.

Jedną z nielicznych korzyści, jakie przyniosła wojna, był spory krok do przodu w łagodzeniu ludzkiego cierpienia. Chirurgia robiła wielkie postępy, a na kontynencie lekarze wprost dokonywali cudów z takimi przypadkami jak moje kalectwo. Mój londyński chirurg wypowiadał się entuzjastycznie o pewnym żydowskim lekarzu na Słowacji. Ów lekarz, pracując w czasie wojny w ruchu oporu, podejmował się śmiałych operacji i osiągał przy tym spektakularne wyniki. Możliwe zatem było, że i dla mnie znajdzie jakąś radę. A zważywszy, że angielska medycyna złożyła broń, jeśli chodzi o mój przypadek, ryzykowałem niewiele.

To dlatego jesienią 1947 roku udałem się w podróż do Zagrade, na konsultację do doktora Crassvitcha.

Nie ma potrzeby wnikać w szczegóły mojej własnej historii. Wystarczy powiedzieć, że doktor Crassvitch, który zresztą okazał się wrażliwym człowiekiem, wyraził przekonanie, iż wystarczy jedna operacja, bym stanął na nogi i mógł się poruszać o kulach. W ten oto sposób miałem skończyć z marną egzystencją bezradnego ludzkiego wraka. Dodam tylko, że do miejscowej kliniki zostałem przyjęty bezzwłocznie, bez zbędnych formalności.

Moje i jego nadzieje ziściły się. Po niespełna sześciu miesiącach, tak jak mi to obiecał, chodziłem o kulach. Żadne słowa nie są w stanie wyrazić, jak podniecające stało się dla mnie życie. Nadal pozostawałem w Zagrade, bo kilka razy w tygodniu poddawany byłem zabiegom rehabilitacyjnym. W pewien letni wieczór, zawieszony między kulami, posuwałem się z wolna i boleśnie główną ulicą miasta, aż zakotwiczyłem w małym kawiarnianym ogródku, gdzie zamówiłem piwo.

I wówczas to, rozglądając się między stolikami, zobaczyłem Gabriela.

To był szok. Od jakiegoś czasu w ogóle o nim nie myślałem. Nie przyszłoby mi też do głowy, że może być w tej części świata. Jednak jeszcze większym szokiem był dla mnie wygląd tego człowieka. Otóż Gabriel zszedł na samo dno. Jego twarz — znana mi ongiś — brzydka i dość pospolita zmieniała się prawie nie do poznania. Była chorobliwie obrzmiała, z nabiegłymi krwią oczami. Właśnie w tym momencie uświadomiłem sobie, że jest pijany.

Popatrzył przed siebie, napotkał mój wzrok, podniósł się i na niepewnych nogach podszedł do mojego stolika.

— No, no — powiedział. — Kogóż to ja widzę! Każdego bym się spodziewał, tylko nie pana.

W tamtej chwili mogłoby mi sprawić przyjemność jedynie wyprowadzenie ciosu prosto w jego twarz, lecz pomijając fakt, że nie pozwalała mi na to kondycja fizyczna, chciałem dowiedzieć się czegoś o Isabelli. Zaproponowałem, aby przysiadł się do mnie i abyśmy się razem napili.

— Dzięki, Norreys, skorzystam. Co słyhać w St Loo i w zamku z piernika, i u tych starych, wyliniałych kocic?

Powiedziałem mu, że opuściłem St Loo jakiś czas temu i że kiedy stamtąd wyjeżdżałem, zamek był wynajęty obcym ludziom, a trzy stare kobiety wyprowadziły się. Gabriel odparł, iż spodziewa się, że dla wdowy po lordzie musiała to być piekielnie gorzka pigułka. Odparłem, że wyprowadziła się chętnie i dodałem, że Rupert St Loo jest z kimś po słowie.

— Czyli ostatecznie wszyscy są zadowoleni, tak? Nie zamierzałem odpowiadać. Przyglądałem się, jak usta mego rozmówcy wykrzywia grymas dawnego uśmiechu.

— No, dalej, Norreys. Nie siedź tak, jakbyś kij połknął. Zapytaj o nią. Przecież tego chcesz się dowiedzieć, to jasne.

Kłopot z Gabrielem polegał na tym, że zawsze przenosił działania wojenne na teren nieprzyjaciela. Uznałem swoją porażkę.

— Co słyszeć u Isabelli?

— Wszystko w porządku. Nie dopełniłem tego, co się zwie aktem uwiedzenia, po to tylko, by porzucić ją na jakimś poddaszu.

Im bardziej pragnąłem obłożyć Gabriela pięściami, tym trudniej przychodziło mi znosić własną niemoc. Od kiedy go znałem, zawsze był w ofensywie. A teraz, kiedy zaczął się staczać, stał się jeszcze bardziej zaczepny.

— Czy jest tutaj, w Zagrade?

— Tak, i powinien pan do niej zajrzeć. Ucieszy się, widząc starego przyjaciela. Chętnie też usłyszy to i owo o St Loo.

Czy rzeczywiście się ucieszy? Czy głos Gabriela nie pobrzmiwał odległym echem sadyzmu?

— Pobraliście się? — spytałem lekko zmieszany. Na twarz Gabriela wypełził szatański uśmiech.

— Nie, Norreys, nie pobraliśmy się. Może to pan powtórzyć tamtej starej suce w St Loo.

(Dziwne, że nadal jątrzyła się w nim dawna rana).

— Nie zamierzam rozmawiać z nią na ten temat — powiedziałem chłodno.

— No tak, rozumiem. Przecież Isabella okryła rodzinę hańbą. — Odchylił się z krzesłem do tyłu. — Wielkie nieba, ile bym dał, by tamtego ranka zobaczyć ich twarze. Wówczas, gdy odkryli, że uciekła ze mną.

— Mój Boże, pan jest świnią, Gabriel — powiedziałem, tracąc zimną krew.

Bynajmniej nie czuł się dotknięty.

— To zależy, jak na to spojrzeć — rzekł. — Pańskie widzenie świata jest bardzo ograniczone,

Norreys.

— Ale przynajmniej nie zatraciłem przyzwoitości — powiedziałem ostro.

— Ach, pan jest w każdym calu Anglikiem. Muszę wprowadzić pana w szerokie kręgi kosmopolityczne, w których poruszamy się oboje z Isabellą.

— Nie szokuje pan wspaniałym wyglądem, jeśli mogę to tak ująć.

— Za dużo piję — przyznał wprost. — W tej chwili mam trochę w czubie. Lecz głowa do góry — mówił dalej. — Isabella nie pije w ogóle. Nie rozumiem, jak to się dzieje, ale nie pije. Nadal wygląda jak uczennica.

— Chciałbym ją zobaczyć — powiedziałem bez przekonania.

Czy chciałbym? Czy nie okazałoby się to zbyt bolesne? Czy ona chciała mnie widzieć? Prawdopodobnie nie. Gdybym mógł znać jej uczucia...

— Żadnych dzieci z nieprawego łoża. Odetchnie pan z ulgą. — Na swój sposób dodawał mi otuchy. Popatrzyłem na niego, a on powiedział spokojnie: — Pan mnie naprawdę nienawidzi, Norreys.

— Uważam, że mam do tego wystarczający powód.

— A niby jaki? Miał pan dzięki mnie niezłe widowisko w St Loo. Tylko proszę nie zaprzeczać. Zainteresowanie moimi poczynaniami prawdopodobnie powstrzymało pana od popełnienia samobójstwa. Na pańskim miejscu z pewnością bym się zabił. Nie powinien mnie pan nienawidzić tylko dlatego, że oszalał pan na punkcie Isabelli. O tak, proszę nie zaprzeczać. Oszalał pan wtedy i nadal tkwi pan w swoim szaleństwie. Stara się pan być przyjazny, tu, przy tym stoliku, lecz tak naprawdę nienawidzi mnie pan do szpiku kości.

— Isabella i ja byliśmy przyjaciółmi — powiedziałem. — Choć nie przypuszczam, by to wiele panu mówiło.

— Nie chodzi mi o przystawianie się do niej, przyjacielu. Wiem, że to do pana niepodobne. Pokrewieństwo dusz, podtrzymywanie na duchu, ot co. W takim razie będzie jej miło zobaczyć starego przyjaciela.

— Ciekaw jestem — powiedziałem powoli. — Czy pan rzeczywiście tak myśli.

W jego postawie zaszła zmiana. Obrzucił mnie wściekłym spojrzeniem.

— Dlaczego nie, u diabła? Niby dlaczego miałyby nie chcieć zobaczyć się z panem?

— To ja pana pytam.

— A ja odpowiadam: chciałbym, żeby pana zobaczyła.

To mnie rozdrażniło.

— W takim razie zdamy się na jej wolę — oświadczyłem.

W jednej chwili jego twarz rozplynęła się w uśmiechu.

— To jasne, że ona zechce, przyjacielu. Chciałem tylko panu dokuczyć. Dam panu adres. Może pan do niej pójść obojętnie o której porze. Zwykle jest w domu.

— A czym pan się teraz zajmuje?

Mrugnął porozumiewawczo i przechylił głowę na bok.

— Pst! O tym się głośno nie mówi, przyjacielu. Chociaż marnie mi płacą. Gdybym był w parlamencie, miałbym tysiąc funtów rocznie, a w razie wygranej laburzystów może i więcej. Często przypominam Isabelli, ile przez nią straciłem.

Jakże nienawidziłem tego prostackiego, szyderczego drania. Pragnąłem... ach, dosyć! Pragnąłem zrobić wiele rzeczy, które przekraczały moje fizyczne możliwości. Zamiast tego wziąłem z jego rąk brudny świstek papieru z nabazgranym byle jak adresem.

Minęło wiele godzin, nim tamtej nocy udało mi się zasnąć. Ogarnięty obsesyjnym lękiem o Isabellę, rozważałem wciąż od nowa, czy udałoby mi się nakłonić ją do opuszczenia Gabriela. Sprawy przyjęły zły obrót, to było nad wyraz oczywiste.

Jak zły, zorientowałem się już następnego dnia. Dotarłem pod wskazany przez Gabriela adres i stanąłem przed podejrzanym wyglądającym domem w jednym z nędznych zaułków miasteczka. Nie miałem złudzeń co do profesji okolicznych mieszkańców. Wystarczył mi widok mijanego po drodze podejrzanego typu, a także bezwstydnie wymalowanych kobiet. Zatrzymałem się i po niemiecku zagadnąłem stojącą w bramie grubą, niechlujnie ubraną niewiastę, o angielską lady.

Na szczęście ta znała niemiecki i skierowała mnie na najwyższe piętro. Wspinałem się na kolejne kondygnacje, ledwo radząc sobie z wyslizgującymi się spod pach kulami. Dom był brudny, wręcz cuchnął. Ścisnęło mi się serce. Moja piękna, dumna Isabella, że też musiało ją to spotkać. Coraz bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że muszę ją stąd wyrwać i zabrać do Anglii...

Dotarłem zadyszany na szczyt schodów i zapukałem do drzwi. Z wewnątrz odpowiedział mi ktoś po czesku. Znałem ten głos — należał do Isabelli. Otworzyłem drzwi i wszedłem.

Nie sądzę, bym kiedykolwiek potrafił opisać niesamowite wrażenie, jakie wywarło na mnie to miejsce. Trzeba zacząć od tego, że było bardzo nędzne.

Zniszczone meble, niegustowne obicia, tandetne, kojarzące się z lubieżnością mosiężne łóżko. Ściany i sufit w smugach brudu, w powietrzu wyczuwalny odór, jaki wydzielają pluskwy. A jednocześnie w mieszkaniu było czysto: zasłane łóżko, wyczyszczone popielniczki, ani śmieci, ani śladu kurzu. Niemniej pokój był obskurny.

Pośrodku tego wszystkiego, siedziała z podwiniętymi nogami Isabella, wyszywając kawałek jedwabiu.

Wyglądała dokładnie tak samo jak wówczas, kiedy opuszczała St Loo. Nawet miała na sobie tę samą, choć już mocno sfatygowaną suknię. Nadal jednak nosiła ją z wdziękiem. Nadal miała długie do ramion, rozpuszczone, błyszczące włosy. Jej twarz była piękna, spokojna i poważna. Czułem, że ona i ten pokój nie miały ze sobą nic wspólnego. Była tutaj, lecz równie dobrze mogłaby być w samym sercu pustyni lub na pokładzie statku. To nie był jej dom. To było miejsce, w którym zdarzyło jej się w tej chwili przebywać.

Przyglądała mi się nie dłużej niż sekundę, po czym wyciągnęła ręce i mile zaskoczona podeszła do mnie. Domyśliłem się, że Gabriel, z niewiadomych powodów, nie przygotował jej na taką niespodziankę. Ciekawe dlaczego, pomyślałem.

Jej ręce ufnie poddały się moim dłoniom. Uniosła twarz i pocałowała mnie.

— Hugh, jak to miło.

Nie zapytała, jak to się stało, że jestem w Zagrade. Nie skomentowała także tego, że chodzę o własnych siłach, mimo iż podczas naszego pożegnania

w St Loo byłem przykuty do łóżka. Skupiła się wyłącznie na tym, że przyszedł do niej przyjaciel i że bardzo ją to cieszy. Była to, w istocie, moja dawna Isabella.

Znalazła dla mnie krzesło i przysunęła je do swojego.

— Isabello, co pani tu robi? — spytałem, choć znając ją, powinienem z góry przewidzieć odpowiedź. Pokazała mi haft.

— Zaczęłam to trzy tygodnie temu. Podoba się panu? — W jej głosie drżał niepokój.

Wziąłem robótkę w rękę. Był to kwadrat starego jedwabiu o delikatnym, gołębiim odcieniu, lekko wyblakły i bardzo miękki w dotyku. Isabella wyhaftowała na nim czerwone róże, brunatne laki i blade, fiołkoworóżowe lewkonie. Widać było, że włożyła w swoje zajęcie dużo serca i niemało talentu.

— To piękny haft, Isabello. Przepiękny.

Czułem jak zawsze prawie namacalną baśniową atmosferę, która zwykle otaczała Isabellę. Oto ślęcząca nad haftem dziewica, więziona przez wilkołaka w ponurej wieży.

— Tak, Isabello, haft jest piękny — powtórzyłem, zwracając jej kawałek jedwabiu. — Ale to miejsce jest straszne.

Rozejrzała się wokół obojętnie.

— Tak — rzekła. — Chyba ma pan rację.

Tylko tyle, nic więcej. To zbiło mnie z tropu. Cóż, Isabella zawsze mnie zaskakiwała. Zacząłem niejasno pojmować, jak mało znaczyło dla niej otoczenie. Nie myślała o nim, podobnie jak ktoś, czyje myśli skupiają się na celu podróży, nie zastanawia się nad kolorem tapet i tapicerki w pociągu. To był pokój, w którym chwilowo zdarzyło jej się mieszkać. Zgodziła się ze mną, że nie jest to miłe miejsce, lecz w istocie mało ją obchodziło. O wiele bardziej zajmował ją haft.

— Wczoraj wieczorem widziałem się z Johnem Gabrielem.

— Naprawdę? Gdzie? Nic mi nie powiedział.

— To od niego mam pani adres. I to on mnie tu zaprosił.

— Tak się cieszę, tak bardzo się cieszę, że pan przyszedł.

Przebijająca z jej głosu, nie udawana radość, rozgrzała mi serce.

— Isabella, droga Isabella — powiedziałem. — Czy jest pani dobrze? Czy jest pani szczęśliwa?

Spojrzała na mnie, jakby niepewna sensu usłyszanych słów.

— To wszystko — ciągnąłem, ogarniając wzrokiem cały pokój — tak dalece odbiega od pani przyzwyczajień. Nie chciałaby pani porzucić tego miejsca i wrócić ze mną? Jeśli nie do St Loo, to przynajmniej do Londynu.

Potrząsnęła głową.

— John ma tu jakieś zajęcie. Dokładnie nie wiem jakie...

— Isabella, mnie interesuje tylko to, czy jest pani z nim szczęśliwa. Choć nie uważam, by to było możliwe... Jeśli zdarzyło się pani popełnić okropną omyłkę, proszę porzucić dumę i przyznać się do tego. Proszę go zostawić.

Popatrzyła w dół na swoją robótkę dziwnym wzrokiem i lekko się uśmiechnęła.

— Och, nie. Nie mogłabym tego zrobić.

— Czy aż tak bardzo go pani kocha, Isabella? Czy jest pani... czy naprawdę jest pani z nim szczęśliwa? Pytam, bo niepokoję się o panią.

— Szczęśliwa tak jak w St Loo?

— Tak.

— Nie, to zrozumiałe, że nie.

— Więc niechże pani rzuci to wszystko, niechże pani wróci ze mną i zacznie żyć od nowa.

Znów się lekko uśmiechnęła.

— Och, nie. Nie mogłabym tego zrobić. — Pomijając wszystko, nie wyszła pani za niego za mąż — stwierdziłem z niejakim zażenowaniem.

— Rzeczywiście, nie wyszłam.

— Czy nie sądzi pani... — Czuję się coraz bardziej niezręcznie, gdy tymczasem Isabella zachowywała kamienny spokój. Jednak musiałem dowiedzieć się, co tak naprawdę zaszło między dwojgiem tych dziwnych ludzi. Zapytałem impertynencko: — Dlaczego nie jesteście małżeństwem?

Isabella nie obraziła się. Co więcej, miałem wrażenie, że ten problem jawi się przed nią po raz pierwszy. Jak to się stało, że ona i John Gabriel nie są małżeństwem? Siedziała cicho, zamyślona, pytając samą siebie — jak to się stało?

Potem wyznała z pewnym zakłopotaniem:

— Nie zdaje mi się, by John chciał mnie poślubić.

Prosiłem niebiosy, by mi pozwoliły zachować zimną krew.

— Czy to nie pani się wzbrania?

— Nie. — Ton jej głosu nie był zbyt przekonujący.

— W takim razie to jego powinność. Przynajmniej tyle mógłby dla pani zrobić.

Potrząsnęła z wolna głową.

— Nie, to wcale nie jest tak.

— Co nie jest tak?

— Wyjechałam z St Loo... — wymawiała słowa powoli, odtwarzając w myślach kolejne wydarzenia — nie po to, by w miejsce Ruperta poślubić Johna. Chciał, żebym z nim wyjechała, więc to zrobiłam. Nie mówił o małżeństwie. Nie wydaje mi się, by nosił się z takim zamiarem. Wszystko to... — poruszyła lekko dłońmi, a ja zrozumiałem, że mianem „to” Isabella określa nie tyle mieszkanie, nędzne otoczenie, ile przejściowy charakter ich wspólnego życia — to nie jest małżeństwo. Małżeństwo to coś zupełnie innego.

— Pani i Rupert... — zacząłem, lecz Isabella widząc, że pojmuję, o co jej chodzi, przerwała mi.

— Tak — powiedziała. — To byłoby małżeństwo. Czym więc miał być jej związek z Johnem Gabrielem? Wolałem nie pytać wprost.

— Isabello, co według pani kryje się pod pojęciem małżeństwa, co ono dla pani znaczy, poza czysto prawnym sensem?

Zamyśliła się głęboko.

— Myślę, że przez małżeństwo człowiek staje się częścią czyjzegoś życia... dostosowuje się do niego... znajduje w nim miejsce dla siebie... właściwe miejsce... miejsce na stałe.

Ty zatem wznosiłabyś swoje małżeństwo jak gmach, pomyślałem.

— Chce pani powiedzieć, że nie może stać się częścią życia Gabriela? — zapytałem.

— Nie. Nie mogę. Choć tego żałuję. Widzi pan — tu rozłożyła w bezradnym geście długie, wąskie dłonie — ja po prostu nic o nim nie wiem.

Patrzyłem na nią jak urzeczony. Prawdopodobnie tak było. Prawdopodobnie nic o Gabrielu nie wiedziała i bez względu na to, jak długo byliby razem, nigdy by się niczego nie dowiedziała. Choć, z drugiej strony, ta niewiedza chyba nie robiła na niej większego wrażenia.

I nagle pojąłem, że Gabriel był w takim samym położeniu. Był jak ktoś, kto kupił (a raczej wyszabrował) kosztowną i delikatną rzecz, a nie wiedział, jak się obchodzić z ukrytym w jej wnętrzu, skomplikowanym mechanizmem.

— Och, Isabello — rzekłem ze ściśniętym gardłem — czyżby nie była pani szczęśliwa?

Popatrzyła na mnie pustymi, nie widzącymi oczami. Albo umyślnie przemilczała odpowiedź na moje pytanie, albo sama jej nie знаła. Myślę, że w grę wchodziła druga możliwość. Została poddana ciężkiemu i gorzkiemu doświadczeniu, którego nie potrafiła zdefiniować na poczekaniu.

— Czy mam w St Loo przekazać ukłony od pani? — zapytałem łagodnie.

Siedziała cichutko. Jej oczy wypełniły się łzami. Nie były to łzy smutku; to były łzy wspomnień.

— Gdyby można było cofnąć czas, Isabello, gdyby miała pani wolny wybór, czy zrobiłaby pani to samo raz jeszcze?

Być może poczynałem sobie okrutnie, ale musiałem wiedzieć, raz wreszcie musiałem mieć pewność. Jednak Isabella popatrzyła na mnie Sceptycznie.

— Wierzy pan w to, że człowiek ma jakiś wybór? Jakikolwiek?

No cóż, zależy jak się na to patrzy. Być może życie jest łatwiejsze dla tak bezkompromisowych realistów jak Isabella Charteris, dla których nigdy nie ma alternatywnych dróg. A jednak, o czym wiem, i dla Isabelli Charteris miał przyjść moment ostatecznego wyboru. Miała świadomie wybrać tę, a nie inną drogę. Ale to miało dopiero nadejść.

Nie spuszczać wzroku z Isabelli, już podnosiłem się z krzesła, kiedy na schodach rozległy się czyjeś ciężkie kroki i przez pchnięte szerokim gestem drzwi wtoczył się do pokoju John Gabriel. Nie przedstawiał sobą szczególnie przyjemnego widoku.

— Witam — powiedział. — Trafił pan bez kłopotu?

— Tak — odparłem oschle.

Nie potrafiłbym powiedzieć nic więcej nawet pod groźbą śmierci. Skierowałem się ku drzwiom zaledwie ze zdawkowym „przepraszam, muszę już iść...”

Gabriel odsunął się nieco z drogi.

— Cóż, przynajmniej nie będzie pan mógł opowiadać, że nie dałem panu żadnej szansy... — Nim zdążyłem pojąć sens jego słów, dodał: — Zjedźmy razem kolację, jutro wieczorem, w „Café Gris”. Wydaję przyjęcie. Isabella na pewno się ucieszy, jeśli pan przyjdzie. Prawda, Isabella?

Obejrzałem się. Isabella uśmiechnęła się do mnie.

— Tak, proszę przyjść — powiedziała. Na jej twarzy malował się niczym nie zmacony spokój. Wyglądała i składała swoje jedwabie. Spojrzałem na Gabriela. Czyżby grymas, który przemknął cieniem po jego obliczu, był grymasem rozpaczy?

Ruszyłem w dół wstrętnych schodów tak prędko, jak pozwalało na to moje kalectwo. Potrzebowałem świeżego powietrza i słońca. Chciałem być jak najdalej od tej dziwnej pary — od Gabriela i Isabelli. Gabriel zmienił się; na gorsze. Isabella w ogóle się nie zmieniła.

Przejęty i zdezorientowany, czułem, że kryje się za tym coś istotnego. Gdybym tylko wiedział, co...

Rozdział dwudziesty piąty

Bywają wspomnienia, od których nie sposób się uwolnić. Jeśli o mnie chodzi, do końca życia będę miał przed oczami tamten koszmarny wieczór w „Café Gris”. Jestem przekonany, że Gabriel zaplanował tamto przyjęcie w najmniejszych szczegółach wyłącznie dla popisania się przede mną swoją złośliwością. W moich oczach przyjęcie było niesławne.

Gabriel przedstawił mi swoich przyjaciół i współpracowników z Zagrade — mężczyzn i kobiety, których Isabella nigdy nie powinna była spotkać. Siedzieliśmy, ona i ja, w gronie pijaków i renegatów, ordynarnie wymalowanych ulicznic, ofiar narkotyków. Wszystko razem było podłe, nikczemne i zepsute moralnie.

Nie było przy naszym stole pisarzy, malarzy, muzyków czy poetów; nie było nawet dowcipnych gawędziarzy. Ludzie obdarzeni talentem sięgają czasem dna i świat znajduje dla nich usprawiedliwienie. Tu spotkały się kosmopolityczne męty i to Gabriel dokonał takiego doboru. Być może celowo chciał zademonstrować swój upadek.

Byłem oszalały z oburzenia przez wzgląd na Isabellę. Jak on śmiał wprowadzić ją do takiego towarzystwa?

A wtedy spojrzałem na nią i w jednej chwili uspokoiłem się. Po Isabelli nie widać było ani odrazy, ani niechęci, ani skrępowania kłopotliwą sytuacją.

Siedziała nieporuszona, uśmiechając się właściwym sobie, odległym uśmiechem dziewiczych bogiń z Akropolu. Była uprzejma i kompletnie nieczuła na całe towarzystwo. Ci ludzie, jak zauważyłem, obchodzili ją równie mało jak nędzny pokój, w którym mieszkała. Przypomniałem sobie, jak zapytana kiedyś przeze mnie czy interesuje się polityką, odpowiedziała trochę niezdecydowanie: „To jedna z tych rzeczy, które robimy”. Przypuszczam, że gdybym zapytał ją tamtego wieczoru co sądzi o przyjęciu, w którym uczestniczy, odpowiedziałaby identycznym tonem: „W ten sposób spędzamy tutaj czas”. Godziła się na to bez odrazy i bez szczególnego zainteresowania, jak na wszystko, co Joh—nowi Gabrielowi podobało się robić.

Popatrzyłem na nią ponad stołem, a ona odwzajemniła mi się uśmiechem. Nic tu po mojej rozpacz i śmiertelnej udręce, pomyślałem. Kwiat może rozwijać się na kupie gnoju równie dobrze jak w każdym innym miejscu. A może i lepiej — bardziej odbija od tła.

Opuściliśmy kawiarnię jedną gromadą. Prawie wszyscy byli pijani. Kiedy weszliśmy na jezdnię, aby przejść na drugą stronę ulicy, z mroku nocy nieoczekiwanie wyłonił się wielki samochód i z wyciem przejechał tuż obok nas, omal nie potraćwszy Isabelli. Na szczęście w porę odskoczyła na chodnik, lecz, jak zdążyłem zauważyć, jej twarz zbladła, a oczy rozszerzyły się przerażeniem.

A więc nadal była podatna na zranienie. Życie, z jego zmiennymi kolejami losu, nie mogło jej dotknąć. Miała dość sił, by stawić mu czoło. Życiu tak, ale nie śmierci czy choćby jej groźbie. Wciąż

jeszcze, choć niebezpieczeństwo minęło, była blada i roztrzęsiona.

— Mój Boże, minął cię o włos! Nic ci się nie stało, Isabello? — krzyknął Gabriel.

— Nie, nic. Wszystko w porządku. — Z jej głosu jednak nadal przebijał strach. Zwróciła się do mnie: — Widzi pan? Nadal jestem tchórzem.

Ponad to już niewiele mam do powiedzenia. Tamtego wieczoru w „Café Gris” widziałem Isabelłę po raz ostatni.

Tragedia nadeszła jak zwykle bez zapowiedzi i bez ostrzeżenia. Właśnie zastanawiałem się, czy pójść do Isabelli raz jeszcze, czy napisać jej kilka słów, czy też może opuścić Zagradę bez pożegnania, kiedy wprowadzono do mnie Gabriela. Nie powiem, bym zauważył w jego wyglądzie coś niezwykłego. Może cień nerwowego podniecenia, może jakieś napięcie. Sam nie wiem...

Powiedział zupełnie spokojnie:

— Isabella nie żyje.

Wbiłem w niego wzrok. Nie rozumiałem co do mnie mówił. Nie wierzyłem, by to była prawda.

— O tak — pospieszył z zapewnieniem. — To prawda. Została zastrzelona.

Odzyskałem mowę, kiedy dotarł do mnie prawdziwy sens tego, co się stało, sens katastrofy i ostatecznej straty.

— Zastrzelona? — krzyknąłem. — Zastrzelona?! Jak ktoś mógł ją zastrzelić? Jak to się stało?

Powiedział mi, jak to się stało. Siedzieli oboje w kawiarni, tej samej, w której spotkałem go po raz pierwszy.

— Czy widział pan kiedykolwiek portret Stołanowa? Nie sądzi pan, że jestem do niego podobny?

Stołanow był w tym czasie faktycznym dyktatorem Słowacji. Przyjrzałem się dokładniej twarzy Gabriela. Istotnie, nie sposób było zaprzeczyć swoistemu podobieństwu obu mężczyzn, zwłaszcza kiedy czoło Gabriela przysłaniały potargane włosy.

— Co się stało?

— Jakiś student. Cholerny głupiec. Pewnie wziął mnie za Stołanowa. Miał ze sobą rewolwer. Biegł, mierząc z niego, przez kawiarnię, i wydierał się: „Stołanow, Stołanow, wreszcie cię dopadłem”. Nie było czasu, żeby cokolwiek zrobić. Strzelił. Ale nie trafił we mnie, lecz w Isabelłę... — przerwał, a po chwili dodał: — Zginęła na miejscu. Kula przeszła jej serce.

— Boże — jęknąłem. — A pan? Nic pan nie mógł zrobić?

Wydawało mi się nieprawdopodobne, by Gabriel nie był zdolny do żadnego działania.

Twarz mu zapłonęła.

— Nie — powiedział. — Nie mogłem... Siedziałem za stolikiem pod ścianą. Na nic nie było czasu...

Milczałem. Byłem jak sparaliżowany. Gabriel siedział, obserwując mnie. Nadal nie znać było po nim śladu wzruszenia.

— A więc do tego pan ją doprowadził — powiedziałem w końcu.

Wzruszył ramionami.

— Owszem, jeśli tak pan to widzi.

— To za pana przyczyną Isabella znalazła się tutaj... w tym plugawym domu, w tej odrażającej mieścinie. Gdyby nie pan, byłaby zapewne... — Urwałem. Dokończył za mnie:

— Byłaby lady St Loo i żyłaby w zamku nad morzem, w zamku z piernika, z mężem z piernika, z gromadką uczeplonych jej kolan piernikowych dzieci. Tak, mogłoby tak być.

Szyderczy ton jego głosu doprowadzał mnie do szału.

— Mój Boże, Gabriel! — krzyknąłem. — Nigdy ci nie wybaczę!

— Nie dbam o to, Norreys. Możesz sobie wybaczać albo i nie.

— Więc co pan tu robi, do diabła? — zapytałem ze złością. — Po co pan do mnie przyszedł? Czego pan chce?

— Chcę, żeby zabrał ją pan do St Loo... — powiedział spokojnie. — Spodziewam się, że potrafi pan to zorganizować. Powinna być tam pochowana, nie tu. Nie w miejscu, do którego nigdy nie należała.

— To prawda — odrzekłem. — Nie należała do tego miejsca. — Popatrzyłem na niego. Wraz z ogarniającym moją duszę bólem wzbierała we mnie ciekawość. — Dlaczego pan ją stamtąd zabrał? Co się za tym kryło? Czy tak bardzo jej pan pragnął? Aż tak, by poświęcić własną karierę? Poświęcić wszystko to, do czego przywiązywał pan tak wielką wagę?

Powtórnie wzruszył ramionami.

— Nic z tego nie rozumiem! — krzyknąłem ze złością.

— Nie rozumiem, nie rozumiem! Oczywiście, że pan nie rozumie. — Przeraziłem się jego głosu; był zduszony, chrapliwy. — Pan nigdy niczego nie zrozumie. Co pan wie o cierpieniu?

— Coś wiem. Wiem nawet sporo — powiedziałem zgryźliwie.

— Nie, nic pan nie wie. Pan nie zna prawdziwego cierpienia. Czy nie potrafi pan zrozumieć, że nigdy nie wiedziałem, o czym ona myśli? Nigdy nie potrafiłem z nią rozmawiać? Powiem panu, Norreys, zrobiłem wszystko, by złamać jej ducha. Wszystko. Wdeptałem ją w błoto, we wszelkie plugastwo, a nie wiem nawet, czy zdawała sobie z tego sprawę! Ani jej splamić, ani zastraszyć. Cała Isabella. To przerażające, mówię panu, przerażające. Klótnie, łzy, opór: oto czego się spodziewałem, co sobie wyobrażałem. A dalej? Dalej, wyobrażałem sobie własne zwycięstwo. Ale nie zwyciężyłem. Nie można zwyciężyć, kiedy się walczy z kimś, kto nie jest świadomy toczącej się walki. Nie rozmawiałem z nią. Nigdy. Upijałem się do nieprzytomności, próbowałem narkotyków, zdradzałem z innymi kobietami... I co? I nic. To jej nie dotyczyło. Siedziała tam, z podwiniętymi nogami, haftując te swoje jedwabne kwiaty i czasami nucąc coś cicho... Może wciąż jest w swoim zamku nad morzem... może nadal snuje tę swoją przeklętą baśń... może zabrała, ją z sobą...

Przeszedł, chyba nawet nie zdając sobie sprawy, do czasu teraźniejszego. Ale przerwał nagle. Opadł na krzesło.

— Pan nie rozumie — ciągnął. — Bo i jak? To prawda, poniosłem klęskę. Miałem jej ciało. Nigdy nie miałem nic więcej. Teraz nie mam nawet ciała... — Poderwał się. — Niech ją pan sobie zabierze do St Loo.

— Zabiorę — odparłem. — A panu, Gabriel, niech Bóg przebaczy wszystko, co pan z nią zrobił.

— Wszystko, co z nią zrobiłem? A wie pan, co ona zrobiła ze mną? Czy w pana kołtuńskiej duszy nigdy nie pojawił się choćby cień podejrzenia, Norreys, że od pierwszej chwili, kiedy zobaczyłem tę dziewczynę, cierpiałem tortury? Nie potrafię opowiedzieć panu słowami, jak działał na mnie sam jej widok — teraz nawet ja tego nie rozumiem, choć wówczas było to jak sypanie pieprzu na otwartą ranę. Wszystko, czego pragnąłem i czego spodziewałem się od życia, zdawało się krystalizować wyłącznie w niej. Wiedziałem, że jestem gruboskórny, plugawy, zmysłowy — lecz mało mnie to obchodziło, dopóki jej nie spotkałem.

Zraniła mnie, Norreys. Naprawdę nie może pan tego pojąć? Zraniła mnie tak jak nic i nigdy przedtem. Musiałem ją zniszczyć, musiałem ściągnąć na dół, do swojego poziomu. Czy pan nie widzi... nie, pan nic nie widzi, pan nic nie rozumie! Pan nie jest w stanie niczego pojąć! Kuli się pan w wykuszu swojego okna i traktuje życie, jakby to była jeszcze jedna książka do przeczytania! Ja byłem w piekle. Mówię panu, w piekle.

Raz, tylko raz, miałem okazję wyrwać się ze swego więzienia; wówczas, kiedy tamto słodkie, głupiutkie dziecko wpadło do hotelu w St Loo i narobiło tyle zamieszania. Już, już diabli brali wybory i mnie razem z nimi. Miałem na karku Milly Burt. Tamten brutal, jej mąż, rozwiódłby się z nią, a ja byłbym na tyle przyzwoity, by się ożenić. W ten sposób uwolniłbym się wreszcie od koszmaru obsesji... Lecz wtedy na scenę wkroczyła Isabella. Wzięła sprawy w swoje ręce, nawet nie wiedząc, co to dla mnie znaczy. A znaczyło jedno: musiałem dalej dźwigać brzemię niewoli. Nie było dla mnie ucieczki. Mimo to tliła się we mnie iskra nadziei, że w jakiś sposób się jej wywinę. Dlatego przecież kupiłem weselny prezent. Cóż, nie przydał się na nic. Zwyciężył we mnie niewolnik: musiałem ją mieć...

— A teraz — powiedziałem — ona jest martwa... Tym razem pozwolił, by ostatnie słowo

należało do mnie. Powtórzył niezwykle miękko:

— A teraz ona jest martwa...

Obrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

Rozdział dwudziesty szósty

Wtedy widziałem Johna Gabriela po raz ostatni. Rozstaliśmy się w gniewie w Zagrade i nie spotkaliśmy się więcej.

Miałem pewne trudności ze zorganizowaniem transportu zwłok do Anglii, lecz ostatecznie Isabella została pochowana w St Loo, na skromnym przykościelnym cmentarzu, nad samym morzem, gdzie spoczywali inni członkowie jej rodziny. Po pogrzebie wróciłem razem z trzema sędziwymi damami do małego wiktoriańskiego domku, gdzie podziękowały mi za sprowadzenie zwłok Isabelli...

Przez dwa ostatnie lata bardzo się postarzały. Lady St Loo była podobna do orła bardziej niż przedtem. Skóra i kości, pomyślałem, a taka krucha, że może umrzeć lada moment. Choć rzecz nie do wiary, żyła jeszcze sporo lat. Lady Tressilian była jeszcze tęższa i bardziej astmatyczna. Wyznała mi szeptem, że i ona, i lady St Loo, i pani Bigham Charteris bardzo lubią żonę Ruperta.

— Taka praktyczna z niej dziewczyna i taka bystra. Jestem pewna, że będą ze sobą szczęśliwi. Oczywiście to nie jest to, o czym kiedyś marzyliśmy...

Łzy nabiegły jej do oczu.

— Och, dlaczego, dlaczego musiało się to wydarzyć? — westchnęła.

To pytanie zabrzmiało niczym echo nieustannie kołających się w mojej głowie myśli.

— Ten nikczemny, ten niegodziwy człowiek... — mówiła dalej.

Byliśmy złączeni — trzy stare kobiety i ja — we wspólnej rozpaczycy po zmarłej dziewczynie i wspólnej nienawiści do Johna Gabriela.

Pani Bigham Charteris była bardziej żylasta niż przedtem. Kiedy ostatecznie się z nimi żegnałem, powiedziała:

— Pamięta pan tę małą Milly Burt? — Tak, naturalnie. Co się z nią dzieje? Pani Bigham Charteris potrząsnęła głową.

— Straszliwie się lękam, że drogo zapłaci za swoje postępowanie. Wie pan, co się przytrafiło jej mężowi?

— Nie, nie wiem.

— Którejś nocy wpadł po pijanemu do rowu. Uderzył głową w kamień i zabił się.

— A więc Milly Burt jest wdową?

— Tak. Słyszałam od przyjaciół w Sussex, że zadaje się z jednym z tamtejszych gospodarzy. Zamierza wyjść za niego za mąż. Ten człowiek ma złą reputację. Pije. I też bywa brutalny.

Cóż, pomyślałem, Milly powtarza stare schematy... Lecz czy ktoś potrafi korzystać choćby z własnego doświadczenia?

Miałem do przemyślenia więcej niż zazwyczaj, jadąc następnego dnia do Londynu. Wsiadłem do pociągu w Penzance i zamówiłem miejsce w wagonie restauracyjnym na pierwszą zmianę. Nim podano bulion, przypomniałem sobie Jennifer.

Miewałem od czasu do czasu wiadomości o niej od Caro Strangeways. Jennifer, jak mówiła Caro, była bardzo nieszczęśliwa. Skomplikowała sobie życie w nieprawdopodobny sposób, lecz mimo to zachowywała się bardzo dzielnie. Nikt, zdaniem Caro, nie mógł się nadziwić jej męstwu.

Uśmiechnąłem się do siebie. Jennifer to słodkie stworzenie, lecz nie czułem chęci ani potrzeby, by ją zobaczyć. Nikt nie lubi słuchać zbyt często tej samej płyty...

Wreszcie dotarłem do domu Teresy w Londynie i Teresa pozwoliła mi mówić... Zacząłem od gorzkich diatryb, skierowanych przeciwko Johnowi Gabrielowi. Następnie zdałem rachunek z wydarzeń w Zagrade i ostatecznie przeszedłem do relacji z pogrzebu Isabelli w St Loo. Zamilkłem na chwilę, jakbym chciał usłyszeć szum Atlantyku uderzającego o skały i jakbym chciał wypatrzeć na tle nieba zarysy zamku St Loo...

— Powinienem sądzić, że zostawiłem ją tam w spokoju, lecz wcale tego nie czuję, Tereso. Rozsadza mnie bunt. Isabella umarła za wcześnie. Powiedziała mi kiedyś, iż ma nadzieję, że dożyje późnej starości. I pewnie tak by się stało. Była bardzo silna. Nie mogę znieść myśli, że jej życie zostało skrócone.

Teresa poruszyła się, rzucając cień na duży malowany parawan przed kominkiem.

— Myślisz o życiu w kategoriach czasu, Hugh — powiedziała. — Lecz czym jest czas? Pięć minut i tysiąc lat mają takie samo znaczenie. „Chwila róży dopełnia się nie krócej niż chwila cisu...”

(...Ciemnoczerwona róża haftowana na wyblakłym szarym jedwabiu...)

Teresa mówiła dalej:

— Wymyśliłeś sobie pewien wzór na życie i chciałbyś temu wzorowi podporządkować innych. Ale inni mają własne wzory, a te wzory nakładają się na siebie i nawzajem przeplatają. Stąd tyle wokół komplikacji i zamieszania.

Niewiele ludzi rodzi się ze wzrokiem na tyle przenikliwym, by rozpoznać własny wzór. Myślę, że Isabella do nich należała... Trudno ją było zrozumieć, i nie dlatego, że była skomplikowana, lecz dlatego, że była naturalna, niemal przerażająco naturalna. Dla niej liczyły się jedynie rzeczy zasadnicze. Uporczywie postrzegasz, mój drogi, życie Isabelli jako coś, co zostało skrócone, pozbawione kształtu, przerwane. A ja podejrzewam, że było doskonałe samo w sobie...

— A więc... chwila róży?

— Możesz to tak nazwać, jeśli chcesz. — Dodała miękko: — Jesteś bardzo szczęśliwym człowiekiem, Hugh.

— Szczęśliwym? — spytałem zdumiony.

— Tak, ponieważ ją kochałeś.

— Chyba ją kochałem, to prawda. A mimo to nie umiałem nic dla niej zrobić... Nawet nie próbowałem zatrzymać, kiedy odchodziła z Gabrielem...

— Nie — powiedziała. — Nie zatrzymywałeś Isabelli, ponieważ kochałeś ją naprawdę. Kochałeś dość mocno, aby pozwolić żyć po swojemu.

Niechętnie przystałem na taką definicję miłości. Litość być może zawsze była moją zgubą. Tak słodko się w niej zatracalem. To ona, trwoniona na prawo i lewo, dawała mi podniecie do życia i to przy niej grzało się moje serce.

Lecz szczęśliwie ta moja litość nie dotknęła Isabelli. Nigdy nie próbowałem w żaden sposób jej usługiwać ni wygładzać ścieżki pod jej stopami, ani dźwigać na barkach jej brzemienia. W swoim krótkim życiu Isabella była sama, doskonale sama. Nigdy nie potrzebowała litości ani zrozumienia. Jak powiedziała Teresa: kochałem ją dość, aby pozwolić żyć po swojemu...

— Hugh, mój drogi, oczywiście, że ją kochałeś. I dzięki temu byłeś bardzo szczęśliwy.

— Tak — przyznałem lekko zdziwiony. — Byłem bardzo szczęśliwy. — I nagle dałem się ponieść złości: — A jednak mam nadzieję, że John Gabriel będzie cierpiał tortury piekielne i w tym, i w przyszłym życiu!

— Nic nie wiem o przyszłym — rzekła Teresa — lecz śmiem twierdzić, że jeśli chodzi o doczesne, twoje życzenie się spełniło. John Gabriel jest najbardziej nieszczęśliwym mężczyzną, jakiego zdarzyło mi się spotkać.

— Widzę, że ci go żal, lecz możesz być pewna...

Teresa przerwała mi w pół słowa. Powiedziała, że nie chodzi tu o żal, że chodzi o coś więcej.

— Doprawdy, nie wiem, co masz na myśli. Gdybyś widziała go w Zagradzie: potrafił mówić tylko o sobie, nawet śmierć Isabelli mało go obeszała.

— Tego nie możesz wiedzieć. Czy zdarzyło ci się choć raz przyjrzeć mu się wnikliwie? Czy patrząc na ludzi, rzeczywiście ich widzisz?

W tym momencie zdałem sobie sprawę, że nigdy nie przyjrzałem się dość dokładnie Teresie. W historii, którą opowiadam, nawet nie opisałem jej wyglądu.

Popatrzyłem na nią i wydało mi się, że widzę ją pierwszy raz... wysokie kości policzkowe i fala czarnych włosów, które aż się prosiły o mantylę i duży hiszpański grzebień, i dumnie osadzona głowa, jak u jej kastylijskiej praprababki.

Przez moment pomyślałem, że mam przed sobą młodą dziewczynę — pełną entuzjazmu, żarliwą, wkraczającą w życie niby w wielką przygodę. Nie wiedziałem, co to życie jej przyniosło...

— Dlaczego tak mi się przypatrujesz, Hugh? — Myślę, że nigdy dotąd nie przyjrzałem ci się dogłębnie.

— Tak, to prawda. — Uśmiechnęła się kącikiem ust. — No dobrze, i co widzisz?

W uśmiechu Teresy kryła się ironia, głos pobrzmiwał kpina, lecz oczy pozostawały nieodgadnione.

— Zawsze byłaś dla mnie bardzo dobra, Tereso — powiedziałem powoli. — Ale ja naprawdę niczego o tobie nie wiem.

— To prawda, Hugh. Niczego.

Poderwała się i zaciągnęła zasłony; w pokoju było zbyt dużo słońca. — Co do Johna Gabriela... Teresa nie pozwoliła mi dokończyć.

— Powierz jego sprawy Bogu, Hugh.

— Tereso, to brzmi osobliwie.

— Ale słusznie. Tak uważam i zawsze tak uważałam.

Dodała jeszcze:

— Kiedyś, być może, zgodzisz się ze mną.

Epilog

Oto cała historia.

Historia człowieka, którego poznałem w St Loo w Kornwalii, a ostatni raz widziałem w hotelowym pokoju w Zagrade. Człowieka, który teraz umierał w jakiejś nędznej sypialni w Paryżu.

— Niechże pan posłucha, Norreys. — Jego głos był słaby, lecz wyraźny. — Powinien pan wiedzieć, co się naprawdę wydarzyło w Zagrade. Wtedy nie powiedziałem panu wszystkiego. Zresztą było to dla mnie tak niepojęte... — Przerwał na chwilę dla zaczerpnięcia oddechu. — Pan wiedział, że ona, Isabella, bała się umierania? Bardziej niż czegokolwiek w świecie?

Skinąłem głową. Tak; pamiętałem panikę w jej oczach, kiedy spojrzała na martwego ptaka na tarasie w St Loo; pamiętałem bladość twarzy, gdy o włos uniknęła zderzenia z pędzącym samochodem w Zagrade.

— Więc niechże pan słucha uważnie, Norreys. Ów student szedł wprost na mnie, z odbezpieczonym rewolwerem. Dzielilo nas zaledwie kilka stóp. Na pewno by nie chybił. Byłem uwięziony za stolikiem. Isabella spostrzegła, co się dzieje. Rzuciła się przede mnie właśnie w chwili, w której tamten pociągnął za spust. — Podniósł głos. — Czy pan rozumie, Norreys? Ona wiedziała, co robi. Wiedziała, że skazuje się na śmierć. Wybrała śmierć, aby ocalić mnie.

Głos Gabriela zadrżał uniesieniem.

— Ale ja jeszcze tego nie ogarniałem rozumem. Nie zdawałem sobie sprawy, nawet wtedy, co to znaczy. Dopiero, kiedy zacząłem myśleć... Cóż, widzi pan, nigdy nie sądziłem, że ona mnie kocha... Wyobrażałem sobie, wręcz byłem przekonany, że zatrzymują ją przy mnie wyłącznie zmysły. Lecz Isabella kochała mnie... kochała mnie tak bardzo, że oddała za mnie życie pomimo lęku przed śmiercią...

Cofnąłem się myślami do tamtych dni. Oto byłem w kawiarni w Zagrade. Zobaczyłem fanatyka, młodego studenta, zobaczyłem trwogę w oczach Isabelli, zobaczyłem, że zaczyna sobie zdawać sprawę z tego, co się za chwilę stanie, zobaczyłem jej paniczny strach — i wreszcie zobaczyłem, jak w ułamku sekundy dokonuje wyboru, jak rzuca się do przodu, aby osłonić Johna Gabriela własnym ciałem...

— A więc tak to się skończyło... — powiedziałem.

Gabriel uniósł się na poduszkach. Oczy, które nic nie straciły z dawnego blasku, rozwarły się szeroko.

— Och, nie — odparł czystym, donośnym głosem, głosem pełnym triumfu. — Tu się pan myli. Nic się nie skończyło; to nie był koniec. To był początek...

* Ojciec Damien: Ojciec Damien de Veuster (1840–1889, błogosławiony w 1995 r.), słynny duszpasterz trędowatych, symbol ludzkiej dobroci (przyp. tłum.).

* T. E. S. Lawrence (1888–1935), angielski żołnierz i pisarz, znany jako Lawrence z Arabii; pomagał Arabom w ich niepodległościowej walce z Turkami (1914–1918) (przyp. tłum.).

* Błąd logiczny w oryginale, wszak ojciec Isabelli zginął podczas I wojny światowej (przyp. red.).

* Postać z wiersza Mariana A. Tennysona (przyp. tłum.).

* Lorenzo — postać z Kupca weneckiego Szekspira (przyp. tłum.).